

O NIEMCACH INACZEJ



**OD SIKORSKIEGO
DO KACZYŃSKIEGO
I Z POWROTEM...**

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311300

MAGDALENA WIECZOREK

JACEK BELER



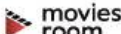
W NICH CAŁA NADZIEJA

TO MOŻE BYĆ OPARTE
NA PRAWDZIWEJ HISTORII

K&K FILM SELEKT PRODUKOWAŁ FILM POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ „W NICH CAŁA NADZIEJA” W ROLACH GŁÓWNYCH MAGDALENA WIECZOREK JACEK BELER MUZYKA ŁUKASZ PIEPRZYK MONTAŻ MARCELI MAJER GMP
DŹWIĘK BARTOSZ PUTKIEWICZ NAFALIA SIKORSKA SCENOGRAFIA MAREK ZAWIERUCHA KOSTYUMY DZWIŃKA KUKUL MAGDALENA TARKA ZDJĘCIA TOMASZ WOJCIK
PRODUKENT BEATA PIŚULA SCENARIUSZ PIOTR BIEDRON REŻYSERIA PIOTR BIEDRON



W KINACH OD 24 LISTOPADA



stowarzyszenie kin
studyjnych

eprasa.pl ba1dda5785



Od budowniczego do grabarza

Oderwanie od rzeczywistości to choroba każdej władzy. Ale tak widowiskowego odlotu, jaki po wyborach pokazuje Polakom prezes Kaczyński, jeszcze nie było. Żadna z ekip, które przegrały, nie potrzebowała ponad miesiąca, by zrozumieć, jaki jest werdykt wyborców. Ale do PiS to jeszcze nie dotarło. Stan pomroczości pokazali, proponując Elżbietę Witek na marszałka, a później na wicemarszałka Sejmu. Opozycja nie mogła oblać tego testu. Wybierając Witek, ośmieszyłaby się przed większością wyborców, którzy byłą marszałek uważają za marionetkę, ręcznie sterowaną przez Kaczyńskiego. A skoro Witek na tej funkcji była bezwolnym narzędziem, bez refleksji wdrażającym wszystkie polecenia partii, to ponosi pełną odpowiedzialność za łamanie konstytucji.

Karykaturalny styl kierowania pracami Sejmu i wielokrotne ośmieszanie powagi tego bardzo ważnego urzędu to bilans fatalny. Lokujący ją na liście najgorszych marszałków w historii.

Przypomina się historia wyprawy Beaty Szydło do Brukseli, gdzie miała zatrzymać nominację Donalda Tuska. Wynik znany. I pamiętamy wielki bukiet kwiatów, który dostała od Kaczyńskiego na lotnisku. Wysłana w bezsensownej misji, potraktowana przez prezesa instrumentalnie, została ośmieszona i szybko odwołana. Witek, mimo wiernej służby, też została cynicznie wykorzystana do z góry przegranej gry politycznej. Kwiatów jednak nie dostała. Dwie ważne dla prawicy kobiety zostały potraktowane paskudnie.

Pogrywanie ambicjami ludzi i napuszczanie ich na siebie to stała metoda Kaczyńskiego. Widzą to już nawet niezbyt lotni działacze średniego szczebla. Czy będą szli na rzeź jak owieczki? A może pokonają paraliżujący ich strach i znajdą sposób na prezesa? Kaczyńskiemu uzbierało się już sporo takich ofiar. Sam jestem ciekaw, co chodzi po głowie ludziom, którzy zostali tak bezlitośnie wykorzystani.

Kaczyński zbudował silny obóz polityczny. Trwało to dziesiątki lat. A teraz z wielu różnych powodów główny budowniczy może stać się grabarzem tego, co stworzył. I kolejnym, o którym, za poetą, można będzie powiedzieć: miałeś chamie złoty róg.

Nie musi szukać chamstwa za granicą, bo we własnej partii ma tego bez liku.

Partie władzy, zwłaszcza z tak długim stażem w rozdawaniu posad, obrastają w tysiące klientów, którym jest wszystko jedno, jakiej barwy jest partia, która ich żywi. W PiS jest ich równie wielu, jak wcześniej w Solidarności, SLD i AWS. Oczywiście nie wyłączając Platformy Obywatelskiej. Na wszystkich mścił się prymat awansów dla partyjnych kolegów, a nie bezpartyjnych fachowców. I współudział w rozmontowaniu służby cywilnej. Za rządów PiS była już ona karykaturą tego, co jest podstawą w sprawnie rządzonych państwach europejskich. Dorównamy im albo będziemy brnąć w marnowanie potencjału i kumoterstwo.

BAKOWSKI



BLACK WEEK

na sklep.tygodnikprzeglad.pl

**Zakupy w dniach
20-26.11. z dodatkowym**

RABATEM 10%

**Na wszystkie
książki
i ebooki!**

**Wpisz kod:
BLACK10**

Promocja łączy się z innymi rabatami

W NUMERZE

KRAJ

- 8 O Niemcach inaczej**
Od Sikorskiego do Kaczyńskiego
i z powrotem
- 12 Alimenty jak prezenty**
Milion dzieci nie dostaje pieniędzy
- 16 Pupil**
Marek Chrzanowski oskarżony
- 20 Pandemia niemocy**
Nadal umiera zbyt wielu Polaków
- 22 Koniec przyjaźni**
Dlaczego polityka wobec Ukrainy
zawiodła?
- 25 Przywrócić praworządność**
Prof. Sadurski o rządach PiS
- 26 Szlachcic w kozie**
Ojciec pisowskiego ministra

ZAGRANICA

- 28 Co się stanie po wojnie w Gazie?**
Trzy scenariusze
- 30 Zabójcze sankcje cnotliwego Zachodu**
Cierpią najbardziej
- 34 Drugie po Bogu**
Kandydatki na wiceprezydentki USA

HISTORIA

- 38 Krwawy listopad 1923**
Wydarzenia w Krakowie

KULTURA

- 42 Wolność, śmierć i siostrzeństwo**
– rozmowa z Martą Nieradkiewicz
- 44 Lewicowość wystrzępiona**
Teatr według Moniki Strzępki
- 46 Kulturalia**
- 66 W cieniu Wielkiej Bogini**

EKOLOGIA

- 48 Jak Europa żegna się z „czarnym złotem”**
Polski bieg z przeszkodami

ZDROWIE

- 52 Partner, a nie petent**
– rozmowa z dr hab. Aldoną Jankowską

ZWIERZĘTA

- 56 Sumy z Przechowalni**
Sum jest jak odkurzac

NAUKA

- 59 Zagrożenia starego mózgu**
Niebezpieczne dziedzictwo

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Od budowniczego do grabarza
- 15 Jan Widacki**
Trudna kohabitacja
- 19 Andrzej Romanowski**
Opozycja totalna
- 37 Stanisław Filipowicz**
Sen listopadowy i ogrody
plastikowych krasnali
- 47 Roman Kurkiewicz**
A wszystkich ich nie żal
- 51 Tomasz Jastrun**
W matni
- 55 Wojciech Kuczok**
Skromni i niepozorni



KULTURA

WOLNOŚĆ, ŚMIERĆ I SIOSTRZEŃSTWO

– rozmowa z Martą Nieradkiewicz



ZWIERZĘTA

SUMY Z PRZECHOWALNI

Sum jest jak odkurzac



NAUKA

ZAGROŻENIA STAREGO MÓZGU

Niebezpieczne dziedzictwo

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ŁUKASZ SZELAĞ/REPORTER, TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

eprasa.pl ba1dda5785



Jestem dumny z Partii Razem za zachowanie kręgosłupa ideologicznego. Lewica zostanie kiedyś pochłonięta przez liberałów.

Damian Papry

Pierwszy w historii polskiego parlamentaryzmu przypadek, żeby dla jakiejś partii program był ważniejszy od stołków. Bravo Razem! Ktoś musi pilnować demokratycznych zapatrywań, demokratycznej koalicji i mówić: sprawdzam w sprawach dla Polek i Polaków najważniejszych. Właśnie po to, żeby za cztery lata PiS (albo jemu podobny twór prawicy socjalnej) nie wróciło do władzy z 50-procentowym poparciem

Michał Centkowski



Zwykła taktyka marketingowa. Teraz by sobie nie porządzili, a odpowiedzialność za ten jeden stołeczek, który przy swojej słabości(!) by dostali, wielka. No to liczą, że w przyszłości im się opłaci.

Włodzimierz Zielicz

Razem powinno zmienić nazwę na Zawsze Osobno, byłaby bardziej adekwatna. Tak się polityki nie robi. Jeśli elektorat lewicy oscyluje w granicach 8%, to nie należy wymagać, że większość podporządkuje się tak znikomej mniejszości. Poza tym wejście do rządu, do koalicji nie musi oznaczać rezygnacji z postulatów. Zawsze istnieje, w bliższej lub dalszej przyszłości, szansa na ich częściową realizację; wymagałoby to co prawda daleko idących kompromisów i urabiania oponentów, ale zawsze. Razem woli jednak się nie angażować, pozostać kanapową lewicą, która „dba o swoich wyborców”, nic nie robiąc i za nic nie biorąc odpowiedzialności. Z takim podejściem do powinności skazani są na zagładę.

Maciej Wróblewski

✉ Rotacyjny marszałek, czyli rotacyjny podział łupów

W swoim komentarzu w nr. 45. red. Jerzy Domański pisze m.in. mi o trójpodziale władz. Idzie przy tym w dobrym kierunku, ale nie przekracza granicy wyznaczanej przez totalitaryzm partyjny. Pisze: „Poseł, który jest jednocześnie ministrem, może być absolutnym wyjątkiem”. Otóż nie!



Partie polityczne, które w społeczeństwie obywatelskim są dobre i użyteczne jako ośrodki analityczno-doradcze, po dojściu do władzy przekształcają się w mafie i działają jak mafie. Trójpodział władz, jak sama nazwa wskazuje, powinien oznaczać władzę podzieloną na trzy części, które są niezależne względem siebie, a wszystkie zależne od swoich wyborców. Tych, którzy dając mandat do sprawowania władzy, czegoś oczekują. A jeśli mandatariusz nie wypełnia swoich obowiązków, to w trakcie kadencji wyborcy powinni mieć prawo cofnięcia mandatu w drodze referendum.

Zdaję sobie jednak sprawę, że wprowadzenie prawdziwego trójpodziału władz oznaczałoby zmianę ustroju. I że nie zgodzi się na to żadna partia/mafia polityczna, bo oznaczałoby to utratę władzy zdobytej (*per fas et nefas*) przez partyjniactwo.

Józef Brzozowski, Żory

ZDJĘCIE TYGODNIA

Prezydenci USA Joe Biden i Chin Xi Jinping rozmawiali o stosunkach handlowych oraz głównych kwestiach mających wpływ na pokój i rozwój na świecie. Filoli, Kalifornia, 15 listopada 2023 r.



Szymon Hołownia został marszałkiem Sejmu, a wicemarszałkami **Dorota Niedziela** i **Monika Wielichowska** (z PO), **Włodzimierz Czarzasty** (Nowa Lewica), **Piotr Zgorzelski** (PSL) i **Krzysztof Bosak** (Konfederacja). Sejm nie wybrał na tę funkcję byłej marszałek Sejmu Elżbiety Witek.

Małgorzata Kidawa-Błońska została marszałkiem Senatu, a **Magdalena Biejat** (Nowa Lewica), **Rafał Grupiński** (KO), **Michał Kamiński** i **Maciej Żywno** (Trzecia Droga-PSL) zostali wybrani na wicemarszałków.

Laureatami Nagród Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, które cieszą się opinią najważniejszego wyróżnienia naukowego w Polsce, zostali: **prof. Rafał Łatała** z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego, **prof. Maria Lewicka** z Wydziału Filozofii i Nauk Społecznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, **prof. Krzysztof Liberek** z Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego oraz **prof. Marcin Stępień** z Wydziału Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Rządy polityków z partii Ziobry w Lasach Państwowych to nie tylko kumoterstwo i wyciąganie pieniędzy na cele związane z polityką partii, ale też doprowadzenie do zapaści przemysłu meblarskiego. Lasy oferują polskim firmom drewno po najwyższych cenach w Europie, więc te zwalniają pracowników. Zaległości

finansowe branży wzrosły do 111 mln zł.

Jeśli wierzyć wpływowemu dziennikowi amerykańskiemu „Washington Post”, to pułkownik ukraińskich sił specjalnych Roman Czerwiński koordynował atak na Nord Stream. Sześcioposobowa grupa wynajęła zagłówek i we wrześniu umieściła ładunek wybuchowy na gazociągu.

Mimo negatywnej oceny Polskiej Komisji Akredytacyjnej aż 11 uczelni kształci lub będzie kształcić lekarzy m.in. w Nowym Sączu, Nowym Targu, Tarnowie, Dąbrowie Górniczej i w Siedlcach.

Stanisława Celińska, wybitna aktorka, otrzymała Nagrodę AICT im. Ireny Solskiej 2023. Nagrodę ustanowiono w 2010 r., a przynajmniej ją zarząd polskiej sekcji AICT/Klubu Krytyki Teatralnej SDRP pod przewodnictwem dr. Tomasza Miłkowskiego.

Spektakl Teatru Wielkiego w Poznaniu „Jawnuta” Stanisława Moniuszki w reżyserii Ilarii Lanzino został nagrodzony przez jury International Opera Awards w kategorii „dzieło odkryte na nowo”.

Były szef warszawskiej prokuratury apelacyjnej (w latach 2001-2004) Zygmunta K. został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące. Razem z nim zatrzymano jego córkę. Według nieoficjalnych informacji usłyszeli zarzuty oszustwa.

Na rynek trafiła **gra „Niezwyciężony” na podstawie powieści Stanisława Lema**. Producentem jest studio Starward Industries.

PRZEBŁYSKI



Gdzie jest Telus?

Gdzie jest człowiek z gaśnicą? Gdzie się schował wyznawca zamachu smoleńskiego, który na tej głupocie wjechał na fotel ministra rolnictwa? Roberta Telusa poszukują tysiące oszukanych rolników. Przed wyborami obiecywał im liczne dopłaty. Do wszystkiego. Suszowe – do sprzedanych zbóż, zakupionych paliw, a nawet niesprzedanych malin. Rolnicy kasy nie dostali. I nie dostaną, ponieważ urzędnicy Telusa informują, że nic nie mogą, bo jest awaria systemu. Nowe terminy to styczeń, luty. Później będą wybory samorządowe. I jest nadzieja, że wieś rozliczy się z tymi kłamcami. Telusa to mało obchodzi, bo wyżywi go pensja posła.

Biuuletyn, który śmiesz. I otumania

Każdy czytelnik nas cieszy. Nawet, jeśli jest z tygodnika „Sieć”. I nawet taki, który niewiele rozumie z tego, o czym piszemy. Jak Michał Karnowski, który nas czyta, ale pewno, jak na organ władzy przystało, robi to z urzędu.

Tak bardzo wzruszyła go nasza okładka „Tusku, nie ruszaj socjału”, że próbował zdefiniować PRZEGLĄD jako „lewicowo-postkomunistyczny w znaczeniu socjologicznym”. Co to znaczy, wie tylko Michał Karnowski. Chyba? A że prosił o ripostę, to ją dostanie. „SIECI” definiują się jako „największy konserwatywny tygodnik opinii”. Jest też inna definicja. Medioznawców. „SIECI” – największy, luksusowo opakowany biuletyn PiS i prezydenta Dudy. I – co może Karnowskiego ucieszyć – jest to największy biuletyn partyjny na świecie.



Drożdżekowie, Dudziczowie i inne elity PiS

Dużo lepiej się żyje z dwóch dobrych pensji niż z jednej, choćby też dobrej. Ekipa Ziobry pokazała, jak bliskie jest jej takie myślenie. I bardzo popierała awanse małżeństw sędziowskich. Ale tylko aktywnie propiowskich. Modelowe przykłady to dwa małżeństwa D. Sędzia Jarosław Dudzicz, który z szybkością komety z Sądu Rejonowego w Słubicach trafił na fotel prezesa Sądu Okręgowego w Gorzowie Wielkopolskim i do neo-KRS. W karierze nie przeszkodziły mu hejterskie antysemickie występy jako jorj123. Od ośmiu lat sprawa jest w Prokuraturze Krajowej. I nic. A żona Dudzicza. Też w sądownictwie. W Gorzowie Wielkopolskim.

Drugie małżeństwo D. to sędzia Elżbieta Czarny-Drożdżeko, która zastępną tym, jak w trakcie publicznego wystąpienia w neo-KRS plotła andron. I mąż przyszłej sędzi NSA, czyli Zygmunta Drożdżekiego, który w trzy lata awansował z rejonu na prezesa Sądu Apelacyjnego w Krakowie. Za gorliwą postawą w służbie PiS dostawali awanse i rozmaite frukta. Skończyło się i teraz znaleźli się w windzie, która się urwała.

Proboszcz na fotelu prezesa



Ten tekst to apel. Apelujemy do firm zajmujących się budową farm fotowoltaicznych. Omijacie Przemysłu! I w ogóle Podkarpacie. A jak już musicie coś tam robić, to nigdy nie zawierajcie umów z miejscowymi parafiami. Bo zostaniecie oszukani, tak jak ci, którzy nie dostali kasy za wykonaną dokumentację dla parafialnych farm fotowoltaicznych. Ich firmy upadły. A ludzie zostali zrujnowani. Abp Adam Szala nie reaguje na protesty. Za nic ma nawet błaganie Kazimierza Jaworskiego, byłego senatora PiS. Okazuje się że proboszcz na fotelu prezesa parafialnej spółki to najkrótsza droga do przekrętów. W 2017 r. 56 podkarpackich parafii dostało ze środków unijnych 40 mln zł. I gdzieś to się rozplęnęło.



PYTANIE TYGODNIA | Kto powinien stanąć przed Trybunałem Stanu?

SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM,
advokatka, działaczka społeczna,
Wolne Sądy

Można rozważać postawienie przed Trybunałem Stanu prezydenta Andrzeja Dudy za wielokrotne naruszanie konstytucji, m.in. ulaskawienie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, odbieranie przysięgi od dublerów w Trybunale Konstytucyjnym, powołanie Julii Przyłębskiej na prezesa TK mimo braku uchwały zgromadzenia ogólnego sędziów TK, analogiczne powołanie Małgorzaty Manowskiej na pierwszą prezes Sądu Najwyższego bez uchwały zgromadzenia ogólnego sędziów SN i przy braku statusu sędzi SN, inicjatywę w zniszczeniu konstytucyjnego statusu KRS czy powoływanie neosędziów. Z kolei premier Morawiecki i minister Sasin mogliby odpowiadać za organizację „wyborów kopertowych”, a minister Ziobro za sprzeniewierzenie środków z Funduszu Sprawiedliwości i niewykonywanie orzeczeń europejskich trybunałów, co doprowadziło do zapłaty ogromnych kar i blokady funduszy unijnych.

RYSZARD KALISZ,
prawnik, były szef
Kancelarii Prezydenta RP

Bez wątpienia za okres ostatnich ośmiu lat w przypadku Zbigniewa Ziobry, a w przypadku Jarosława Kaczyńskiego za okres, kiedy był wicepremierem, możliwe jest postawienie ich przed Trybunałem. Mnóstwo deliktów konstytucyjnych popełnił prezydent Andrzej Duda, ale także Adam Glapiński jako prezes Narodowego Banku Polskiego, Elżbieta Witek i Marek Kuchciński jako marszałkowie Sejmu, minister Mariusz Kamiński... Kolejka jest dosyć długa i uważam, że mechanizm odpowiedzialności konstytucyjnej w końcu powinien zostać doprowadzony do końca. Przypomnę, że byłem przewodniczącym komisji ds. zbadania okoliczności śmierci Barbary Blidy, która postawiła wniosek o postawienie przed Trybunałem Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry. To, że ostatecznie do tego nie doszło, utwierdziło te osoby w przekonaniu, że nadal mogą łamać konstytucję.

DR EWA PIETRZYK-ZIENIEWICZ,
politolożka

Mam swoje typy, ale ich wskazanie przypominałoby bukmacherkę, gdyż na razie trudno stwierdzić, kogo w świetle dokumentów będzie można pociągnąć do odpowiedzialności konstytucyjnej. Wiadomo, że większość decyzji prowadzących do łamania prawa zapadała na Nowogrodzkiej, ale ich autor niczego nie podpisywał ani nie był władny czegośkolwiek komukolwiek nakazywać, gdyż formalnie był szeregowym posłem. Jako Polska jesteśmy na ścieżce poszukiwania personaliów osób odpowiedzialnych za nadużycia, o których informowały media. Trzeba będzie zanurkować w gąszcz spraw zagmatwanych, żeby w ogóle dociec, czyją decyzją było to, że niektórzy urzędnicy byli sowiec nagradzani za realizację Krajowego Planu Odbudowy, który nie ruszył, albo kto nadużywał uprawnień w odniesieniu do ministerstwa (nie)sprawiedliwości. Musimy uważnie przyjrzeć się działaniom premiera i wszystkich jego ministrów.

Rozmawiał Michał Sobczyk

O NIEMCACH INACZEJ

Od Sikorskiego do Kaczyńskiego i z powrotem



Podczas oficjalnej wizyty w Niemczech premier Jarosław Kaczyński spotkał się z kanclerz Angelą Merkel. Berlin, 30 października 2006 r.

Robert Walenciak

Po co nam Niemcy? Po co Niemcom Polska? Te pytania znów padają, nie uciekniemy od nich. Niemcy, stosunek do nich, stały się jednym z kluczowych elementów polskiej polityki.

Zawdzięczmy to Jarosławowi Kaczyńskiemu. Mistrz wzniesienia konfliktów i dzielenia wyczuł tu okazję. Więc – mocą państwa i całego piśmowskiego aparatu – rzuca pytania: czy jesteś za podległością Polski wobec Niemiec? Czy za niepodległością? Czy Niemcy powinni nam zapłacić reparacje za II wojnę światową? Czy mamy je darować?

Taki jest sposób PiS na polityczne życie po 15 października. Straszanie Niemcami. Odgrzebywanie wroga.

To odgrzebywanie trwa zresztą od kilku lat, od czasu gdy PiS przejęło władzę. „Zagrożenia płyną ze wschodu i zachodu – to słowa Jarosława Kaczyńskiego jeszcze z 2021 r. – Jest tak, że bardzo wielu po obu stronach

Europy nie chce zaakceptować naszej podmiotowości, nie chce zaakceptować perspektywy naszego rozwoju, wzrostu naszej siły, wzrostu naszej determinacji, by być narodem nie tylko niezależnym, wolnym, ale także silnym, liczącym się. Bo tylko taka Polska może przetrwać”.

Innymi słowy – Niemcy, bo ich wyraźnie wskazuje, nie chcą zaakceptować silnej Polski, chcą ją zwasalizować. Co więc wybierasz? Jesteś Polakiem czy zdrajcą?

Identyczne myślenie towarzyszy wielkiej kampanii dotyczącej reparacji. Tu też stawia nas przed wyborem, do jakiego obozu przystępujemy – Polaków czy odszczepieńców?

I przy okazji wskazuje arcyzdrajcę, Donalda Tuska, wnuka żołnierza Wehrmachtu. Dodając przy tym, że został (czy też – zostanie) na stanowisku premiera „zainstalowany”. Oto kolejny mit, który ma być wehikułem Kaczyńskiego na najbliższe lata.

Mieliśmy mit postkomunistycznej nomenklatury i zdrady przy Okrągłym

Stole, potem mit nocnej zmiany, czyli upadku rządu Jana Olszewskiego, trzecim mitem był mit smoleński. A teraz – mit „ukradzionego zwycięstwa”, „niemieckiego premiera” zainstalowanego z zewnątrz.

W tym straszaniu Niemcami ważną rolę odgrywa też Unia Europejska – to ona jest narzędziem niemieckiego panowania nad Europą.

PiS ma już więc opowieść, polityczny mit, teraz trzeba go wypełnić działaniami. I to już się dzieje. Grupa posłów PiS powołała Parlamentarny Zespół ds. Reparacji, Odszkodowania i Zadośćuczynienia Należnych Polsce od Niemiec oraz Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Rosji za Szkody Wyrządzone w trakcie II Wojny Światowej zgodnie z uchwałą Sejmu z 14 września 2022 r. Nazwa długa, ale wiele zapowiadająca. Politycy PiS już zapewniają, że „sprawa reparacji dla Polski będzie kontynuowana i z pewnością nie zniknie z krajowej i międzynarodowej sceny politycznej”.

Osiem lat miało PiS na uzyskanie reparacji, ciągle o tym opowiadano, wyznaczono nawet posła Arkadiusza Mularczyka, aby tym się zajmował (potem został wiceministrem w MSZ) oraz specjalną instytucję – Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego. Skończyło się na wydrukowaniu raportu szacującego straty na 6,2 bln zł. Raport przetłumaczono na angielski, a teraz, jak zapowiedział Kaczyński, trzeba go będzie przetłumaczyć na niemiecki. Jak widać, PiS zabiera się do tego ze średnią energią, bo przecież o gadanie głównie tu chodzi.

Tak zresztą oceniają to Polacy. We wrześniowym badaniu CBOS 22% respondentów stwierdziło, że nie ma żadnych szans na uzyskanie reparacji od Niemiec, a zaledwie 2% uznało, że mamy na to szanse 100-procentowe.

Mamy więc plan Kaczyńskiego, żeby ze stosunku do Niemiec uczynić oś polityki. Zysku mu to na razie nie przynosi – eksperci wskazują, że przyczyną klęski PiS w zachodnich województwach były m.in. obawy o pogorszenie stosunków polsko-niemieckich, o zamknięcie granicy, ograniczenie handlu i możliwości pracy.

Zysku nie przynosi to również w polityce zagranicznej. Polska, atakując Niemcy, największy kraj Unii Europejskiej, rezygnując z konsultacji międzyrządowych, uplasowała się na unijnych obrzeżach. Jako kraj, który nie uczestniczy w podejmowaniu decyzji i który w Unii swoją obecność ogranicza do tupania.

Ma to swoje konsekwencje – te wszystkie konstrukcje polityczne, które Polska PiS próbowała tworzyć, okazywały się silne i stabilne tylko w wyobraźni polityków prawicy. Nikt bowiem nie chce być wciągany w awanturę. Przykładem tego jest chociażby zwrot w polityce prezydenta Żelenskigo. Dziś jeździ on do Niemiec i w Berlinie prawi gospodarzom komplementy, nazywa ich przyjaciółmi. Bo wie, że droga do Unii wiedzie przez Niemcy, a nie przez Polskę.

Może więc trzeba inaczej?

Jest w polskiej przestrzeni inne spojrzenie na stosunki polsko-niemieckie. To nadzieja na pojednanie, na wspólną budowę Europy. Można

rzec, że początki tego myślenia to list biskupów polskich do biskupów niemieckich, „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”, jeszcze z 1965 r. To cierpliwe zabiegi Stanisława Stommy i Władysława Bartoszewskiego. To wreszcie idea „polsko-niemieckiej wspólnoty interesów”, którą sformułował Krzysztof Skubiszewski w roku 1988, kiedy istniała jeszcze NRD.

Kilkanaście miesięcy później ta idea uzyskała niespodziewane możliwości. Historia przyspieszyła – mieliśmy i zjednoczenie Niemiec, i symboliczny uścisk Tadeusza Mazowieckiego i Helmuta Kohla, i traktat 2+4. I przekonanie, że we wzajemnych kontaktach następuje nowa era.

Po roku 1989 Niemcy były głównym adwokatem w naszych staraniach o przyjęcie do struktur zachod-

Straszenie Niemcami – taki jest sposób PiS na polityczne życie po 15 października.

nych, do NATO, a później do Unii Europejskiej. Wspólnota interesów! Jej symbolem był traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy z roku 1991. Polska wkraczała do Europy, do strefy bezpieczeństwa i dobrobytu. I dobrze te możliwości wykorzystwała. Niemcy z kolei rozszerzali strefę bezpieczeństwa o państwo sąsiednie. I rozszerzali swoje możliwości rozwoju gospodarczego. Lata 90. to kolejny etap ekspansji niemieckiej gospodarki – napędzanej tanią energią (efekt dobrych relacji z Rosją) i przeniesieniem produkcji wielu komponentów do państw Europy Środkowej. A czasami i gotowych fabryk.

Szelest banknotów wprawiał w dobry nastrój i sprzyjał opowieściom o pojednaniu, o nowym rozdziale itd. Opowieściom jakże często na wyrost. Co obiecywał i czego domagał się minister spraw zagranicznych w rządzie PO-PSL Radosław Sikorski? Czyż nie namawiał Niemcy, by bardziej angażowały się w sprawy europejskie? Czyż nie starał się relacji polsko-niemieckich wnieść na wyższy poziom? W wystąpieniu w Instytucie Zachodnim w 2007 r. proponował, by relacje polsko-niemieckie – po sporach o wojnę w Iraku, wypędzonych

i nicejski system głosowania – odbudować w imię wspólnej europejskiej przyszłości. Hasło ponętne, ale wyciągnięta ręka zawiśła w powietrzu. Bo wzajemne relacje, owszem, były bliskie i dobre, ale tylko w tych dziedzinach, które pasowały naszym zachodnim sąsiadom. Sztandarowy projekt Sikorskiego Partnerstwo Wschodnie? Zawdzięczamy go Szwedom. Unia energetyczna? Ta koncepcja spotkała się ze wzruszeniem ramion i propozycją, że możemy dołączyć do Nord Stream od zachodniej strony... Mieliliśmy więc rozbieżności interesów i brak woli (głównie ze strony Berlina), by to jakoś utożyć. Młodszy partner powinien się dostosować... A potem Europę nawiedziła seria kryzysów, i idea tandemu Berlin-Warszawa gdzieś się rozpułyła.

W ten sposób każde państwo poszło swoją drogą. Niemcy kolejne kryzysy rozwiązywali tak, jak im było wygodnie, nie bacząc na sąsiadów. Polacy pograżali się w coraz większym rozczarowaniu. To wtedy narodziło się powiedzenie o „kiczu pojednania”, o niemieckim egoizmie. Pole do działań PiS zostało przygotowane.

Oto więc dwie drogi, które zaprowadziły Polskę donikąd. Dwa kicze, tak naprawdę. Pierwszy – kicz pojednania – zakładał, że wszystko się łoży i że w Unii Europejskiej czeka nas czas bezkonfliktowej współpracy. Drugi – kicz złego Niemca – jest właśnie wznoszony na sztandary PiS, to przypomnienie wszystkich historycznych krzywd. Nawiązanie do ulubionej figury retorycznej polskiej prawicy, w której jesteśmy bohaterem i ofiarą jednocześnie.

Czy tak musi być? Od ściany do ściany? Czy w stosunkach z Niemcami jesteśmy skazani na figurę naiwnego Polaka, który wierzy w dobrą wolę sąsiada z Zachodu albo też Polaka tupiącego nogą, wiecznie wołającego „nie”? W nadziei, że ktoś nad takim dzieckiem specjalnej troski się pochyli. Czy jest inna droga?

Wciąż w pamięci mam opowieść o kulisach negocjacji traktatu polsko-niemieckiego z roku 1991 o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Padła wówczas propozycja, by przedstawić Niemcom sprawę reparacji czy też odszkodowań (to istotna różnica) za straty poniesione przez Polskę podczas II wojny światowej. Rozpatrywano również warianty pośrednie – np. utworzenie przez Niemcy funduszu, który skupowałby dla Polski dzieła sztuki albo ufundowanie wielkiej biblioteki.

Ostatecznie zdecydowano, że tych spraw nie będziemy poruszać. Dlaczego? Argumentacja ówczesnego szefostwa MSZ była prosta – skupiamy się na sprawach najważniejszych, naszych europejskich aspiracjach. Sprawy odszkodowań, mało realne przecież, byłyby tu przeszkodą. Przedłużyłyby negocjacje, uszczywniły Niemcy itd. A kierownictwu MSZ zależało, by Niemcy popierały nas w drodze do Unii Europejskiej, co zresztą w traktacie zostało zapisane.

Oto więc dylemat negocjatorów (aż dziw, że nie doczekał się programu publicystycznego typu „Reset”): czy próbować rozwiązać jak największą liczbę problemów, obecnych i potencjalnych, czy też skupić się na najważniejszych sprawach? Mając z tyłu głowy, że sprawy niezłatwione mogą w przyszłości powrócić.

Jest i inna opowieść. To wspomnienie Jana Krzysztofa Bieleckiego z jego wizyty w Niemczech w 1991 r., z rozmów z kanclerzem Helmutem Kohlem. „Mówiłem mu, że to najlepszy czas do inwestowania w Polsce – opowiadał Bielecki. – Że jest okazja, że będziemy się rozwijać, tylko żeby nam długi umorzyli. A on nie za bardzo w to wierzył, pytał o nasze zadłużenie, o inflację, był nieufny. A z kolei im bardziej on był nieufny, tym ja mocniej go przekonywałem, jak to za chwilę Polska ruszy do przodu”. Potem wyszli do dziennikarzy i stanęli obok siebie. I miało to posmak metafory. Wielki, zwalisty kanclerz i drobnej postury polski premier.

Może więc kłopot polega na tym, że Niemcy nas nie cenią, traktują jako młodsze partnera, w którego

oczekiwania nie ma potrzeby się wsłuchiwać? I który raczej powinien grzecznie słuchać?

Tak bowiem jest, mówią o tym dyplomaci i politycy współpracujący z Niemcami. Przekonanie o małej wadze Polski jest w niemieckich elitach mocne.

To się zmienia, jest wiele argumentów, które możemy rzucić na stół, by zmienić taki wizerunek, tylko trzeba wykonać konkretną pracę. Jaką?

Dyplomata, który spędził w Niemczech na różnych placówkach wiele lat, mówi wprost: „Po pierwsze, trzeba zacząć rozmawiać. Bo dziś nawet tego nie ma. Trzeba wykorzystać wszystkie możliwości, także traktatowe, by odbudować dialog. A gdy się rozmawia, można przedstawić nasze oczekiwania i wysłuchać oczekiwań partnerów”. To są słowa mrozące – jak nisko musiały upaść wzajemne stosunki, jeżeli trzeba zaczynać od ustalenia, że będziemy rozmawiać...

A jeżeli już do tych rozmów dojdzie, to jak możemy przekonać Niemców o polskiej „wadze”. Teoretycznie najłatwiej, prezentując dane gospodarcze. Niemcy są naszym

Niemiec – przypominają). I za czasów PiS tego postrzegania nie zmieniono. Nadwyrężył ten obraz dopiero sam Władimir Putin, atakując Ukrainę, zmuszając kanclerza Scholza do proklamowania zwrotu, *Zeitenwende*.

Podobnie wyglądają sprawy historyczne. Niemcy są oporni. Gdy Polacy mówią im o historii, krzywią się, dając do zrozumienia, że już nie mają siły tego słuchać. Efekt jest taki, że wciąż nie ma w Berlinie pomnika polskich ofiar II wojny światowej. Niemcy są przekonani, że w Auschwitz ginęli tylko Żydzi, że Polaków tam nie było. Kanclerz Schröder swego czasu próbował wręcz sprowadzić kwestię ofiar niemieckiego faszyzmu do Holokaustu, do ofiar żydowskich. Czy można więc się dziwić, że Niemcy nie pojmują polskiej wrażliwości?

Kłopot w tym, że przez ostatnie osiem lat PiS nic w tej sprawie nie zdziałało. Andrzej Przyłębski był zdecydowanie najgorszym ambasadorem w Niemczech w historii III RP, pomijającym, wdającym się w różne kłótnie. Może takie miał polecenia z Warszawy – ale efekt jego pracy był żalospny.

W Niemczech mieszka ponad 800 tys. Polaków. Nie potrafimy tego potencjału wykorzystać.

głównym partnerem gospodarczym, a my dla nich piątym partnerem, po Chinach, USA, Holandii i Francji. Wyprzedziliśmy już Włochy i Wielką Brytanię. A zaczęliśmy niemal od zera – w 1990 r. nasze obroty w handlu dwustronnym wynosiły (w przeliczeniu na nieistniejącą wówczas wspólną walutę europejską) 7,5 mld euro. A w roku 2022 – niemal 168 mld euro, co jest absolutnym rekordem. Zwróćmy uwagę na dynamikę tego handlu – w roku 2020, przedcovidowym, obroty wynosiły ok. 123,5 mld euro. W tym czasie handel niemiecko-rosyjski generował ok. 44,5 mld euro. Czyli niemal trzykrotnie mniej niż obroty polsko-niemieckie!

Co z tego! Nikt w Niemczech na to nie zwraca uwagi. To Rosja zawsze była dla nich wielkim rynkiem, z wielkimi perspektywami, a Polska – małym (sześciokrotnie mniejszym od

I można te obszary wzajemnego niezrozumienia wymieniać. Sprawa Nord Stream, który nie był przecież projektem biznesowym, tylko politycznym... Sprawa reformy Unii Europejskiej (nowa koalicja będzie tu pewnie miała inny pogląd niż PiS), sprawa polityki migracyjnej (tu Niemcy mogą się rozczarować), sprawa współpracy ze Wschodem, polityka rolna (w tej dziedzinie mamy przeciwstawne interesy). Pakiet spraw jest szeroki.

Co warte zauważenia, refleksja nadchodzi także ze strony Berlina. 30 października w dzienniku „Frankfurter Allgemeine Zeitung” ukazał się artykuł byłego ambasadora Niemiec w Polsce, Arndta Freytaga von Loringhove. Owszem, pisze ambasador, „resentymenty, lęki i przekonania są głęboko zakorzenione i nie



Angela Merkel, Mateusz Morawiecki, Julia Przyłębska i Jarosław Kaczyński.
Warszawa, 1 września 2019 r.

znikną z dnia na dzień”. Ale dla „Niemiec i Polski otwiera się nowa szansa na partnerstwo w przywództwie na równych warunkach”. Więc apeluje: „powinniśmy wykorzystać tę okazję i zwrócić się do Warszawy z konkretnymi propozycjami”.

Jakimi? Arndt Freytag von Loringhoven proponuje „wspólną politykę wschodnią”, w której centrum znalazłaby się pomoc Ukrainie. Zarówno wojskowa, jak i w odbudowie. A także w integracji z NATO i Unią Europejską. Dodaje też, że w perspektywie wzmocnienia wschodniej flanki NATO wskazana byłaby polsko-niemiecka współpraca obronna. Ambasador stwierdza też, że historia pozostaje centralną kwestią stosunków polsko-niemieckich. I, odkładając sprawę reparacji na bok („stoi w martwym punkcie”), proponuje inne rozwiązania, np. udział Niemiec w odbudowie wysadzonego przez Niemców w 1945 r. pałacu Saskiego w Warszawie. Proponuje też projekty idące w przyszłość. Prace nad rozwojem odnawialnych źródeł energii czy też rozwój szybkiej kolei między Berlinem a Warszawą.

A przede wszystkim apeluje o pilne wznowienie dialogu polsko-niemieckiego. „Dziś Polska nie jest już młodszym partnerem, którego dobrodusznie wprowadzamy do europejskiej rodziny – konkluduje. – Nie tylko Polacy bliscy PiS oczekują od

nas porzucenia przestarzałych stereotypów i okazania Polsce uznania, zaangażowania i zainteresowania. Musimy pokazać, że faktycznie realizujemy wnioski wyciągnięte z nieudanej polityki wobec Rosji. (...) Nadszedł czas, aby spojrzeć na Polskę jako pełnoprawnego partnera w niemieckiej polityce zagranicznej”.

Podobnie mówi Dietmar Nietan, poseł SPD, koordynator rządu federalnego do spraw współpracy z Polską: „Oczekuję od mojego rządu, że wykaże wobec Polski dużą empatię i że proponując ambitną, pozytywną agendę, zarówno bilateralną, jak i europejską, zaprosi przyszły nowy polski rząd do nowych wspólnych działań”.

Czy to jest możliwe? Jak najbardziej – jest. I nie chodzi tu nawet o szczegółowe analizowanie kolejnych propozycji czy dodawanie swoich. Ważne jest coś innego – że zarówno w elitach niemieckich, jak i w gronie polityków zwycięskiej koalicji coraz większe znaczenie ma przekonanie, że dobre kontakty niemiecko-polskie wzmocnią oba kraje. Nas w tym sensie, że powracamy do Europy, że będziemy mieli wpływ na najważniejsze sprawy europejskie, więc staniemy się krajem, z którym warto mieć dobre kontakty. Niemcy zaś zyskują partnera w Unii i w polityce wschodniej. Dużego i dynamicznego.

Ale jest jeszcze inny element – obywatele. Otóż mimo tylu lat sączenia antyniemieckich treści Polacy nie postrzegają stosunków polsko-niemieckich szczególnie źle. Według wrześniowych badań CBOS 56% ankietowanych uważa, że są one „ani dobre, ani złe”. 22% ocenia je jako złe, a 13% określa jako dobre.

Innymi słowy – Polacy swoje wiedzą i nie zwracają nadmiernie uwagi na słowa polityków. To pokazuje też, że stosunki polsko-niemieckie to nie tylko działania dyplomatów i polityków. W Niemczech mieszka ponad 800 tys. Polaków, jeśli doliczymy do nich tych, którzy czują się z polsnością związani – dojdziemy do 2 mln. Tak licząc to Niemcy. To potężna grupa i ona w dużym stopniu wpływa na stosunek Niemców do Polaków i Polaków do Niemców.

To, że polskie władze tego potencjału nie potrafią wykorzystać, to już inna sprawa. Tymczasem w państwach demokratycznych dyplomacja publiczna jest jedną z najważniejszych. Polska PiS tego absolutnie nie rozumiała, awantury wokół filmu „Smoleńsk”, który próbowano prezentować w Niemczech, urastają tu do rangi symbolu. Czy też różne klasyfikacje najmniej popularnych postaci, w których wysokie miejsca zajmowali funkcjonariusze państwa PiS...

Czas więc na odbudowę dobrej opowieści o Polsce. I odbudowę sieci wzajemnych kontaktów, spotkań. Dziś jest to łatwe. Zniknęła bowiem bariera, która przez lata całe to utrudniała, stawiała Polaków w sytuacji tych gośnych. Chodzi o barierę językową. Dziś mamy wspólny język – angielski. To zdecydowanie zmienia sytuację, bo wszyscy są równi. Szczególnie docenia to młodzież, najbardziej otwarta na kontakty.

Wszystko wskazuje więc na to, że za chwilę będziemy mieli przełom w polityce polsko-niemieckiej. Że Kaczyński swoje, a życie swoje. Dobrze byłoby, żeby politycy nowego rządu podeszli do sprawy poważnie. Bez nadmiernej naiwności, tak jak to było kiedyś. Zbyt ważne sprawy są do załatwienia.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



ALIMENTY JAK PREZENTY

Milion dzieci nie dostaje alimentów, dług wynosi 14,5 mld zł, a alimenciarzy w Polsce jest prawie 300 tys. Co z tym zrobić?

Anna Stachowiak

Agnieszka, 40 lat, mama sześciolletnich bliźniąt: „Z tatą moich dzieci rozstałam się prawie rok temu, powodem była przemoc, przede wszystkich psychiczna, zarówno wobec mnie, jak i dzieci. Złożyłam pozew o alimenty, na rozprawę czekałam kilka miesięcy, w końcu sąd orzekł po 1,5 tys. zł na dziecko. Przez ten czas sama utrzymywałam dzieci, spłacałam kredyt, płaciłam rachunki. Mąż zabrał też samochód, wydłużył nam się dojazd, bo muszę korzystać z komunikacji, na taksówki mnie nie stać. Czyli mam mniej czasu na pracę i mniej zarabiam. Mimo orzeczenia sądu mąż alimentów nie płaci”.

Anna, 35 lat: „Ojciec mojego dziecka uznał, że nie będzie płacił całej kwoty, czyli 2 tys. zł na naszą córkę, bo to za dużo. Przez rok płacił 800 zł, uznając, że tyle wystarczy. Komornik

nic nie wskórał, poszłam do prokuratury, która sprawę umorzyła. Uzasadnienia nie było, mimo że powstała duża zaległość. Odwołałam się do sądu, ten podtrzymał decyzję prokuratora. Teraz alimenty płaci, ale wszelkie dodatkowe koszty – leczenia, terapii sensorycznej, lekcji muzyki i zajęć sportowych – ponoszę ja. Pracuję na dwa i pół etatu.

Monika, 32 lata, mama ośmioletniego syna: „Od sześciu lat walczę z byłym mężem w sądzie. Mam kilkanaście spraw. Alimenty były zasądzone dawno, ale ojciec dziecka nie płaci, twierdzi, że nie ma dochodów. Dostaję 500 zł z Funduszu Alimentacyjnego. Z powodu złego stanu zdrowia i spraw sądowych musiałam zrezygnować z pracy. Żyję skromnie, ubieramy się w Caritasie. Ale staram się, żeby dziecku nic nie brakowało”.

Podobnych historii są setki tysięcy. To opowieści o wakacjach, których nie było, oszczędnościach, których

nie ma, butach, na które brakuje... I pracy ponad siły. Oraz państwie, które nie działa.

Wielkie miasto dłużników

Z wrześniowego raportu Krajowego Rejestru Długów wynika, że od płacenia alimentów uchylają się 292 tys. osób. 60% z nich ma też inne nieuregulowane zaległości na niemal 2,4 mld zł. Na koniec sierpnia 2023 r. zaległości alimentacyjne Polaków wynosiły 14,5 mld zł i w ciągu roku urosły o 3,2 mld zł. O 16% zwiększyła się kwota średniego zadłużenia, które wynosi 49 760 zł, a o 28,7 tys. wzrosła liczba osób uchylających się od obowiązku płacenia na dzieci. Mężczyźni, którzy nie regulują alimentów na dzieci, stanowią 94% tej grupy. Jak mówił w rozmowie z Polską Agencją Prasową prezes KRD Adam Łacki, „dług alimentacyjny to nie jest skutek nieporozumienia między rodzicami dziecka

czy protest przeciw zbyt wysokim alimentom, lecz przejaw nieuczciwości”.

No właśnie. W Polsce wciąż istnieje przyzwolenie społeczne na ten rodzaj przemocy ekonomicznej wobec dzieci i matek, powiązane z pobłażliwością dla osób uchylających się od płacenia oraz pogardą dla matek. Na grupach dla mężczyzn określane są one jako „madki”, „właścicielki dzieci”, a alimenty jako „haracz” albo „na paznokcie”. Wciąż istnieje przekonanie, że to chciwe matki żądają alimentów, by spełniać swoje zachcianki. Prawda jest inna, choć postawa pobłażliwości dla alimenciarzy obecna jest także w prokuraturze i sądach. Mimo że niealimentacja jest przestępstwem i powinna być traktowana jako kradzież, gdyż w rzeczywistości tym właśnie jest. Okradaniem własnych dzieci.

Utrzymaj dziecko za 400 zł

Justyna Żukowska-Gołębiewska, psycholożka, ekspertka byłego już zespołu ekspertów ds. alimentów przy Rzeczniku Praw Obywatelskich i Rzeczniku Praw Dziecka oraz autorka opracowań na ten temat: – Nie istnieją „średnie” alimenty, bo te kwoty różnią się w zależności od stopy życiowej rodziców przed rozstaniem, możliwości zarobkowych rodzica i potrzeb dziecka. Jak wynika z badania, które przeprowadziłam w 2018 r., polska mediana wysokości zasądzonych alimentów to 400-600 zł. Proszę spróbować wyżywić, ubrać i spełnić wszystkie potrzeby dziecka za takie pieniądze.

Ekspertka dodaje: – Podczas targów rozwodowych w Poznaniu mówiłam, że niewywiązywanie się z obowiązku alimentacyjnego jest rodzajem przemocy ekonomicznej, a także poseparacyjnej. Dochodzi do niej już po rozstaniu rodziców dziecka, które ma otrzymywać alimenty. Bo alimenty są na dziecko. Spotkałam się z reakcją przewracania oczami u panów na widowni, bo w naszym kraju niepłacenie alimentów nadal nie jest traktowane poważnie. Te 400 czy 600 zł zazwyczaj ma pokrywać połowę kosztów utrzymania dziecka, bo drugą część ma dołożyć rodzic zamieszkujący z dzieckiem na co dzień, ale

nawet jeśli pracuje on na pełnym etacie, to nie da się utrzymać dziecka za taką kwotę, bo jego miesięczne utrzymanie to ok. 3-4 tys. Liczymy przecież nie tylko czynsz i rachunki za media, ale także szkołę, ubranie, dentystę, lekarza, zajęcia dodatkowe, terapie, wakacje, wymianę mebli w pokoju dziecka co kilka lat, komputer czy wyjazd z klasą na zieloną szkołę. To nie tylko wyliczona liczba obiadów i ubrań. Drugi problem to fatalna ściążalność alimentów.

Na ten sam problem wskazuje postanka Lewicy Anita Kucharska-Dziedzic z parlamentarnego zespołu praw dziecka: „Ściążalność alimentów w Polsce to dramat i wstyd z powodu braku skuteczności państwa. Ale to taki temat, którym nikt nie chce się zajmować. Bo albo będzie miał przeciw sobie kilkaset tysięcy niepłacących rodziców, albo kilkaset tysięcy rodziców, którzy nie są w stanie wyegzekwować alimentów na utrzymanie dziecka. I tu pojawia się wiele pomysłów na poprawę sytuacji, ale każdy z nich jest wadliwy. Bo jeśli zdecydujemy się na ściążalność – jak podatków – to

świadczeń przysługujących rodzinie jest pomniejszana o 1 zł. Wypłacone z funduszu pieniądze zobowiązany do alimentacji rodzic będzie musiał oddać.

W 2017 r. nastąpiła nowelizacja Kodeksu karnego. Zmieniono art. 209 k.k., który po nowelizacji brzmi (paragraf 1): „Kto uchyla się od wykonania obowiązku alimentacyjnego określonego co do wysokości orzeczeniem sądowym, ugodą zawartą przed sądem albo innym organem albo inną umową, jeżeli łączna wysokość powstałych wskutek tego zaległości stanowi równowartość co najmniej trzech świadczeń okresowych albo jeżeli opóźnienie zaległego świadczenia innego niż okresowe wynosi co najmniej trzy miesiące, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku”.

Przepis jest przejrzysty, ale co z tego, skoro nikt go nie stosuje. Takie sprawy są seryjnie umarzane. W lutym 2020 r. RPO zaprezentował raport podsumowujący działalność Zespołu ds. Alimentów w latach 2016-2020, w którym wypowiadał

Zmiana prawa nie przyczyniła się do zwiększenia skuteczności egzekucji, a dług alimentacyjny wobec dzieci wzrósł o 600 tys. zł.

mamy całą grupę ludzi, którzy wolą ukrywać majątek i pracować na czarno, byleby alimentów nie płacić. Dlatego przy tak wielkim długu zobowiązanych wobec dzieci i wobec Funduszu Alimentacyjnego potrzeba pakietu rozwiązań konsekwentnie i bezwzględnie wdrażanych”.

Załatp się na fundusz

Institucją państwową, która wypłaca alimenty, jeśli rodzic ich nie płaci, jest Fundusz Alimentacyjny. O wypłatę można się zwrócić, o ile dochód na członka rodziny nie przekracza 900 zł. Jeśli przekracza, obowiązuje wprowadzona w 2016 r. zasada „złotówka za złotówkę” – pieniądze przysługują, ale kwota jest obniżana wraz ze wzrostem dochodu. Za każde przekroczenie progu o 1 zł kwota

się ekspertki i eksperci, w tym Justyna Żukowska-Gołębiewska. Raport sporządzono na podstawie danych z Prokuratury Krajowej, Ministerstwa Sprawiedliwości i Policji. Badanie obejmowało okres od wejścia nowelizacji art 209 Kodeksu karnego do końca roku 2019. „Wyniki analizy jednoznacznie wskazują, że zmiana prawa nie przyczyniła się do zwiększenia skuteczności egzekucji, a dług alimentacyjny wobec dzieci nie tylko nie zmalał, ale wzrósł o kolejne 600 tys. zł”, czytamy.

Anita Kucharska-Dziedzic: „Alimenty w tej chwili, jeśli rodzice nie porozumieją się w tym zakresie, przyznawane są procesowo. Ale sądy powinny rozstrzygać konflikty, a nie stwierdzać, że dziecko je, potrzebuje gdzieś mieszkać, potrzebuje ubrań czy leków. Dlatego potrzebujemy ▶

► dwóch rzeczy: alimentów natychmiastowych lub automatycznych przyznawanych pozaprocesowo, na wniosek, a jedynym dokumentem potrzebnym do wydania decyzji o przyznaniu alimentów winien być akt urodzenia dziecka. I natychmiastowa egzekucja. I tu potrzebujemy też tabel alimentacyjnych. Gotowe projekty leżą w sejmowych zamrażarkach i rządowych szufladach od lat. W tym przygotowane przez mec. Danutę Wawrowską ze stowarzyszenia Alimenti to nie prezenty”.

O tabelach alimentacyjnych, tzw. düsseldorfskich, mówiła także cytowana w raporcie RPO socjolożka prof. Elżbieta Korolczuk: „[System] jest oparty na przygotowywanych na terenie jednostek administracyjnych tabelach, w których przyjmuje się uśrednioną (oczekiwaną) wysokość alimentów. Jest ona uzależniona od wieku dziecka oraz wysokości uśrednionego dochodu osoby obowiązanej do płacenia alimentów. Tabele nie mają charakteru obowiązującego prawa, a zatem stanowią rodzaj zalecenia. Niemniej jednak wprowadzają do systemu orzekania alimentów punkt odniesienia oraz obiektywizują oczekiwania obu stron co do ostatecznie zasądzonych alimentów. W konsekwencji niweluje się różnice w orzekanych alimentach w skali kraju, przy jednoczesnym uwzględnieniu specyfiki poszczególnych regionów”.

Takie rozwiązanie sugerują w raporcie także inni eksperci, m.in. Robert Damski. Stosowanie tabel „zapobiegłoby zasadzaniu alimentów w wysokości nieadekwatnej do realiów ekonomicznych lub możliwości finansowych rodzica”. A takie rozwiązanie „pozwoliłoby także zmniejszyć poziom emocji wokół alimentów”.

Pomoc potrzebna natychmiast

Kolejnym rozwiązaniem są alimenty natychmiastowe. Projekt z 2019 r. zakładał wprowadzenie stałej kwoty alimentów podstawowych, której wysokość byłaby corocznie ustalana przez ministra sprawiedliwości. Zakładał maksymalne uproszczenie procedury uzyskania alimentów

podstawowych poprzez wprowadzenie automatyzmu w ich przyznawaniu. Bez konieczności ustalania kosztów utrzymania i dochodów zobowiązanego sąd miał przyznawać odgórnie ustaloną kwotę.

Postępowania o alimenty toczą się kilka miesięcy, długi jest także okres oczekiwania na samą rozprawę. W tym czasie dziecko alimentów nie dostaje. W uzasadnieniu projektu ustawodawca pisze, że długość postępowań wynika z tego, że sąd za każdym musi ustalić „usprawiedliwione potrzeby” dziecka, alimenty natychmiastowe zaś pozwolą na szybkie uzyskanie uśrednionego świadczenia, które będzie obliczane na podstawie kwoty minimalnego wynagrodzenia brutto podzielonego przez współczynnik dietności. I tak mają one wynosić 21% minimalnego wynagrodzenia w przypadku jednego dziecka (ok. 630 zł), 19% na każde z dwojga dzieci (1140 zł), 21% na troje (1530 zł). Pozew ma być rozpatrywany błyskawicznie, bo w ciągu 14 dni od złożenia, a składać go można będzie na uproszczonym formularzu. Jeśli zaś ktoś będzie chciał ubiegać się o wyższe świadczenie, może to zrobić w sądzie niezależnie od wnioskowania o alimenty natychmiastowe. Także ten projekt leży w zamrażarce sejmowej.

Od 1 lipca 2023 r. obowiązuje nowelizacja Kodeksu postępowania cywilnego dotycząca egzekucji alimentów: możliwe będzie zajęcie majątku dłużnika na poczet przyszłych alimentów.

Kolejną pilną kwestią jest zmiana nastawienia społecznego. Tu, jak wskazywała dr hab. Monika Kaczmarek-Śliwińska w raporcie RPO, konieczne jest przeprowadzenie szeroko zakrojonej kampanii społecznej, która wpłynęłaby na zmianę postrzegania zjawiska niealimentacji: „Dotychczas realizowane kampanie społeczne czy elementy przekazów komunikowania się najczęściej dotycząją powierzchownie problemu, co może utrzymywać stereotypy, a ich zawartość informacyjno-educacyjna jest uboga w treści, tym samym zwiększając ryzyko trywializacji tematu niealimentacji oraz dzieci w tym procesie”.

Takiego samego zdania są Anita Kucharska-Dziedzic i Justyna Żukowska-Gołębiowska. Posłanka Lewicy uważa ponadto, że uchylających się od utrzymywania własnych dzieci trzeba traktować surowo: „Sytuacje, w których zobowiązani nie płacą, bo wydarzyło im się nieszczęście, choroba, niezawinione pogorszenie warunków życia, są sporadyczne. W większości przypadków spornych alimenty są rodzajem broni wymierzonej w ekspartnera, z którym jest się w konflikcie. A broń uderza w dzieci”.

Justyna Żukowska-Gołębiowska wskazuje na psychologiczny aspekt niealimentacji: „Efekt jest taki, że to rodzic wychowujący na co dzień dziecko ponosi gros kosztów jego utrzymania, a jeśli drugi rodzic nie płaci alimentów, musi brać dodatkowe fuchy, żeby zaspokoić wszystkie potrzeby. Pracuje więc na kolejny etat albo dwa i ma o wiele mniej czasu dla dziecka, a jeśli nawet ten czas jest, to nie takiej jakości, jak by chciał i potrzebował (zwykle: chciała, bo to głównie matki). To z kolei przekłada się na relację z dzieckiem, które czuje, że matka jest nieobecna fizycznie, gdy jest w pracy, a potem niedostępna emocjonalnie, gdy wraca zmęczona do domu. Bo musi zasuwać, nikt za nią o dziecko nie zadba. Takie dziecko, wychowywane przez jednego rodzica, czuje się opuszczone, czasami niechciane i niekochane. Tego głodu miłości nikt i nic potem nie zaspokoi. I choć rodzice wiodący często proponują, aby rodzic niepłacący alimentów zechciał wypełniać inne obowiązki wobec dziecka, np. osobistej opieki nad nim, to jak wskazuje jeden z raportów BIG Infomonitor i moje badania, rodzic niealimentujący to także najczęściej rodzic porzucający dziecko emocjonalnie i fizycznie. Jako społeczeństwo potrzebujemy odrobić lekcję z dojrzałości społecznej, co skutkowałoby zwiększeniem odpowiedzialności za dobro wspólne, jakim są dzieci”.

Alimenty to nie prezenty.

Anna Stachowiak

Z Galicji



Jan Widacki

Trudna kohabitacja

Jeśli ktoś miał jeszcze co do tego jakiś cień wątpliwości, to po przemówieniu prezydenta wygłoszonym w Sejmie, na jego pierwszym posiedzeniu, już mieć jej nie powinien. Rząd demokratycznej koalicji przez pierwsze pół kadencji czeka okres trudnej kohabitacji.

Prezydent Duda zapowiedział, że za pomocą weta będzie bronił najważniejszych „zdobyczy” (naprawdę tak to nazwał!) ostatnich ośmiu lat. A do tych najważniejszych zdobyczy z całą pewnością zalicza się zrujnowanie Trybunału Konstytucyjnego, upolitycznienie Krajowej Rady Sądownictwa, naproduktowanie sędziów dublerów, upolitycznienie prokuratury. To, co wymaga naprawy w pierwszej kolejności, a więc przywrócenie praworządności, czyli uczynienie z Polski na powrót państwa prawa, może być dokonane tylko w drodze ustaw. Jeśli prezydent będzie takie ustawy wetował, koalicja nie ma dostatecznej liczby głosów, by weto odrzucić.

Wyniszczająca wojna polsko-polska wchodzi zatem w nową fazę, której na imię „trudna kohabitacja”.

Targi i awantury na szczytach władzy zawsze są gorszące, a dla państwa i społeczeństwa destrukcyjne. Trudno. Polityka jednak jest sztuką kompromisu. Na szczęście nie jest tak, że wszystkie atuty ma w ręku prezydent. Rzeczywiście może on utrudniać życie rządowi na różne sposoby. Nie tylko wetować ustawy, ale też blokować nominacje na różne stanowiska, w tym ambasadorów, prezesów Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego, Naczelnego Sądu Administracyjnego, szefa Sztabu Generalnego, szefów służb specjalnych, członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Rady Polityki Pieniężnej, prezesa NBP, sędziów... Może utrudniać prowadzenie polityki zagranicznej premierowi i rządowi, z którymi na mocy postanowienia konstytucji powinien współdziałać.

Ale z drugiej strony rząd i sejmowa większość też nie są pozbawione argumentów w negocjacjach z prezydentem, akty urzędowe prezydenta wymagają bowiem kontrasygnaty premiera. Można jej odmawiać, istotnie ograniczając skuteczność działań prezydenta. Ma wreszcie rządząca większość jeszcze jeden delikatny, ale skuteczny

instrument, jakim jest ustalenie budżetu Kancelarii Prezydenta. To efektywny i bolesny instrument, z sukcesem wypróbowany na początku lat 30. zeszłego wieku przez marszałka Piłsudskiego. Nie mając prawnych możliwości usunięcia z wojska biskupa polowego Stanisława Galla, popieranego i zachęcanego do oporu przez nuncjusza, Piłsudski w najbliższej ustawie budżetowej w miejsce sumy przeznaczonej na Polową Kurię Biskupią, w tym na uposażenie bp. Galla, wpisał 0. Okazało się to skuteczne. Gall został z wojska odwołany przez Stolicę Apostolską. Nie wiem, ile wtedy wynosił budżet Polowej Kurii Biskupiej. Z całą pewnością budżet Kancelarii Prezydenta jest wielokrotnie wyższy. Sejm, na wniosek rządu lub z własnej inicjatywy, może zredukować budżet Kancelarii o 25% albo o 50%. Na początek o tyle. Nie będzie na pensję dla korepetytora z języka angielskiego (podobno

Piłsudski, nie mając prawnych możliwości usunięcia z wojska biskupa polowego Stanisława Galla, w ustawie budżetowej na Polową Kurię Biskupią wpisał 0.

za 32 tys. zł miesięcznie), na stroje pierwszej aż tak miłej damy, na całą rzeszę urzędników o wątpliwych kwalifikacjach zawodowych i intelektualnych.

Zaoszczędzoną na Kancelarii Prezydenta kwotę można przeznaczyć na pomoc dla osób z niepełnosprawnościami albo na fundusz rozwoju psychiatrii dziecięcej... A jest na czym oszczędzać. W 2020 r. Kancelaria Prezydenta kosztowała nas, podatników, 188 mln zł! Za rok następny budżet. Można na kancelarii zaoszczędzić jeszcze więcej. Jest o czym dyskutować z prezydentem. Kancelaria zatrudnia ponad 400 osób. W II RP kancelarie cywilna i wojskowa prezydenta RP zatrudniały łącznie kilkakrotnie mniej ludzi! PiS lubi się powoływać na przykład II RP. No to w tym zakresie do niczego złego nie namawiam. Tu akurat ten przykład jest jak najbardziej do wykorzystania. Po wytoczeniu na wały najcięższych dział, zanim wystrzelą, jest czas na negocjacje.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeгляд.pl

DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI



Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn

PUPIL

Marek Chrzanowski – naukowiec, złoty chłopiec PiS, członek Rady Polityki Pieniężnej, przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego, podejrzany, oskarżony

Marek Czarkowski

6 listopada w Sądzie Rejonowym Warszawa-Śródmieście rozpoczął się proces Marka Chrzanowskiego, byłego przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego. Akt oskarżenia wpłynął do sądu trzy lata temu. Z pewnością nie jest to jeszcze finał głośnej afery, która wybuchła 13 listopada 2018 r., gdy Wojciech Czuchnowski i Agnieszka Kublik na łamach „Gazety Wyborczej” w tekście „Spokój za 40 milionów” ujawnili szczegóły rozmowy, jaką ówczesny przewodniczący KNF odbył 28 marca 2018 r. z Leszkiem Czarneckim, właścicielem Getin Noble Banku S.A. Chrzanowski miał w jej trakcie złożyć biznesmeniowi propozycję korupcyjną.

Przyczyną czwartego, jak się potem okazało, spotkania obu panów była, delikatnie mówiąc, trudna sytuacja należącego do miliardera banku. Dotychczas Czarneckiemu zawsze towarzyszyli współpracownicy, lecz tym razem przewodniczący KNF poprosił go o rozmowę w cztery oczy. Biznesmen przygotował się do niej w niecodzienny sposób, zabierając ze sobą dwa dyktafony oraz wbudowaną w długopis miniaturę kamerę.

W gabinecie Chrzanowski poinformował gościa, że są w nim zainstalowane urządzenia antypodsluchowe, które nazywał „szumidłami”, i zapytał go, czy nie ma ze sobą telefonu. Okazało się, że nowoczesne urządzenia cyfrowe – jeden z dyktafonów oraz miniaturowa kamera – niczego nie zarejestrowały, za to nie zawiódł klasyczny taśmowy dyktafon, który uwiecznił rozmowę obu dżentelmenów. Jej kluczowym elementem była sugestia, która padła ze strony



przewodniczącego KNF, by Czarnecki zatrudnił Grzegorza Kowalczyka, radcę prawnego z Częstochowy, który w 2017 r., z rekomendacji banku PKO BP, znalazł się w radzie nadzorczej warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych. Oczywiście ze stosownym wynagrodzeniem. W złożonym przez biznesmena na początku listopada 2018 r. doniesieniu do prokuratury znalazło się stwierdzenie, że Chrzanowski w zamian za przychyłność dla Getin Noble Banku S.A. oczekiwał prowizyjnego wynagrodzenia dla Kowalczyka, które miało sięgnąć 1% skapitalizowanej wartości banku, czyli ok. 40 mln zł. Ma się rozumieć, że przewodniczący KNF nie powiedział tego głośno, po prostu podał Czarneckiemu kartkę, na której było napisane „1%”.

W ocenie mecenas (dziś pośła) Romana Giertycha, który reprezentował miliardera, podanie przez urzędnika państwowego nazwiska osoby,

którą Czarnecki miał zatrudnić, oraz negocjowanie wysokości jego wynagrodzenia, które miało być powiązane z wynikami działalności banku, a te z kolei były zależne od decyzji owego urzędnika, było samo w sobie przestępstwem korupcji.

Komisja Nadzoru Finansowego i przewodniczący Chrzanowski wszystkiemu zaprzeczyli. Padło oskarżenie o szantaż ze strony biznesmena i pytanie, dlaczego tak długo zwlekał z zawiadomieniem organów ścigania, skoro rozmowa odbyła się pod koniec marca 2018 r.?

Gdy na łamach „Gazety Wyborczej” ukazał się artykuł, przewodniczący KNF przebywał w Singapurze. W związku z oskarżeniami skrócił pobyt i wrócił do kraju. Premier Mateusz Morawiecki zażądał od niego wyjaśnień, lecz odwołać go nie mógł, gdyż Chrzanowskiego chroniły przepisy prawa. Jednak nacisk na niego okazał się tak silny, że tego samego

dnia zrezygnował z funkcji. Pod koniec listopada 2018 r. były przewodniczący KNF został aresztowany na dwa miesiące, jak uzasadniła prokuratura: „w związku z obawą matactwa oraz grożącą mu wysoką karą – 10 lat więzienia”. Sąd nie zgodził się potem na przedłużenie aresztu i pod koniec stycznia 2019 r. Chrzanowski wyszedł na wolność. Dziś dr hab. Marek Chrzanowski jest profesorem Szkoły Głównej Handlowej.

Get in i get back

Jest coś symbolicznego w nazwach instytucji finansowych należących niegdyś do Leszka Czarneckiego – Getin Noble Banku oraz zajmującej się wierzytelnościami spółki GetBack.

Get in to po angielsku wejść albo trafić kogoś, zaś *get back* to wrócić

Remedium na te problemy miała być założona w 2012 r. spółka GetBack, zajmująca się windykacją. Nabywała ona portfele wierzytelności, przede wszystkim nieterminowo spłacane kredyty i pożyczki oraz nieopłacone należności za świadczone usługi telekomunikacyjne. Spółka działała niezwykle agresywnie, przepłacając za nabywane pakiety długów. W roku 2018 jej sytuacja była krytyczna. Krach nastąpił, gdy w połowie kwietnia tamtego roku opublikowała komunikat giełdowy o rzekomych rozmowach z Polskim Funduszem Rozwoju oraz PKO BP na temat wsparcia finansowego o wartości do 250 mln zł. Obie instytucje natychmiast zdementowały te informacje, a Giełda Papierów Wartościowych zawiesiła obrót akcjami GetBacku. Komisja Nadzoru Finansowego musiała tym się zająć.

Chrzanowski w zamian za przychylność dla Getin Noble Banku S.A. miał oczekiwać od Czarneckiego prowizyjnego wynagrodzenia dla Kowalczyka w wysokości ok. 40 mln zł.

albo odzyskać coś. Dziś akcjonariusze Getin Noble Banku z pewnością mogą poczuć się trafieni. Bank upadł, a należące do nich walory są nic niewarte. Za to nazwa GetBack idealnie pasowała do firmy zajmującej się windykacjami.

Zapewne Marek Chrzanowski nie znalazłby się w tarapatkach, gdyby interesy tych dwóch podmiotów były prowadzone poprawnie. Powodem jego rozmów z miliarderem był fatalny stan działającego Getin Noble Banku. Od początku jego strategia, oparta na jak największej sprzedaży kredytów oraz innych produktów bankowych, budziła wątpliwości. Z pozoru wyglądało to nieźle, lecz gdy zbyt dużo osób i podmiotów gospodarczych zaczęło mieć problemy ze spłatą zobowiązań, kondycja banku szybko się pogorszyła. Wpłynęła na to również duża skala udzielania kredytów frankowych. W 2018 r. było już wiadomo, że będzie z tym poważny problem. Getin Noble Bank notował coraz większe straty z tytułu niespłaconych kredytów, co prowadziło do niedoboru kapitałów.

W tle pojawił się też wątek polityczny – spółka znana była ze sponsorowania imprez organizowanych przez instytucje i organizacje kojarzone ze Zjednoczoną Prawicą. Pod koniec 2018 r. pojawiły się informacje, że prezes GetBacku Konrad K. kontaktował się z ojcem premiera, Kornelem Morawieckim, w sprawie owych 250 mln zł. Podobno miały być nagrania z tego spotkania, lecz one nigdy

W październiku 2016 r. premier Beata Szydło powołała Marka Chrzanowskiego na pięcioletnią kadencję przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego.

nie wyłygnęły. Okoliczności sprawy, że Czarnecki mógł stać się podatny na różne sugestie ze strony przedstawicieli władzy.

Później wyszło na jaw, że Getin Noble Bank sprzedawał obligacje spółki GetBack, przekonując nabywców, że są to pewne papiery wartościowe. Okazało się, że tak nie jest.

Jeśli ktoś sądził, że te afery mogły zatopić Prawo i Sprawiedliwość, był

w błędzie. Ujawnienie treści rozmowy Marka Chrzanowskiego z Leszkiem Czarneckim, podobnie jak inne skandale z udziałem polityków PiS, nie przeszkodziło Zjednoczonej Prawicy w wygraniu wyborów w 2019 r.

Uczeń Glapińskiego

– Marek Chrzanowski to zdolny ekonomista – mówił mi jeden z naukowców ze Szkoły Głównej Handlowej. – Pracuje u nas, lecz nie prowadzi zajęć ze studentami.

Jego kariera naukowa i polityczna związana była z Adamem Glapińskim, który jest profesorem w SGH. Chrzanowski zrobił na nim dobre wrażenie – młody, zdolny, znający języki. Można powiedzieć, że stał się pupilem Glapińskiego, który został jego promotorem. W roku 2006, w wieku 25 lat Chrzanowski obronił doktorat.

Gdy w roku 2015 Andrzej Duda wygrał wybory prezydenckie, Chrzanowski znalazł się w gronie członków Narodowej Rady Rozwoju, będącej jego ciałem doradczym. Miał wówczas 34 lata.

Prawdziwy „złoty chłopiec PiS”.

W styczniu 2016 r. z rekomendacji tej partii Chrzanowski został powołany przez Senat do Rady Polityki Pieniężnej. Gdy w czerwcu Adam Glapiński zasiadł w fotelu prezesa NBP, było jasne, że pociągnie swojego ucznia w górę. W październiku 2016 r. premier Beata Szydło powołała Chrzanowskiego na pięcioletnią kadencję przewodniczącego Komisji

Nadzoru Finansowego. Oznaczało to przejście przez PiS niemal pełnej kontroli nad rynkiem finansowym w Polsce. Prezes NBP jest figurą ważną, z którą muszą się liczyć premier i minister finansów. Lecz to przewodniczący KNF ma głos przy obsadzie gabinetów prezesów instytucji finansowych. Kieruje wszak urzędem sprawującym nadzór nad bankami i firmami ubezpieczeniowymi. ►

► Nietrudno tu o pokusy. KNF liczy ponad 1000 pracowników, dysponuje rocznym budżetem rzędu 500 mln zł, a kontroluje firmy obracające setkami miliardów. W przeszłości szeptało o liczonych w dziesiątkach tysięcy złotych honorariach, jakie pobierali pracownicy Komisji za wykłady organizowane przez banki i firmy ubezpieczeniowe. Chrzanowski musiał o tym wiedzieć.

Na pytanie, czy uległ pokusie i złożył miliarderoi Czarneckiemu korupcyjną propozycję, będą musiał odpowiedzieć prokuratura, a potem sąd. Politycy, zwłaszcza opozycji, nie mają wątpliwości.

Rodzi się też pytanie o rolę, jaką odegrał prezes NBP prof. Adam Glapiński. W treści ujawnionych nagrań jest fragment, w którym Chrzanowski i Czarnecki umawiają się, że wybiorą się na spotkanie z prezesem NBP. Przewodniczący KNF pokpiwał, że urzędnicza, która kieruje gabinetem Glapińskiego, w przeszłości reklamowała rajstopy. Wkrótce media odkryły „aniołki Glapińskiego” – panie Martynę Wojciechowską i Kamilę Sukienik, pracujące w banku centralnym na odpowiedzialnych, bardzo dobrze płatnych stanowiskach.

W 2019 r. pojawiły się plotki, że to prezes Glapiński skierował

Czarneckiego do Chrzanowskiego. Przypomniano, że po wybuchu afery wystawił on byłemu już przewodniczącemu wyjątkowo pochlebną opinię. Stąd blisko do sugestii, że to nie Chrzanowski miał być głównym beneficjentem rekordowej „prowizji”. Ale też nie Adam Glapiński.

Kto mógł się schylić po 40 mln zł?

Tam, gdzie polityka styka się z wielkimi pieniędzmi, zawsze pojawiają się silne emocje. Jednym z wątków poruszonych w rozmowie przez Marka Chrzanowskiego była sprawa Zdzisława Sokala, który w lutym 2016 r. został członkiem zarządu Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, a w kwietniu tego roku prezesem zarządu BFG.

Kariera naukowa i polityczna Marka Chrzanowskiego związana była z Adamem Glapińskim.

Przewodniczący KNF miał jakoby sugerować miliarderoi, że w oferowanym pakiecie jest też pozbycie się Sokala, który miał wobec Getin Noble Banku swój plan – później zyska on sławę, jako „plan Zdzisława”. Najogólniej sprowadzał się on do doprowadzenia należącego do Czarneckiego banku do upadłości, a następnie przejęciu go przez jeden z dużych banków.

Sokal wszystkiemu zaprzeczał, lecz 14 grudnia 2018 r. – dzień po wybuchu afery – utracił stanowisko przedstawiciela prezydenta RP w Komisji Nadzoru Finansowego, a 5 kwietnia 2019 r. został odwołany z funkcji prezesa Bankowego Funduszu Gwarancyjnego.

Z treści nagrania wynika, że między obozem NBP a obozem Ministerstwa Finansów toczyła się rozgrywka o wpływy. Sokal miał być związany z konkurencyjnym wobec NBP towarzystwem.

Teza o „planie Zdzisława” przewija się do dziś w rozmowach przedstawicieli sektora bankowego i polityków. Jest też teoria, że Chrzanowski był tylko posłańcem, a faktycznym beneficjentem „prowizji” miało być

szeroko rozumiane środowisko polityków Prawa i Sprawiedliwości. Trudno będzie tego dowiedzieć. Za to jest sporo wątpliwości dotyczących tego, co działo się z aktem oskarżenia w ostatnich trzech latach.

Wiadomo, w pandemicznym roku 2020 przyszło odłożyć go na półkę, lecz w roku 2021, a z pewnością w roku 2022 należało rozpocząć proces. Dziś prowadzi go sędzia Urszula Gołębiowska-Budnik, która w trakcie pierwszej rozprawy zdecydowała o wyłączeniu jawności wszystkich wyjaśnień Chrzanowskiego ze względu na ważny interes państwa. O ile mi wiadomo, ani oskarżony, ani prokurator nie wnosili o to. Podjęcie takiej decyzji przez sędzię było możliwe dzięki zmianom w prawie wprowadzonym w czasie pandemii, które de facto podważają konstytucyjny

zapis gwarantujący jawność postępowań sądowych. Tylko patrzeć, jak pojawią się sugestie mówiące, że w ten sposób ktoś chce zamknąć usta Chrzanowskiemu, który deklarował gotowość złożenia obszernych wyjaśnień. W 2018 r. politycy Platformy Obywatelskiej dowodzili, że wymiar tej afery jest poważniejszy niż „afery Rywina”, bo producent filmowy był osobą prywatną i jedynie powoływał się na wpływy, a przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego nie musiał się na nie powoływać – on je miał!

Dlatego nie zdziwię się, jeśli po zmianie rządu prokuratura przyjrzy się tej sprawie i w związku z pojawieniem się nowych okoliczności ponownie podejmie śledztwo.

A co na to Leszek Czarnecki? W przeszłości wyraził opinię, że „plan Zdzisława” został zrealizowany. Getin Noble Bank upadł. On sam unika granic ojczyzny. I być może doszedł do wniosku, że dla świętego spokoju trzeba jednak było zatrudnić radcę prawnego z Częstochowy.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl



Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Opozycja totalna

Można rzec: nic nowego. PZPR też utożsamiała swój interes z interesem Polski. Stanisław Kania, I sekretarz KC PZPR, oznajmiał w 1981 r., że socjalizmu będziemy bronić jak niepodległości. Wojciech Jaruzelski w roku 1982 nazwał popierające go ugrupowanie Patriotycznym Ruchem Odrodzenia Narodowego. Takie deklaracje oburzały mnie do żywego, bo nikt nie ma monopolu na patriotyzm. A przecież miały uzasadnienie. Był Polski, trwałość jej kształtu terytorialnego, zależała od ZSRR. A to mocarstwo żądało w Polsce ustroju socjalistycznego i sojuszniczej wierności. Tu nie było pola kompromisu, choć w szczegółach kompromis osiągnięto jak najbardziej, bo trudno było nie widzieć odrębności PRL – tego „najweselszego baraku w socjalistycznym obozie”. Polityka PZPR, która tak mnie oburzała, realizowała jednak polską rację stanu. Tę rację stanu, która w tamtym okresie historycznym została – bez naszego przyzwolenia – nam dana.

Gdy jednak dziś Jarosław Kaczyński powiada, że wraz z odejściem PiS od władzy Polska utraci niepodległość, nie wkracza nawet na szlaki PZPR. On realizuje politykę wymierzoną wprost w polską rację stanu. I to też nic nowego: taką politykę prowadził przez minione osiem lat. W konsekwencji więc promował polską samotność – tak jak w przegranym 27:1 głosowaniu w Parlamencie Europejskim, gdy nawet Orbánowe Węgry nas opuściły, za to wracająca z Brukseli Beata Szydło była fetowana jak bohaterka. Nieprzypadkowo wzorem dla Kaczyńskiego stali się „żołnierze wyklęci”. Oni też byli politycznie przeciwni skuteczni.

Program prezesa, zaprezentowany w Krakowie na Święcie Niepodległości, zawiera zapowiedź bezwzględnej walki, by nowy rząd nie powstał. A jeżeli tak – to stanowi ten program zagrożenie dla Polski. Bynajmniej nie dlatego, by interes naszego kraju należało znów utożsamiać z interesem politycznego ugrupowania. Ale dlatego, że jest to faktyczne wypowiedzenie wojny (zimnej wojny) własnemu narodowi. Owemu suwerenowi, który przed laty nie schodził z ust rządzącym. Jest to zatem naplucie w twarz tym 11,5 mln obywateli, którzy postavili na polityczną zmianę. I jest to – po drugie – wypowiedzenie wojny (zimnej wojny) Unii Europejskiej. Czyli poniekąd samemu sobie, bo Polska – wołą tegoż suwerena, wyrażoną przed 20 laty w ogólnopolskim referendum – jest tej Unii członkiem. Zdawałoby się, że po doświadczeniach czterech wieków unii polsko-litewskiej polski polityk powinien zdawać sobie sprawę z ograniczeń, jakie niesie

obecność państwa w formule unijnej. Dawna Polska miała unię, bowiem nie miała Kaczyńskiego.

Po trzecie, postrzeganie Niemiec jako państwa wrogiego jest anachronizmem. Dzisiejsze Niemcy są naszym sąsiadem, a przez to – w ramach Unii Europejskiej – najbliższym sojusznikiem. Zważywszy ogrom niemieckich zbrodni w II wojnie światowej oraz polski łup wojenny, jakim się stały tzw. Ziemie Odzyskane, dobre stosunki polsko-niemieckie są kapitałem bezcennym i czymś w rodzaju cudu. Mówiąc, że Niemcy w roku 1989 kwestionowały polskie granice albo że sprzeciwiały się wstąpieniu Polski do NATO, Kaczyński zwyczajnie kłamie. W pierwszym przypadku właśnie wtedy zadzierzgnęły one z Polską przyjazne więzi (choć Helmut Kohl do końca kombinował), w drugim – stały się (we własnym interesie) największym orędownikiem wstąpienia Polski do NATO.

Program prezesa, zaprezentowany w Krakowie na Święcie Niepodległości, to faktyczne wypowiedzenie wojny (zimnej wojny) własnemu narodowi.

Tę postawę symbolizował ówczesny minister obrony RFN Volker Rühe. Szkoda, że o nim zapomnieliśmy.

Wreszcie po czwarte. Od prawie już dwóch lat u naszych wschodnich granic toczy się wojna. A od ponad miesiąca płonie ponownie Bliski Wschód. Szukanie wroga wśród sojuszników Polski to dziś więcej niż zbrodnia, to błąd. Dziś, jak nigdy w III Rzeczypospolitej, niezbędne jest minimum narodowej solidarności, elementarny spokój wewnętrzny, uwzględnienie priorytetów naszego bytu narodowego. Nigdy dość przypominania, że Polska nie jest mocarstwem. I nie dysponuje takim atutem, jakim jest konieczność istnienia. Europa długo obchodziła się bez Polski. Polska jako chory człowiek Europy, nieustannie dokuczający sojusznikom i przyprawiający ich o ból głowy, może w dzisiejszym rozchwybotanym świecie po prostu kiedyś nie przetrwać. Zdawałoby się, że nie tylko polski polityk, lecz wręcz każdy Polak, powinien nosić w sobie traumę kolejnych rozbiorów. Rozbiory były także dlatego, że byli w Polsce malkontenci.

Nie wiem, czy akolici Kaczyńskiego dostrzegą wreszcie, dokąd on prowadzi. Warto, by w końcu dostrzegli. Zanim będzie za późno.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Pandemia niemocy

Nadal umiera zbyt wielu Polaków,
a Ministerstwo Zdrowia czeka na raport
nieistniejącego zespołu



Maciej Mikołajczyk

SARS-CoV-2 powrócił. I to z przytupem – od końca października notuje się ponad tysiąc infekcji dziennie, czyli osiem razy więcej niż w sierpniu. Ta nieszczególnie groźna odmiana wirusa wywołuje jednak stany wymagające leczenia i hospitalizacji, a więc przyczynia się do powiększenia i tak już horrendalnie wysokiego długu zdrowotnego. Tymczasem za sprawą prezydenta Dudy zdrowie Polek i Polaków wciąż jest w rękach PiS.

Niewybaczalny błąd

Resort zdrowia codziennie prezentuje dane dotyczące dynamiki zakażeń covidem i apeluje o przyjmowanie przypominającej dawki szczepionki, ale to tylko gra pozorów. Ministerstwem kieruje Katarzyna Sójka,

Resort zdrowia apeluje o przyjmowanie przypominającej dawki szczepionki, ale korzysta z tego niewiele osób.

lekarka i członkini PiS. Co prawda, na czele resortu stanęła w sierpniu br., więc trudno wymagać, by w tak krótkim czasie uzdrowiała chorą służbę zdrowia, ale to, że nie doprowadziła do zakończenia prac nad raportem na temat sytuacji zdrowotnej w czasie pandemii i po jej zakończeniu, jest jej ewidentnym zaniedbaniem.

To dokument o ważnym znaczeniu dla zdrowia całej populacji. Ma bowiem nie tylko pomóc w zmaganiach z czekającymi nas w przyszłości epidemiami, ale także – a może przede wszystkim – wskazać propozycje i kierunki zmian systemowych zmierzających do zmniejszenia długu zdrowotnego.

Nie istnieje jego ścisła definicja, ale powszechnie przyjmuje się, że jest to spadek dostępności do usług

medycznych i – w rezultacie – wzrost liczby niezdiagnozowanych i nieleczonych chorób, a ostatecznie zgonów. Tak pojęty dług zdrowotny podczas rządów PiS bardzo się powiększył, czego dramatyczną miarą jest fakt, że w 2021 r. liczba zgonów przekroczyła normę o 15%, a w kolejnym o 10%. Zamiast przewidywanych przez statystyków 400 tys., co roku umierało nas 450 tys. i więcej. Początek bieżącego roku był jeszcze gorszy: śmiertelność przekroczyła normę o 20%.

Podczas pandemii główną przyczyną ponadprogramowych śmierci był wirus SARS-CoV-2, ale swoje zrobiły także udary i zawały. Alarmująco wzrosła również liczba zgonów spowodowanych spożyciem alkoholu.

Powiększony przez covid dług zdrowotny nie został spłacony do dziś. A każdy dzień zwłoki we wdrożeniu rozwiązań zmierzających do jego zniwelowania oznacza zbędne zgony i cierpienia. Zbędne, bo żeby ich uniknąć, niepotrzebne są medykamenty za miliony dolarów, kosmiczna technologia czy eliksir nieśmiertelności – wystarczy zapewnić dostęp do opieki medycznej.

Zapomniany zespół

Aby to zrobić, potrzeba zdecydowanych i przemyślanych posunięć, a takich nie da się wykonać bez rzetelnej, wolnej od propagandy analizy. O jej kluczowym znaczeniu dla zdrowia Polaków mówił Adam Niedozielski, poprzednik ministrowi Sójki. To on w czerwcu 2022 r. powołał do życia Zespół do spraw analizy sytuacji zdrowotnej ludności Rzeczypospolitej Polskiej w czasie pandemii COVID-19 oraz jej konsekwencji zdrowotnych, choć należy dodać, że był to efekt nacisku rzecznika praw obywatelskich zaniepokojonego nadmierną liczbą zgonów. Przed zespołem złożonym z przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia, Narodowego Funduszu Zdrowia, Głównego Inspektoratu Sanitarnego oraz Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego postawiono cztery zadania: przeprowadzenie kompleksowej analizy sytuacji zdrowotnej w czasie pandemii; zidentyfikowanie konsekwencji zdrowotnych powstałych w związku z pandemią;

przygotowanie propozycji zmian systemowych mających na celu wyjście z długi zdrowotnego i opracowanie raportu z analizy sytuacji zdrowotnej oraz jej konsekwencji. Zespół zbierał się wielokrotnie, ale nie zdołał zrealizować ani jednego zadania.

Pod koniec zeszłego roku minister Niedzielski zorientował się, że wydane przez niego zarządzenie przewiduje, że zespół zakończy działalność z dniem przedstawienia ministrowi zdrowia raportu, nie później jednak niż do 31 grudnia 2022 r. I przedłużył czas na przedstawienie raportu do 31 marca 2023 r. W marcu Niedzielski zrzucił, że zespół przestanie działać w czerwcu. W czerwcu o zespole zapomniał i kolejnego zarządzenia przedłużającego jego działanie nie wydał, choć raportu wciąż nie było. Dokument nie powstał do dziś, bo o zespole zapomniała również Katarzyna Sójka, następczyni Niedzielskiego.

Praca wre

W związku z tym do Ministerstwa Zdrowia wysłałem następujące pytania:

1. Czy Zespół do spraw analizy sytuacji zdrowotnej w czasie pandemii oraz jej konsekwencji zdrowotnych zakończył działalność? Proszę o podanie daty ostatniego posiedzenia Zespołu. Jeżeli Zespół wciąż działa – proszę o podanie podstawy prawnej jego działania.

2. Czy Zespół przedstawił ministrowi zdrowia raport w sprawie sytuacji zdrowotnej ludności Rzeczypospolitej Polskiej w czasie pandemii COVID-19 oraz jej konsekwencji zdrowotnych wraz z wnioskami i propozycjami zmian? Jeśli tak – proszę o przesłanie raportu albo o podanie linku do raportu. Jeśli nie – proszę o podanie przyczyn nieprzedstawienia raportu.

3. Ile kosztowała działalność Zespołu?

Resort z odpowiedzią uporał się błyskawicznie, ale jest ona nader lakoniczna. „Zgodnie z zarządzeniem Ministra Zdrowia w sprawie powołania »Zespołu do spraw analizy sytuacji zdrowotnej ludności Rzeczypospolitej Polskiej w czasie pandemii COVID-19 oraz jej konsekwencji zdrowotnych« Zespół zakończył swoją działalność do 30 czerwca 2023 r. Za udział

w posiedzeniach nie przysługiwało wynagrodzenie, działalność Zespołu była prowadzona bezkosztowo. Trwają prace nad raportem z analizy sytuacji zdrowotnej ludności Rzeczypospolitej Polskiej w czasie pandemii COVID-19 oraz jej konsekwencji zdrowotnych” – poinformowało mnie biuro prasowe resortu (odpowiedź w wersji oryginalnej).

Pal licha kulawą polszczyznę odpowiedzi. Gorzej, że resort zdrowia twierdzi, iż zespół, który zakończył działalność, czyli przestał istnieć, jednocześnie pracuje nad raportem w sprawie pandemii i jej skutków. Wartość dokumentu wytworzonego przez ciało funkcjonujące bez podstaw prawnych jest bliska zeru. Nowelizacja zarządzenia konstytuującego funkcjonowanie zespołu straciła ważność niemal pół roku temu, co oznacza, że nawet jeśli raport w końcu ujrzy światło dzienne, to – cytując klasyka – stanie się to bez żadnego trybu. Pisowska logika dopuszcza takie rozwiązanie, ale kolejka w Jagodnie stała po to, by beztrybie wyładowało na śmietniku historii.

TVP nie jest nadawcą publicznym

Odpowiedź Rady Etyki Mediów na list oburzonego telewidza

Pan Mateusz Rędzioch,
Szanowny Panie,

10 października 2023 roku, na tydzień przed wyborami, złożył Pan do Rady Etyki Mediów skargę na „obecnie emitowane audycje w ramach rzekomo publicznej telewizji”. Skierował Pan ją również do KRRiT, Rady Mediów Narodowych, OBWE w Wiedniu, EBU w Brukseli i dwóch międzynarodowych organizacji dziennikarskich – CPJ i RSF.

Stwierdził Pan, że „Na TVP Info brakuje obecnie informowania o bieżących wydarzeniach, jak np. kryzys w generacji Wojska Polskiego, za to uprawiana jest autopromocja w postaci ciągłego komentowania własnej audycji Debata Wyborcza, która standardów debaty nie spełniała”.

Zauważył Pan, że „emitowanie spotu wyborczego jednego komitetu wyborczego w ramach audycji (nie w bloku reklamowym czy spotów wyborczych) oraz relacji z mało istotnych wydarzeń, takich jak otwarcie komisariatu policji przez przedstawiciela partii rządzącej lub podpisanie listu intencyjnego w sprawie powstania oddziału muzeum, jest wprost elementem kampanii wyborczej”.

W Pana ocenie „W ramach programu nie zapewnia się pluralizmu wypowiedzi, audycje komentowane są jednostronnie, a tym samym TVP Info czynnie bierze udział w kampanii wyborczej na rzecz jednego z komitetów, co zaprzecza jakimkolwiek standardom pracy dziennikarzy, demokracji i kampanii wyborczej”.

Trudno nie zgodzić się z Pana oceną, szczególnie obecnie, po wyborach, kiedy jest już sporo analiz roli, jaką odegrały w nich media publiczne. Na propagandę zamiast informacji w programach TVP wskazywali analitycy mediów: „Z »Wiadomości« jako programu informacyjnego niczego nie można było się dowiedzieć” – podsumował ich 33-dniowy monitoring przez ekipę Towarzystwa Dziennikarskiego dr Krzysztof Grzegorzewski. Obserwatorzy OBWE podkreślili rolę „niekształconych i otwarcie stronniczych relacji nadawcy publicznego”.

Od 2019 r. Rada Etyki Mediów ponad 20 razy odpowiadała na podobne do Pańskiej skargi osób i instytucji zarzucających TVP i Polskiemu Radiu niewypełnianie misji nadawcy publicznego w konkretnych audycjach. Pan ich nie podał, dlatego nie odnosimy się do szczegółów, ale potwierdzamy, że TVP i Polskie Radio od 2016 r. zatraciły charakter nadawcy publicznego, którego przekaz zgodnie z art. 21.1 ustawy o radiofonii i telewizji powinien charakteryzować się „pluralizmem, bezstronnością, wyważeniem i niezależnością”.



W imieniu Rady Etyki Mediów
Andrzej Krajewski, członek REM

Koniec przyjaźni

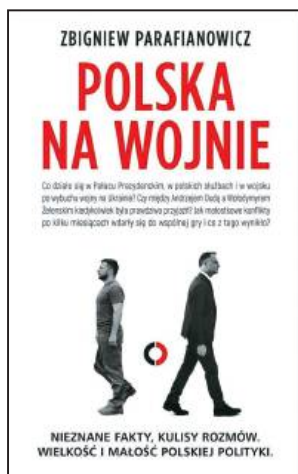
Dlaczego polska polityka wobec Ukrainy zawiodła?

Jakub Dymek

Wódka, baranie kozuchy, muzyka i śpiewy. Tak wyglądał najambitniejszy projekt polsko-ukraińskiej dyplomacji przed 24 lutego 2022 r. Decydenci w Warszawie doszli do wniosku, że muszą zbliżyć się z prezydentem Zełenskim i jego ekipą, z którą – co samo w sobie uderzające – nie udało im się wcześniej zbudować funkcjonalnych relacji i sprawnych kontaktów. Postawiono więc wszystko na jedną kartę – „projekt przyjaźń”. Była to próba „wejścia w buty prezydenta Kwaśniewskiego z czasów pomarańczowej rewolucji i zbudowania półprywatnych relacji między Dudą i Zełenskim”.

Zapadła decyzja, aby głowy obu państw, prezydenci polski i ukraiński, wraz z doradcami, spotkali się w nieformalnej, męskiej atmosferze. To znaczy: z alkoholem, jedzeniem, śpiewami i wygłupami. Jako miejsce wybrano prezydencki ośrodek w Wiśle. Do spotkania doszło, misja się powiodła, ekipy Dudy i Zełńskiego rzeczywiście się do siebie zbliżyły. Choć podobno to polski prezydent mocniej uwierzył w przyjaźń i szczerą bliskość. Miesiąc po spotkaniu rosyjscy żołnierze przekraczali granice Ukrainy i parli na

Parafianowicza „Polska na wojnie”. Autor obiecuje odstąpić kulisy polskiej dyplomacji po 24 lutego 2022 r. i rzucić światło na prawdziwe przyczyny zarówno zbliżenia, jak i rozłamu między Warszawą a Kijowem w ciągu kilkunastu miesięcy. Jednak oprócz przedstawienia całego morza anegdot i nieznanych wcześniej faktów autorowi udaje się coś jeszcze. Na nieco ponad 200 stronach przedstawia sukcesy i trafne oceny polskich władz, ale zarazem kompletne fiasko polityki romantyczno-emocjonalnej, której „projekt przyjaźń” miał być najlepszym wyrazem. Warto temu się przyjrzeć i samodzielnie ocenić.



godzin przed tą inwazją”, tłumaczy Parafianowiczowi w książce jeden z polskich dyplomatów (wszyscy rozmówcy pozostają anonimowi). Już to zdanie i następujący po nim opis polskich kroków ujawnia pierwszą sprzeczność polityki zagranicznej obozu PiS. Z jednej strony bowiem, ważną częścią legendy partii Kaczyńskiego jest to, że lepiej niż inni „rozumie Wschód”, ma pozbowiony złudzeń stosunek do Rosji i zawsze spodziewa się agresywnych kroków Moskwy. W tygodniach po inwazji Polskie Radio nadawało nawet regularnie dżingiel ze słowami Lecha Kaczyńskiego, przypominający słuchaczom, kto już kilkanaście lat temu właściwie przewidział atak Rosji na sąsiada. Z drugiej jednak strony – rzeczywistość przeczyła propagandzie. Polskie państwo – większość służb, aparat dyplomatyczny, analitycy – wcale nie rozumiało Wschodu i nie znało się na Rosji lepiej niż Amerykanie, Brytyjczycy czy inne państwa wschodniej flanki NATO. Nie mieliśmy wyjątkowej wiedzy, kontaktów ani zdolności rozpoznania sytuacji, które miałyby czynić z Polski europejskiego rozgrywającego na Wschodzie – jak lubią sobie polskie elity.

„Kaczyński był jednym z nielicznych, którzy wierzyli w wojnę na pełną skalę. My kierowaliśmy się analizami naszych służb i wojska, że owszem dojdzie do wojny, ale będzie ona prowadzona na Donbasie i południu Ukrainy. (...) MSZ było 24 lutego zaskoczone (...) analizy wojskowych z pierwszych dni wojny były bardzo rozczarowujące. Generalicja się nie popisała” – podobnych wypowiedzi urzędników Kancelarii Prezydenta, dyplomatów i ministrów w rządzie Morawieckiego jest w książce Parafianowicza więcej.

W kolejnych dniach po 24 lutego (mimo że analizy mówiły co innego) polski aparat władzy i dyplomacja

Duda i Zełenski wraz z doradcami spotkali się w prezydenckim ośrodku w Wiśle w nieformalnej, męskiej atmosferze. Z alkoholem, jedzeniem, śpiewami i wygłupami.

Kijów. Gdyby nie spotkanie w Wiśle, w tym kluczowym momencie relacje Polski i Ukrainy byłyby dużo słabsze, a dojścia polskiej władzy do ukraińskich elit jeszcze bardziej niż dziś mizerne.

Tą historią zaczyna się fascynująca i ożywcza książka Zbigniewa

Moment wielkości

„Zacznijmy od tego, że nikt w Europie nie wierzył w wojnę na pełną skalę i marsz na Kijów. Ten, kto twierdzi, że wiedział, kłamie. Wszyscy dowiedzieliśmy się 23 lutego 2022 r. wieczorem, czyli kilka



Wydaje się, że to Andrzej Duda bardzo uwierzył w przyjaźń i szczerą bliskość z Wołodymyrem Zełenskim.

podstawie tego, co w jego przekonaniu było szczerą przyjaźnią i potrzebą bliskich więzi ze strony Zełenskigo. Polskie państwo natomiast, mówiąc o wyższych koniecznościach i potrzebie odwagi, próbowało przekonać do swoich racji innych – w tym Niemców czy Amerykanów. Osłabienie wizerunku innych europejskich stolic i globalny szok decyzją Putina o inwazji Warszawa próbowała rozgrywać na naszą korzyść.

Na początku, tak długo jak emocje i odruchy były ważniejsze niż twarda gra interesów, Polska czuła, że wiatr jej sprzyja. Ten model polityki jest zresztą dosłownym wcieleniem w działanie poglądów Jarosława Kaczyńskiego. Prezes uważa, że w Europie są narody mające racje moralne i narody tych racji pozbawione. Polityka zaś nie należy prowadzić, opierając się na rachunku siły i zdolności, ale rachunku racji i moralnych przewag – skoro Polska (a także Litwa, Estonia czy Rumunia) miały rację, to one powinny wieść prym. I to im powinno się powierzyć rolę wiodącą. A że nikt dobrowolnie władzy w Europie

rzuciły się do przekonywania Europy i świata, że Kijów się obroni, a dostawy zaawansowanego sprzętu to konieczność. Słowem: Warszawa zadziałała w logice własnych przekonań i wartości, a nie wiedzy i fachowej ekspertyzy. Świat wierzył, że Kijów padnie. W tym czasie Warszawa uważała, że podtrzymywanie morale i wiara w Ukrainę są ważniejsze niż fatalizm większości (także amerykańskich) analiz. Trzeba pomagać, bo taka jest moralna, historyczna i polityczna konieczność. Późniejsze wydarzenia potwierdziły – przynajmniej krótkoterminową – trafność tych intuicji. Te dni i tygodnie Parafianowicz nazywa momentami wielkości polskiej polityki. Zachowawczy Niemcy, Francuzi, Amerykanie zaufali rozumowi, Polska postawiła na serce i wiarę – i wygrała. Przez pewien czas znaczenie Warszawy naprawdę wzrosło, a światowe media z „New

Ukraińcy szybko zaczęli podważać naszą pozycję w Brukseli i Waszyngtonie.

York Timesem” na czele pisały, że „centrum ciężkości Europy przesunęło się w stronę Warszawy i Kijowa”.

Ale w tym sukcesie były też ziarna późniejszej porażki.

Serce ponad rozum

Książka Parafianowicza to doskonały obraz tego, w jakim paradygmacie działała polska polityka zagraniczna czasów PiS. To model, w którym emocje, wartości i moralne przewagi znaczą więcej niż talent, pragmatyzm i skuteczność. Dlatego też tak dobrze ów model sprawdził się w pierwszych kilku miesiącach inwazji, a zawodził później. Polski prezydent budował relacje z Ukrainą na

nie chce oddać Polakom, Litwinom i Estończykom? To jawna nieprawość i kolejny dowód niemoralnej postawy zachodnich stolic!

Najlepszą ilustracją tego podejścia są nawracające narzekania polskich dyplomatów na pragmatyzm, interesowność i transakcyjne podejście do rzeczywistości Niemców i Francuzów. Jednak są irytacją, że Niemcy i Francuzi nie są jak my, Słowianie, pryncypialni, odważni i porywcy, nie idzie spostrzeżenie, że z tego bierze się ich sukces. Osiągają rezultaty, bo są na nie nastawieni (i oczywiście gospodarczo oraz politycznie silniejsi niż my). My zaś liczymy, że inni będą nas darzyć respektem, bo wykazaliśmy się odwagą czy wręcz kozactwem. ►

► Bo to, że polski ambasador w Kijowie kozaczył i zamiast siedzieć w schronie podczas ostrzału rakietowego, oglądał mecze Legii Warszawa, budzi u rozmówców Parafianowicza podziw i dumę. Nie wiedzą jednak, dlaczego – skoro Polacy są takimi bohaterami – nie liczą się z nimi ani Amerykanie, ani Niemcy, ani Francuzi, ani nawet sami Ukraińcy.

Ukraiński pragmatyzm

Mój ulubiony fragment książki, doskonała wręcz sekwencja, dotyczy polskiego nieuznawania reguł międzynarodowej polityki i jednocześnie próby uczestnictwa w niej na własnych zasadach, tej pisowskiej mieszanek pogardy wobec Zachodu pomieszanej z wielkim apetytem na komplementy, docenienie

ale jednocześnie nie precyzują nawet, co chcieliby uzyskać, i złością się na tych, którzy wykazują się większym niż oni pragmatyzmem. Złość na to, że ktoś inny jest od nas bardziej pragmatyczny, wręcz wylewa się z kolejnych wypowiedzi. Ale, co ciekawe, nie prowadzi autorów tych słów do logicznej konkluzji, że może i my powinniśmy się podobnym pragmatyzmem wykazać. Ostatecznie na tym tle dochodzi do rozłamu z Kijowem – bo i Ukraińcy w końcu okazują się pragmatykami, zainteresowanymi nie tyle budowaniem z Polską przyjaźni, ile zabezpieczaniem własnych interesów.

Gdy najlepszy czas dla polskiej polityki zagranicznej minął, a nasz kraj przekazał Ukrainie to, co mógł, rząd w Warszawie został z niczym. Polacy – co kiedyś wprost powiedział

wyartykułowania własnych oczekiwań oraz przekonanie, że pomagamy Ukrainie, bo musimy, doprowadziło do tego, że Polska nie wzmocniła swojej pozycji, a sami Ukraińcy szybko zaczęli podważać naszą pozycję w Brukseli i Waszyngtonie. A zupełnie trywialne błędy obu stron w sprawie zboża i Wołynia, które dodatkowo nałożyły się na trwającą w Polsce kampanię wyborczą, ostatecznie projekt przyjaźni zrujnowały. Prezydent Duda zaś – jak pisze Parafianowicz – Ukrainą zwyczajnie się znudził.

Ukraińcy wykidali łocha, czyli porzucili frajera, mówi teza „Polski na wojnie”. Zgodnie z twardymi regułami ukraińskiej polityki, gdy przyjaciel lub patron przestanie być użyteczny, należy go wystawić. Bez sentymentów i dzielenia włosa na czworo. Tak w świetle zebranych w książce relacji Parafianowicza ukraińskie władze postąpiły z Polską. Dziś Kijów nie potrzebuje – o ile w ogóle kiedyś potrzebował – Warszawy, aby rozmawiać z Waszyngtonem,

Gdy najlepszy czas dla polskiej polityki zagranicznej minął, a nasz kraj przekazał Ukrainie to, co mógł, rząd w Warszawie został z niczym.

i uznanie ze strony tegoż Zachodu. Polscy dyplomaci narzekają, że – to dosłowny cytat – Francuzi i Niemcy nie dopuszczają nas do grona „rasy panów” i wciąż uważają za dzikusów i barbarzyńców. Chwilę później jednak sami chwalą się tym, że obrażają i wyśmiewają Niemców dla samej przyjemności wyśmiewania – czym tylko utwierdzają ów wizerunek dzikusów i barbarzyńców. Cieszą ich gesty upokorzenia Niemców ze strony Ukraińców, a dzwoniący do Putina Macron bawi.

Wiedzą, że domaganiem się od Niemiec reparacji nic nie uzyskają,

były minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski – „w zamian za czołgi oczekiwali gestów”. Jednak Zełenski nie dał im nawet tego, zwlekając z wizytą w Warszawie i traktując Polskę wyłącznie jako dodatek do lotnisk w Rzeszowie i na Okęciu. Nawet więc w kwestii symboli, na których polskim władzom tak zależało, nie udało się wiele uzyskać. Zełenski odwiedza Waszyngton, Brukselę, Paryż i Berlin, zanim pojawia się z wizytą w Polsce. W kwestii Wołynia nie dochodzi do żadnego istotnego przewartościowania, na jakim Polakom zależało. Nieumiejętność

Berlinem i Paryżem. Dla odchodzącego rządu w Polsce zaś pomoc dla Ukrainy nie jest już źródłem legitymacji, jak to było w 2022 r., ale raczej źródłem rosnących napięć. Dawni wielcy sojusznicy Ukrainy – ci w polskiej klasie politycznej i w mediach – w obliczu porażki kontrofensywy zmienili obiekt swojego zainteresowania z Ukrainy na Izrael i Gazę. Na przyjaźni nie udało się zbudować trwałych osiągnięć. Ale czy można było spodziewać się czegoś innego?

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU 2024

Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł

Zamówienia można składać do 25 listopada 2023 r.

97,50 zł – I kwartał

195,00 zł – I półrocze

390,00 zł – cały rok



We wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl



**PLAĆ MNIEJ
I OSZCZĘDZAJ!**



PRZYWRÓCIĆ PRAWORZĄDNOŚĆ

Prof. Wojciech Sadurski: Przez ostatnich osiem lat zbliżaliśmy się do Budapesztu

14 listopada odbyło się seminarium zorganizowane przez Instytut Polityczny im. Macieja Rataja „Jak naprawić demokrację i przywrócić praworządność w Polsce po wyborach?”. Była to kolejna część cyklu spotkań „Jak naprawić Polskę?”. Główną prezentację dotyczącą naprawy demokracji, praworządności i wyzwań, z jakimi się to wiąże, przedstawiał prof. Wojciech Sadurski – konstytucjonalista, politolog i filozof wykładający na co dzień filozofię prawa na Uniwersytecie w Sydney oraz w Centrum Europejskim Uniwersytetu Warszawskiego.

Prof. Sadurski jest znanym komentatorem życia politycznego i autorem licznych książek oraz artykułów naukowych z zakresu filozofii prawa, konstytucjonalizmu porównawczego i filozofii politycznej.

Spotkanie otworzył dyrektor Instytutu Politycznego im. Macieja Rataja dr Czesław Siekierski. W swoim wystąpieniu prof. Sadurski nakreślił ramy działań, jakie jego zdaniem powinno się podjąć w najbliższych latach, aby przywrócić w Polsce praworządność w sposób zgodny z demokracją. Zaczął jednak od opisanie czym, jest „liberalny cud nad Wisłą”. „W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, Brazylii czy Izraela w Polsce nastąpiła bardzo głęboka destrukcja systemu instytucji demokracji politycznej, destrukcja dyskryminująca partie opozycyjne, a mimo to polska opozycja wygrała w sposób kontrastujący z klęskami oraz marginalnymi zwycięstwami opozycji demokratycznej w innych krajach. A zatem z punktu widzenia czysto opisowego stał się cud”, mówił prof. Sadurski.

Profesor opisał też, w jakim kierunku zmierzał ustrój Polski pod rządami PiS. 15 października zatrzymano rozwój populizmu autorytarnego, który



Seminarium zorganizował Instytut Polityczny im. Macieja Rataja. Nz. prezes Instytutu dr Czesław Siekierski i prof. Wojciech Sadurski. Warszawa, 14 listopada 2023 r.

według niego jest zupełnie nową postacią autorytaryzmu. Nie rodzi się on z zamachu stanu, ale z w miarę demokratycznych i w pełni wolnych wyborów. Następnie, już po wyborach, elementy autorytaryzmu wprowadzane są zupełnie nieautorytarnymi metodami. Prof. Sadurski podkreślił, że

takich sytuacji było w ostatnich latach na świecie wiele: w Brazylii Bolsonaro, Indiach Modiego czy na Węgrzech Orbána.

Konstytucjonalista podkreślił, że Polska zbliżała się systemowo do modelu węgierskiego: „Zmiana reguł, podmiana arbitrów i osłabienie oponentów. To wszystko wydarzyło się w ostatnich latach w Polsce. Zbliżaliśmy się bardzo szybko do Budapesztu. (...) Bardzo ładne miasto, ale proszę przyjrzyć się polityce, prawom, sędziom czy mediom. Widać, do czego się zbliżaliśmy”.

Na koniec prof. Sadurski stwierdził, że mimo ogromnej chęci zdecydowanego posprzątania po rządach Prawa i Sprawiedliwości musimy pamiętać, że jesteśmy jako państwo w stanie kapitalnego remontu okrętu, który znajduje się na pełnym morzu. Nie da się też według naukowca wrócić do roku 2015. Nie chcemy bowiem odtworzać deficytów demokracji, które pozwoliły na jej rozmontowanie.

Kornel Wawrzyniak

KSIAŻKI

Anna Bojar-Fijałkowska

Gracjan Bojar-Fijałkowski (1912-1984)

– żołnierz, literat, społecznik.

Biografia nietuzinkowa

Wydawnictwo Jasne,

Koszalin – Pruszcz Gdański 2023

„Gracjan Bojar-Fijałkowski – badacz przeszłości, publicysta i działacz zaangażowany społecznie, swoim życiorysem udowodnił potrzebę poświęcenia mu odrębnej, jednostkowej publikacji. Ta książka jest rodzajem laudacji, wyrazem poważania, szacunku i podziwu dla osoby wyjątkowej, a także po prostu dla Ojca. Powstała też z dumy ze stryjów, których w tej monografii również objęłam pamięcią. Nieczęsto bowiem zdarzają się w jednej rodzinie tak zasłużone osoby”, pisze autorka, prywatnie córka Gracjana Bojar-Fijałkowskiego – uczestnika kampanii wrześniowej, żołnierza AK, więźnia Auschwitz. Dopelnieniem opracowania są dokumenty i fotografie oraz aneks z wykazem odznaczeń i bibliografia.



Szlachcic w kozie

Prokuratura oskarża ojca pisowskiego wiceministra o czyny pedofilskie. Ergo: Ziobro nie wszystkim prokuratorom złamał kręgosłup

Maciej Mikołajczyk

Kiedy tylko opadł kurz bitewny i okazało się, że Morawiecki, by ocalić Polskę przed Unią Europejską, zmuszony będzie tworzyć niemający poparcia Sejmu rząd, Tomasz Rzymkowski, wiceminister edukacji i nauki, twarz deformy oświaty, obrońca tradycyjnej rodziny i zwolennik wyrzucenia ze szkół lewicowych organizacji – jego zdaniem – sposobiących dzieci do roli ofiar pedofilów, udzielił wywiadu tygodnikowi „DoRzeczy”. „Czy jeśli opozycja przejmie władzę, możemy obawiać się ideologizacji oświaty?”, zapytał dziennikarz periodyku o mylącą nazwie, a wice-minister z powagą odpowiedział: „Z pewnością”.

Po omówieniu polityki przez „P” wielkie jak powstała z kolan Polska, rozmowa zesła na tematy osobiste. Wiceminister wyjawiał, że postem nie został, do tego, by ponownie zdobyć mandat, zabrakło mu 537 głosów, ale niespecjalnie nad tym boleje, gdyż jest zmęczony i przepracowany. „Będę normalnie żył. A na początek na pewno odpoczywał. Skupię się również na nadrabianiu zaległości, jeśli chodzi o kontakty z rodziną”, stwierdził.

O tym, że kontakty z rodziną mogą być utrudnione z uwagi na specyfikę pobytu w zakładzie karnym, wice-minister nawet pisał. Tak czuły na punkcie rodziny tygodnik „DoRzeczy” także pominął tę kwestię.

Ale po kolei.

Foto z tatą

Czerwiec 2020. Kampania prezydencka zbliża się do końca. Tomasz Rzymkowski w mediach społecznościowych zamieszcza wpis:



Tomasz Rzymkowski chętnie wypowiadał się o świętości tradycyjnej rodziny i moralnej wyższości środowiska, z którego się wywodzi.

„Wyberzemy nie tylko Prezydenta RP, dokonamy także wyboru cywilizacyjnego. Zdecydujemy między Polską, w której małżeństwem jest związek kobiety i mężczyzny, a Polską, w której małżeństwem jest związek dwóch panów albo jednego pana z kozą”. Do tekstu załącza rysunek. Przedstawia trzech mężczyzn i kozę płci nieznanej. Dwóch zawiera związek małżeński. Trzeci czule spogląda w kozie oczy i rzece: „Jeszcze tylko ci dwaj panowie wezmą ślub i zaraz potem my”.

Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, doktor prawa, ojciec trzech synów i syn Kościoła wierny katolickiej nauce społecznej zaciekle broni się przed atakami mediów zarzucającymi mu prymitywną homofobię. I nic dziwnego, bo to szlachcic pełną gębą. („Gdy zostałem postem,

ojciec zawołał: »Kolejny Rzymkowski po 200 latach w Sejmie!«. Nasi przodkowie uczestniczyli w sejmach, byli stronnikami króla Stanisława Leszczyńskiego. Jestem szlachcicem XXI w., herbu Pilawa”). A szlachectwo zobowiązuje: Rzymkowski zamiast bić się w pierś i błagać o wybaczenie za grubo dowcip, peroruje, że „kobieta z kobietą, mężczyzna z mężczyzną lub mężczyzna z kozą nie dają dzieci, co oznacza, że jedynie małżeństwo pomiędzy kobietą i mężczyzną winno być dopuszczalne”.

W tym samym czasie Prokuratura Rejonowa w Kutnie pod nadzorem łódzkiej okręgówki wszczyna śledztwo w sprawie czynów pedofilskich popełnionych na osobie nieletniej. W kręgu podejrzeń od początku jest Maciej R., ojciec wiceministra herbu Pilawa.

O popełnieniu przestępstwa zawiadomiła organa ścigania pokrzywdzona. Sprawa jest delikatna, bo z Rzymkowskimi łączą ją relacje rodzinne.

Do obiegu przemykane są wiadomości, że rodzina Rzymkowskich uważa, iż oskarżenia są wyssane z palca i „stoi murem za ofiarą pomówień”.

Oskarżenie Macieja R. dotyczy czynów o charakterze seksualnym na szkodę osoby małoletniej. Sąd przedłużył jego areszt do 22 marca 2024 r.

Ale po dwóch latach śledztwa prokuratura wnioskuje o zastosowanie wobec Macieja R. aresztu tymczasowego (ze względu na możliwość mataczenia i wymierzenia surowej kary). Opowieść o tym, że prokuratura pod butem Ziobry aprobeuje fałszywe oskarżenia i na ich podstawie składa wniosek o areszt wobec ojca wiceministra, brzmi niewiarygodnie. Zwłaszcza że sąd wniosek przyklepuje i R. senior ląduje za kratami. (Jako pierwsze informacje o aresztowaniu podaje Radio ZET).

Rzymkowski junior milczy. I po cichu usuwa fotografie ojca ze swoich profili w mediach społecznościowych. Bo kampania wyborcza do parlamentu za pasem, a siedzący w areszcie ojciec może zaciążyć nie tylko wiceministrowi, ale także całej Zjednoczonej Prawicy. No i powstałej z kolan Polsce.

Z brawurą

Wrzutka „Maciej R. padł ofiarą pomówień, niebawem okaże się, że jest niewinny” wciąż jest aktywna.

Lecz w grudniu ub.r. prokuratura sporządza akt oskarżenia. I składa wniosek o przedłużenie aresztu, sąd do wniosku się przychyli, co oznacza, że śledczy mają mocne dowody świadczące o winie Macieja R. Na tyle mocne, że nie obawiają się retorsji zwierzchników. Bo kaczymy to taki ustrój, w którym wszczęcie niewygodnego dla władzy postępowania prokuratorskiego wymaga odwagi, a posadzenie w areszcie i oskarżenie ojca znanego wiceministra to akt wręcz brawurowy.

Proces toczy się przed Sądem Okręgowym w Łodzi. Dotąd odbyło się sześć rozpraw (kolejną zaplanowano na 22 listopada). Nie udało mi się ustalić, czy osoba, która zawiadomiła o przestępstwie, jest jedyną pokrzywdzoną.

Sędzia Iwona Konopka, rzeczniczka prasowa ds. karnych: – Na pierwszej

rozprawie, na wniosek stron, sąd wyłączył jawność postępowania, by nie dopuścić do naruszenia ważnego interesu prywatnego oraz obrazy dobrych obyczajów. Udzielenie szczegółowych informacji jest więc niemożliwe.

Krzysztof Kopania, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Łodzi: – Potwierdzam, że oskarżenie dotyczy czynów o charakterze seksualnym na szkodę osoby małoletniej. Areszt wobec oskarżonego przedłużono do 22 marca 2024 r. Z uwagi na charakter postępowania i jego dobro nie mogę podać bliższych danych.

Pytania skierowałem także do Tomasza Rzymkowskiego oraz do

rzecznika Ministerstwa Edukacji i Nauki (zapytałem m.in., czy wiceminister Rzymkowski usiłował wpływać bądź wpływał na postępowanie prowadzone przez prokuraturę oraz dlaczego usuwał fotografie ojca). Nie dostałem odpowiedzi.

Czy można winić Tomasza Rzymkowskiego za to, że jego ojciec trafił do aresztu oskarżony o czyny pedofilskie? Ja go nie winię. Ale pamiętam, że wiceminister to osoba publiczna, chętnie wypowiadająca się o świętości tradycyjnej rodziny, demoralizacji lewactwa nastającego na małych Polaków i wyższości moralnej środowiska, z którego się wywodzi. Pamiętam także, że środowisko Rzymkowskiego i przychylnie mu media opluwały i opluwają Tuska z powodu dziadka w Wehrmachcie, Tomasza Lisa ze względu na wyimaginowaną przeszłość ojca, mającego służyć w wojsku w charakterze politrucka (co okazało się pisowską fałszywką), a Jerzego Owsiaka dlatego, że jest synem milicjanta.

Czasem nie ma wyjścia: trzeba być symetrystą do krwi ostatniej (choć przysięgam, że pluć nie warto).

Maciej Mikołajczyk

DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

...w tobie
nadzieja na
dopasowanie

Zostań dawcą szpiku!

Płeć, pochodzenie, tatuaże nie mają znaczenia.
Zarejestruj się na dkms.pl

Gabrysia,
żyje dzięki dawcy szpiku

Łukasz,
potencjalny dawca szpiku



Ofiary izraelskiego bombardowania szpitala Nassera w Chan Junus w Strefie Gazy.

Co się stanie po wojnie w Gazie?

Wygląda na to, że Izrael rozpoczął wojnę bez jasnego pomysłu na przyszłość

Jakub Katulski

Cel izraelskiej inwazji na Strefę Gazy określony jest wciąż dość mgliście – przynajmniej tak wynika z informacji podawanych do wiadomości publicznej. Izrael ustami premiera Beniamina Netanjahu mówi jedynie o zniszczeniu Hamasu, a wspierający go amerykański prezydent Joe Biden wprost stwierdza, że operacja „zakończy się, gdy Hamas nie będzie mógł już mordować izraelskich cywilów”. Wiele wskazuje jednak na to, że samo zniszczenie palestyńskiej organizacji nie jest jedynym celem, a Izraelczycy mają zamiar zostać w Gazie na dłużej.

Można się jednak zastanawiać nad tym, jaki miałby być cel wprowadzenia żołnierzy na długi czas do niewielkiej Strefy Gazy, tym bardziej że często pojawiają się

trzy możliwe scenariusze dalszego rozwoju tej sytuacji.

Scenariusz I. Utworzenie niepodległego państwa palestyńskiego

Byli przywódcy Izraela, Ehud Barak i Ehud Olmert, pytani o to, jak powinna skończyć się obecna operacja, jasno wskazują, że utworzeniem niepodległego państwa palestyńskiego. Dla nich jest to sprawa oczywista, gdyż obaj zapamiętani zostali jako ci, którzy prowadzili pokojowe negocjacje z Palestyńczykami, które miały być bliskie sukcesu. Olmert, urzędujący w latach 2006-2009, ma nawet żal do izraelskiej prawicy, której sam był częścią, o to, że wytoczony mu proces korupcyjny zakończony wyrokiem skazującym został wykorzystany politycznie do zerwania dialogu

z Palestyńczykami. Przekonuje, że jego rząd doprowadziłby proces pokojowy do końca, dzięki czemu nie doszłoby do obecnego kryzysu.

Czy Olmert jest wiarygodny, czy też jego słowa są zwykłą grą polityczną obliczoną na podważenie legitymacji Beniamina Netanjahu do rządzenia? Nie wiadomo. Przywilejem emerytowanych polityków jest to, że mogą wiele opowiadać o swoich intencjach i planach w przeszłości, ale z pewnością to, co mówią dzisiaj Olmert i Barak, pada na podatny grunt, gdyż znaczna część społeczeństwa izraelskiego chciałaby dzisiaj ustąpienia Bibiego ze stanowiska.

Według niedawnego badania opinii publicznej przeprowadzonego przez Uniwersytet Bar-Ilana w Ramat Gan, niecałe 4% Izraelczyków uważa swojego premiera za rzetelne źródło informacji o trwającej eskalacji konfliktu, a według innego badania, przeprowadzonego przez prof. Camila Fuchsa z uniwersytetu w Tel Awiwie, tylko 18% chciałoby pozostania Netanjahu na stanowisku szefa rządu.

Mimo tego Beni Ganc, były szef sztabu generalnego, który z pozycji rywala Netanjahu wszedł do jego „gabinetu wojennego”, uważa, że to nie jest moment na dyskusję o zmianie premiera, choć przekonuje także, że taki czas nastanie. Najpewniej jednak nie zdarzy się to, dopóki trwa operacja w Gazie, a wojsko nie osiągnie celów strategicznych. Bez zmiany na stanowisku szefa rządu w Izraelu mało prawdopodobne jest, by Palestyńczycy mogli liczyć na utworzenie własnego państwa. Jeśli tak się nie zdarzy, to może Izrael byłby skłonny przekazać komuś kontrolę nad zajęтым obszarem Strefy Gazy?

Scenariusz II. Strefa Gazy pod kontrolą Autonomii Palestyńskiej

W ostatnich dniach izraelskie wojsko chwaliło się zajmowaniem budynków ministerstw czy parlamentu Gazy, co ma być krokiem w kierunku likwidacji Hamasu. Rozmontowanie rządu Hamasu w Gazie nie oznacza jednak całkowitego zejścia organizacji z palestyńskiej sceny, zważywszy na fakt, jak wielu sympatyków wśród Palestyńczyków ma Hamas. Ponadto

konieczne jest zastanowienie się nad tym, kto miałby stanowić władzę w Gazie po tym, kiedy siły izraelskie siły zakończą już inwazję.

Naturalnym rozwiązaniem wydaje się oddanie Strefy Gazy pod kontrolę Autonomii Palestyńskiej i jej prezydenta Mahmuda Abbasa. Wygląda na to, że jest to oczywiste choćby dla Waszyngtonu. Sekretarz stanu Anthony Blinken, gdy mimo protestów Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu odwiedzał Ramallah na początku listopada, zapowiedział, że władze Autonomii miałyby być kluczem do powojennej Gazy. Abbas stawia jednak warunki i zgodziłby się na przejęcie władzy nad Gazą jedynie w ramach „kompleksowego rozwiązania politycznego”, które uwzględni także Jerozolimę Wschodnią. To jednak zawsze był warunek nie do zaakceptowania dla Izraelczyków, których najhojniejsze oferty rozwiązania konfliktu nie uwzględniały przekazania choćby części miasta w palestyńskie ręce.

Taki scenariusz jest więc obecnie nierealny i Netanjahu stawia sprawę jasno – nie zgadza się na to, by Autonomia przejęła kontrolę nad Strefą Gazy, dodając także, że Izrael będzie go kontrolował „tak długo, jak to potrzebne”.

Scenariusz III. Strefa Gazy jako obszar okupowany przez Izrael

W rozmowie z amerykańskim kanałem NBC News Netanjahu podkreślił, że „jedyną siłą, która może zagwarantować, że Hamas nie przejmie ponownie Gazy, jest izraelskie wojsko”. To może oznaczać, że Izraelczycy szykują się na powrót do sytuacji sprzed roku 2005, kiedy pod przywództwem Ariela Szarona podjęli decyzję o jednostronnym wycofaniu się ze Strefy Gazy. Gaza stanie się więc obszarem okupowanym i pod zarządem wojskowym, choć nie wiadomo, na jak długo.

Według Netanjahu cywilne władze w Gazie muszą zapewnić, że obszar zostanie „zdemilitaryzowany i zderadykalizowany”, a zdaniem premiera żadna palestyńska frakcja, włącznie z Autonomią Palestyńską, nie jest w stanie tego zapewnić.

Długotrwała okupacja tego obszaru będzie jednak kosztowna i nałożyłaby na Izrael także obowiązki podyktowane międzynarodowym prawem humanitarnym, takie jak zapewnienie mieszkańcom dostępu do usług publicznych, czego Izraelczycy woleliby uniknąć. Wyusiłoby też na rządzie Netanjahu przyznanie przed społecznością międzynarodową, że Izrael jest okupantem na ziemiach palestyńskich, czemu dotychczas zaprzeczano.

Bez zmiany na stanowisku szefa rządu w Izraelu mało prawdopodobne jest, by Palestyńczycy mogli liczyć na utworzenie własnego państwa.

Zdaniem Anshela Pfeffera, publicysty dziennika „Haarec”, celem działań Izraela jest jednak sprawienie, że Gaza, największe palestyńskie miasto, na skutek bombardowania infrastruktury cywilnej stanie się miejscem nie nadającym się do zamieszkania i Palestyńczycy sami je opuszczą. Powstaje pytanie – dokąd mieliby się udać? Czy ruszą do sąsiednich krajów arabskich, które wolałyby jednak uniknąć przyjmowania palestyńskich uchodźców? Czy może do Europy, która wciąż nie poradziła sobie z kryzysem wywołanym wojną domową w Syrii?

Jeśli rzeczywiście z Gazy znikną Palestyńczycy, a przynajmniej duża ich liczba, to jaki byłby dalszy los tego obszaru? W ostatnich tygodniach pojawiły się liczne teorie, mniej lub bardziej spiskowe i rozsądne. Według jednej z nich Izraelowi zależy przede wszystkim na wydobyciu gazu we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, zwłaszcza z leżącego 35 km od wybrzeża złoża Gaza Marine, wykrytego przez brytyjski koncern BG Group już w 2000 r. W czerwcu 2023 r. Izraelczycy wydali nawet Palestyńczykom wstępną zgodę na wydobycie ze złoża, które może zawierać ponad 30 mld m sześć. gazu ziemnego, co przyniosłoby odczuwalną ulgę palestyńskiej ekonomii. Niektórzy obserwatorzy uważają, że właśnie to złożo jest powodem izraelskiej inwazji na Gazę, choć jest to raczej mało prawdopodobne, gdyż złożo

Gaza Marine jest o wiele mniejsze od eksploatowanych przez Izrael złóż Tamar (307 mld m sześć.) i Lewiatan (600 mld m sześć.).

Jeszcze inną, zyskującą na popularności teorią, jest budowa tzw. kanału Ben Guriona, który miałby stanowić alternatywę dla Kanału Sueskiego, łącząc zatokę Akaba z Morzem Śródziemnym. Ten ostatni plan sam w sobie jest dość realny, choć większość projektów kanału nie zakłada jego przebiegu przez Strefę Gazy, jak

sugerują liczne komentarze pojawiające w mediach społecznościowych. Gdyby jednak Izrael chciał zaoferować alternatywną drogę morską, jego obowiązkiem byłoby zapewnienie bezpieczeństwa żeglugi swoim klientom. A tych może się pojawić wielu wraz z postępowaniem w realizacji saudyjskiego projektu budowy miasta Neom, klejnotu koronnego pakietu reform proponowanych przez saudyjskiego następcę tronu, księcia Muhammada ibn Salmana. Taki kanał to jednak wciąż jedynie pomysł na przyszłość, choć może stać się bardziej realny po wojnie. Jeśli Izrael, przy wsparciu Stanów Zjednoczonych, zdecyduje się jednak na wprowadzenie go w życie, z pewnością wywoła tym samym napięcie w relacjach z Egiptem, dla którego Kanał Sueski jest istotną częścią gospodarki.

Stan regionu już teraz jest krytyczny. Bez jasnego pomysłu na przyszłość wygląda na to, że izraelski rząd w wojnę w Gazie wszedł po omacku. Na fali szoku po brutalnym zamachu terrorystycznym z 7 października izraelski rząd może wciąż liczyć na wyrozumiałość partnerów, ale ten kredyt zaufania niedługo się wyczerpie. Wówczas zarówno obywatele, jak i zagraniczni partnerzy otwartym tekstem będą już domagać się „kompleksowego politycznego rozwiązania”, podobnie jak Palestyńczycy. ■

Zabójcze sankcje cnotliwego Zachodu

Nie dostrzegamy destrukcyjnych dla ludności cywilnej skutków sankcji nałożonych na reżimy, które nie odpowiadają USA i Zachodowi

Jan Opielka

Kiedy dziś mowa o sankcjach gospodarczych, na myśl przychodzą Rosja, może też Iran czy Północna Korea. Jednak Zachód, głównie za sprawą USA i Unii Europejskiej, stosuje sankcje wobec dziesiątek krajów na całym świecie. Według ekspertów pogłębia w ten sposób klęski głodu i chorób, doprowadza do śmierci najstarszych i potęguje napływ zdesperowanych uchodźców.

Trudno już orientować się w szczegółach pakietów sankcyjnych, które Unia Europejska nałożyła na Rosję. Od chwili ataku na Ukrainę UE wdrożyła już ponad 1400 szczegółowych sankcji, podobnie zrobiły USA, Wielka Brytania i inne kraje Zachodu. Oficjalnymi celami sankcji wobec osób i instytucji prawnych oraz embarg jest osłabienie rosyjskiej gospodarki, zachwianie reżimem Władimira Putina i doprowadzenie do zakończenia wojny. Jednak mimo że Rosja niewątpliwie została osłabiona przez te sankcje, to jako duże i wpływowe państwo zdołała dostosować się do zachodnich kar, zmieniła kierunek swojego handlu, już przed wojną wprowadziła własny system transferów bankowych. „Sankcje wyraźnie zawiodły, przynajmniej jeśli chodzi o oczekiwania zachodnich polityków. Politycy ci nie docenili zdolności adaptacyjnych Rosji i lat przygotowań”, pisze Simon Gerards Iglesias z Instytutu Niemieckiej Gospodarki (IW).

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja słabszych, biedniejszych i mniejszych krajów, na które USA, Unia



Sankcje dotyczą najbardziej nędznych mieszkańców Afganistanu, w tym dziesiątek tysięcy dzieci. Na klinice w Kandaharze, w której leczą się dzieci chore z niedożywienia, 1 listopada 2022 r.

Europejska czy ONZ – lub wszyscy razem – nałożyły sankcje. W 2023 r. mniej lub bardziej obszerne sankcje gospodarcze, finansowe i zbrojeniowe dotyczą kilkadziesiąt państw. Obok Rosji to zwłaszcza Iran, Syria, Korea Północna, Białoruś, Wenezuela, Mjanma, Afganistan, Jemen, ale i liczne kraje afrykańskie, jak Demokratyczna Republika Konga, Niger czy Libia. Argumentacja prosankcyjna jest prawie zawsze taka sama: dyktatorskie i brutalne rządy, gwałcenie praw człowieka. Jednak większość objętych sankcjami krajów to państwa biedne, wstrząsane w ostatnich latach wewnętrznymi konfliktami

i wojnami (zastępczymi, jak w Jemenie) lub klęskami żywiołowymi. Wiele z nich należy do czołówki państw z największą liczbą uchodźców.

Ludzie solidaryzują się z reżimami lub uciekają

Bo ludzie uciekają także wskutek efektów zastosowanych sankcji, które w dużej mierze boleśnie dotyczą zwykłych obywateli i najbardziej nędznych, nie zaś tych, których mają boleć. „Wskutek sankcji nie nastąpiła żadna zmiana w zachowaniu ani talibów w Afganistanie, ani reżimu Baszara al-Asada w Syrii. Jeśli przy

stosowaniu sankcji nie zachowa się proporcji, to uderza się w niewłaściwych ludzi”, mówi Conrad Schetter, badacz konfliktów z Międzynarodowego Centrum Badania nad Konfliktami (BICC) w Bonn. „Ludzie zostawieni na długi czas w sytuacji zagrożenia humanitarnego, bez nadziei i perspektyw, w pewnym momencie maszerują w kierunku Europy”. Wśród tych zaś, którzy pozostają w kraju mimo

w tym polskimi, do lata 2021 r. Afganistan, gdzie na obszarze dwa razy większym niż Polska żyje ok. 40 mln mieszkańców, wskutek swojego newralgicznego geograficznego położenia był polem wpływów i dewastujących wojen zastępczych wielkich mocarstw – ZSRR i USA. Wkroczenie wojsk radzieckich w 1980 r. wzmocniło radykalne siły islamskie, hojnie wspierane przez Waszyngton,

została spotęgowana przez trzęsienia ziemi, wskutek których tysiące osób zginęły, a setki tysięcy zostały bez dachu nad głową.

Wazhma Sadat, prawniczka pochodząca z Afganistanu i mieszkająca w USA, na łamach amerykańskiego magazynu „Foreign Policy” tak opisuje relacje swoich bliskich: „Moi krewni, którzy nadal mieszkają w Afganistanie, mówią mi, że przez ostatnie dwa lata patrzyli w dół, gdy wychodzili na zewnątrz, aby uniknąć kontaktu wzrokowego z przyjaciółmi i krewnymi, którzy mogliby być zbyt zawstydzeni, widząc ich zebranych

o jedzenie”. Wiele z tych osób jeszcze niedawno miało pracę lub prowadziło małe firmy. „Niewątpliwie sankcje przyczyniły się do cierpienia Afgańczyków. Zamiast zapobiegać większym szkodom, sankcje często ośmielają opresyjne rządy i dają im licencję na łamanie kolejnych zasad, znowę z innymi antydemokratycznymi reżimami i sponsorowanie aktów terrorystycznych”, pisze Sadat.

Badacz konfliktów Conrad Schetter twierdzi, że sankcje przeciw Afganistanowi zostały zastosowane odruchowo, „bez zastanowienia się nad tym, co właściwie się robi i jakie będą tego skutki”. Zwolennicy

Sankcje pogłębiają klęski głodu i chorób, doprowadzają do śmierci najsłabszych i potęgują napływ zdesperowanych uchodźców.

nędznej sytuacji, „często występuje raczej efekt solidarności z elitami, ponieważ widzą siebie razem w kacie wyrzutek”, zauważa Schetter.

Wśród mieszkańców sankcjonowanych krajów obserwuje się zatem rosnącą niechęć do Zachodu, głoszącego obronę prawa człowieka. Zaś przywódcy karanych sankcjami krajów starają się o reorientację powiązań gospodarczych – głównie w kierunku wschodnim. Agathe Demarais jest dyrektorem ds. prognoz globalnych w Economist Intelligence Unit (EIU) brytyjskiego czasopisma gospodarczego „The Economist”. Wcześniej była doradczynią francuskiego Ministerstwa Skarbu w Rosji i Libanie, pracując nad sankcjami. W 2022 r. wydała książkę „Backfire. How Sanctions Reshape the World Against U.S. Interests” (Odwrotny skutek. Jak sankcje zmieniają świat wbrew interesom USA). Demarais pisze: „Rozprzestrzenianie się sankcji pobudza wysiłki zmierzające do ich omijania, ponieważ państwa i firmy szukają sposobów na obejście amerykańskich kar. Sankcje zbliżają rządy skłócone z USA do siebie nawzajem lub, w coraz większym stopniu, do Rosji i Chin. Sankcje zmieniają geopolitykę i globalną gospodarkę, a także zmniejszają wpływ USA”.

Afganistan – niekończący się dramat

W Afganistanie wpływ ten przez prawie 20 lat był potężny – wszak USA zaatakowały kraj w 2001 r. i okupowały go, wraz z siłami alianckimi,

a trwająca 20 lat okupacja kraju przez USA i aliantów nie przyniosła trwałego zwrotu ku lepszemu – dlatego w 2021 r. talibowie łatwo objęli władzę. Niemal natychmiast nałożone zostały sankcje przeciwko nowym – starym władcom. Z opłakanyymi skutkami.

Sankcje uniemożliwiają Afgańczykom funkcjonowanie ich gospodarki, utrudniają przekazy pieniężne i drastycznie zwiększają koszty importu żywności. Jednocześnie świat zapomina o tym kraju: w październiku br. przedstawiciele Światowego Programu Żywnościowego (World Food Programme, WFP), agencji

Większość objętych sankcjami krajów to państwa biedne, wstrząsane w ostatnich latach wewnętrznymi konfliktami i wojnami lub klęskami żywiołowymi.

ONZ walczącej z globalnym głodem, alarmowali: w 2023 r. dla Afganistanu środki na walkę z głodem zostały zredukowane o 80% w porównaniu z rokiem 2022 – z 1,6 mld dol. do ok. 340 mln dol. „15 mln Afgańczyków aktualnie głoduje. Wskutek braku finansowania byliśmy zmuszeni ograniczyć pomoc dla 10 mln mieszkańców kraju”, mówił John Aylieff, regionalny dyrektor WFP. Wezwał państwa wspólnoty międzynarodowej do zwiększenia finansowania dla tego kraju. „Nawet jeśli talibowie podejmują problematyczne decyzje, humanitarność musi stać na pierwszym miejscu”. Zwłaszcza że skrajna sytuacja w 2022 r., jak i w roku bieżącym

sankcji argumentują, że talibowie są przystanią i wsparciem dla terroru, że naruszają prawa człowieka. Według Schettera zachodnia opinia publiczna przypisuje tragiczną sytuację ludności afgańskiej powrotowi talibów. „Ale to nieprawda. To przede wszystkim sankcje doprowadziły do tej sytuacji, bo z powodu restrykcji bankowych praktycznie nie ma już importu, kraj jest zdany na pomoc humanitarną i tylko te artykuły są dozwolone”. Według Schettera dla talibów ważne jest uznanie przez społeczność międzynarodową. „Jest to coś, na co czekali od 20 lat, to kluczowy element, a instrumentem wpłynięcia na nich są negocjacje o zniesieniu sankcji”.

► Negatywne skutki braku takiej współpracy kreśli Michael Kunz, pracujący dla szwajcarskiego stowarzyszenia Afghanistanhilfe (Pomoc dla Afganistanu), które od ponad 30 lat organizuje profesjonalną pomoc i projekty w dziedzinie edukacji, zdrowia oraz ograniczania ubóstwa. Kunz wskazuje, że uzgodnienia z talibami są możliwe. „Mimo że wprowadzono zakaz pracy dla kobiet, mogliśmy uzgodnić z umiarkowanymi talibami wyjątek w opiece zdrowotnej. Ważne jest, żeby utrzymywać kontakt z tymi siłami, aby ich wzmocnić wobec radykalnych frakcji talibów”. Ci ostatni zyskują wpływy – zdaniem Kunza także wskutek sankcji. Bo talibowie należą według niego do tych grup na

zamachów z 11 września 2001 r. Ten absurdalny ruch został skrytykowany przez międzynarodowych ekspertów, a jeden z amerykańskich sądów podważył nawet jego legalność.

Nie trzeba dużej wyobraźni, by stwierdzić, że taka polityka nie przysporzy krajom Zachodu zwolenników wśród Afgańczyków. Pochodząca z Kabulu Wazhma Sadat pisze: „Dorastając jako dziecko pod rządami talibów, doświadczyłam kolosalnie negatywnego wpływu sankcji. Jako pięcioletka zastanawiałam się, czy moi rodzice będą musieli podjąć bolesną decyzję o sprzedaży jednego z nas, dzieci, aby reszta mogła przeżyć”. Faktycznie osiągnięty cel sankcji wobec skrajnie biednego kraju to

Baszara al-Asada USA i UE wprowadziły je już na początku wojny domowej w 2011 r., a w 2020 r. zostały one znacząco rozszerzone przez administrację Donalda Trumpa w ramach tzw. Caesar Act. Przedstawiciele ONZ odtąd wielokrotnie apelowali o ich zniesienie. Alena Douhan, niezależna ekspertka ONZ ds. praw człowieka, opublikowała raport po wizycie w Syrii w listopadzie 2022 r. Pisze w nim: „Blokowanie płatności bankowych i odmowa dostaw przez zagranicznych producentów, w połączeniu z ograniczonymi rezerwami walutowymi spowodowanymi sankcjami, spowodowały poważne niedobory leków i sprzętu medycznego, szczególnie do leczenia chorób przewlekłych i rzadkich”. 90% Syryjczyków żyje, a raczej wegetuje, poniżej granicy skrajnego ubóstwa i ma ograniczony dostęp do żywności, wody, elektryczności, leków, paliwa do gotowania i ogrzewania. Niektóre produkty są objęte embargiem, bo mają tzw. podwójne zastosowanie (double use), np. chlor może być używany zarówno do uzdatniania wody, jak i do produkcji bronii.

Ibrahim Mohamad pochodzi z Syrii. Od 1998 r. mieszka w Niemczech, jest doktorem nauk ekonomicznych w Berlinie. Część jego rodziny, matka i rodzeństwo, nadal żyje w Syrii, gdzie Mohamad ich regularnie odwiedza i pomaga. „Sankcje Zachodu, szczególnie te związane z Caesar Act, mają katastrofalne skutki dla ludności kraju. Przemysł i rolnictwo są zdevastowane, gospodarka kraju zmniejszyła się o 70% w porównaniu do 2011 r.”, mówi. Znajomy przedsiębiorca Mohamada nie jest w stanie sprowadzić z Niemiec składników do produkcji artykułów sanitarnych, ponieważ nie może dokonać przelewu. Syryjscy przedsiębiorcy nie mają już niemal żadnych możliwości wymiany handlowej nie tylko z krajami Zachodu, ale i z firmami z Chin, Brazylii czy krajów arabskich. „Firmy z tych krajów, które jednocześnie współpracują z krajami Zachodu, obawiają się kar, jeśli utrzymywałyby handel z Syrią – boją się, że USA zablokuje im konta”. Także dlatego syryjska lira dramatycznie traci na wartości, kwitnie jedynie szmugiel i czarny rynek. „Kompletnie

Sankcje zbliżają rządy skłócone z USA do siebie nawzajem lub do Rosji i Chin.

świecie, których instrumenty przymusowe nie skłonią do ustępstw. „Musimy bronić pewnych wartości, ale kto chce działać w Afganistanie, musi być gotów na kompromisy”.

Żadnych rozmów, żadnych kompromisów

Jednak Stany Zjednoczone pod rządami Joeego Bidena nie myślą o jakichkolwiek ustępstwach. Co więcej, Waszyngton w 2021 r. zablokował środki afgańskiego banku centralnego zdeponowane w USA. Chodzi w sumie o ok. 7 mld dol., które dopiero po ostrej krytyce m.in. organizacji pozarządowych jesienią 2022 r. miały zostać w połowie przekazane funduszowi w Szwajcarii, który koordynowałby ich zastosowanie – poza zasięgiem rządu talibów. Jednak rząd USA z tego planu się wycofał, argumentując, że afgański bank centralny ma najpierw wykazać, że jest wolny „od wpływów politycznych”, jak powiedział urzędnik Departamentu Skarbu USA. 7 mld dol. to ponad jedna trzecia szacowanego w 2020 r. na 20 mld dol. PKB Afganistanu (dla porównania – PKB Polski w 2022 r. to ok. 700 mld dol.). Drugą połowę afgańskich dewiz rząd USA chce przekazać na odszkodowania dla ofiar

zatem – wczoraj i dziś – głodujący naród. I Afgańczycy masowo uciekają do innych krajów: sąsiedniego Pakistanu, który jednak od 1 listopada masowo wydala tych uchodźców, ale także do Europy. Agencja ONZ ds. uchodźców UNHCR szacuje, że pod koniec 2022 r. na świecie schronienia szukało ok. 5,7 mln uchodźców z Afganistanu. Tym samym Afgańczycy to trzecia co do wielkości grupa uchodźców na świecie – po Syryjczykach i Ukraińcach. Około 90% afgańskich uchodźców przebywa w dwóch sąsiednich krajach – w Iranie (3,4 mln) i Pakistanie (1,7 mln), na trzecim miejscu są Niemcy (ponad 200 tys. osób). W Polsce ochronę znalazło nieco ponad 1,1 tys. Afgańczyków, to głównie byli współpracownicy polskiego wojska w Afganistanie. Ci ludzie przeżyli – inaczej niż setki Afgańczyków i Pakistańczyków, którzy w czerwcu br. zginęli na Morzu Śródziemnym niedaleko greckiego półwyspu Peloponez, gdy utonął kuter, którym próbowali dostać się do Europy.

Zapomniani i karani Syryjczycy

Na Morzu Śródziemnym od lat giną także Syryjczycy – również ci, którzy uciekają przed dotkliwymi skutkami sankcji. Wobec reżimu

nie rozumiem, dlaczego Unia Europejska podtrzymuje sankcje. One są karą, która uderza nie w reżim, tylko w zwykłych ludzi. Teraz uciekają już ci, którzy niegdyś należeli do klasy średniej. Sprzedają wszystko, co mają, by opłacić przemytników”.

Krytyka zachodniej polityki wobec Syrii płynie także z konserwatywnych i liberalnych kręgów amerykańskich think tanków. Już w sierpniu 2020 r. Joshua Landis i Steven Simon pisali na łamach wpływowego dwumiesięcznika politycznego „Foreign Affairs” o „bezsensownym okrucieństwie nowych sankcji”, ponieważ reżim Al-Asada „nie obchodzi, czy więcej jego ludzi głoduje”. Autorzy przyznają, że odbudowa kraju musiałaby się wiązać ze współpracą z rządem w Damaszku, który jest co prawda „notorycznie skorumpowany”, ale „Arabia Saudyjska również jest skorumpowana”. Dlatego „Im szybciej Stany Zjednoczone zrewidują swoją karzącą politykę wobec Syrii, tym szybciej będą w stanie wnieść pozytywny wkład w rozwój regionu – konkludują autorzy. – Asad prawdopodobnie zgodzi się na znaczne ustępstwa, aby wydostać się spod sankcji, ale rezygnacja z władzy nie jest jednym z nich”. Dlaczego? Bo jeśli „dziewięć lat brutalnej przemocy (...) nie pokonało jego i jego wojsk, to embargo gospodarcze raczej też go nie powstrzyma”.

To był rok 2020. Wydawałoby się, że administracja Joeego Bidena podchodzi do cierpienia ludzi z nieco większą empatią. Jednak aż do katastrofalnego trzęsienia ziemi w Syrii i Turcji w lutym br. sankcje zostały utrzymane, a zniesienie dotyczyło tylko ułatwień przepływu pomocy humanitarnej. Dlatego w październiku br. Paulo Pinheiro, przewodniczący Niezależnej Międzynarodowej Komisji Śledczej ONZ ds. Syryjskiej Republiki Arabskiej, podczas Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych alarmował: „W ciągu ostatniej dekady nie ma dowodów na to, że sektorowe jednostronne środki przymusu doprowadziły do pozytywnych zmian w zachowaniu rządu. To zwykli ludzie ponoszą ciężar ich wpływu. Syria pozostaje miejscem największego kryzysu uchodźczego

na świecie, z ponad 7 mln mieszkańców, którzy uciekli z kraju, i ponad 6 mln przesiedlonymi wewnątrz kraju”. Tymczasem Al-Asad jeszcze bardziej kieruje pogrążony w chaosie kraj ku Rosji i Chinom. 22 września pojechał do Chin, pierwszy raz od 2004 r., i spotkał się z chińskim prezydentem Xi Jinpingiem. Obaj przywódcy ogłosili utworzenie „strategicznego partnerstwa”.

Skutki sankcji wobec Rosji

Jednak nie tylko bezpośrednio sankcje nałożone na mniejsze kraje mają katastrofalne skutki dla ich ludności. Także wspomniana na początku wojna gospodarcza Zachodu przeciw Rosji ma na nich pośredni wpływ. Dotyczy to choćby zaopatrzenia w nawozy sztuczne, których Rosja jest jednym z głównych eksporterów. Co prawda Unia Europejska podkreśla, że sankcje nie obejmują handlu nawozami dla globalnego Południa, jednak skutek restrykcji nałożonych na rosyjską branżę transportową, finansową i na oligarchów kontrolujących ten handel eksport nawozów z Rosji w 2022 r. spadł o 15% – do 31,6 mln ton. Unia Afrykańska alarmowała o brakach i zagrożeniu

w zeszłym roku o niemal 20%, energia elektryczna była racjonowana, a szkody gospodarcze ogromne. Pakistan już uzgodnił nowy kierunek importu energii: będzie ją sprowadzał z Rosji. Jednocześnie rośnie liczba pakistańskich uchodźców.

Jeden martwy mniej czy więcej

Nie dostrzegamy destrukcyjnych dla ludności cywilnej skutków sankcji nałożonych na reżimy, które nie odpowiadają USA i Zachodowi. I rzadko dostrzegamy, że nie chodzi w nich o kwestie demokracji czy praw człowieka, tylko o sprzymierzone lub niesprzymierzone z Zachodem rządy. Abdulkader Sinno, profesor nauk politycznych i studiów bliskowschodnich na Indiana University w Bloomington w USA, na akademickiej platformie East Asia Forum na przykładzie Afganistanu tak streszcza możliwe skutki błędnej polityki sankcyjnej: „Jest prawdopodobne, że krótkowzroczność Zachodu i fundamentalizm talibów zwyciężą, a afgańscy cywile zapłacą za to życiem. Kraje zachodnie mogą nadal tuszować skutki swojej polityki poprzez doraźną pomoc żywnościową, a talibowie mogą kontynuować odwet wobec Zachodu, jeszcze

Pod koniec 2022 r. na świecie schronienia szukało ok. 5,7 mln uchodźców z Afganistanu.

plonów – nie powinno dziwić, że wiele krajów afrykańskich sprzeciwia się sankcjom przeciwko Rosji.

Tym bardziej, że zachwiały one również rynkiem energii – gazu i ropy. W celu odciążenia się od rosyjskich importów kraje UE kontraktowały te surowce na masową skalę w innych krajach, windując tym samym ceny, których kraje globalnego Południa nie były w stanie płacić. Na skutek tego na przykład dostawcy skroplonego gazu ziemnego (LNG) zrywali nawet zawarte wcześniej długoterminowe kontrakty z biedniejszymi krajami. Choć musieli za to płacić kary umowne, były one często niższe niż dodatkowy zysk, który można było osiągnąć dzięki astronomicznym cenom. I tak Pakistan był zmuszony zredukować import LNG

bardziej ograniczając prawa kobiet i zaostrzając represje wobec osób niegdyś wspierających Amerykanów. W trakcie tego procesu talibowie mogą pozwolić Al-Kaidzie na większą autonomię i wznowić produkcję narkotyków, aby zapewnić jej strumień dochodów”. Ostatni raz – pisze Sinno – podobne sankcje zostały nałożone na talibów w 1999 r., co doprowadziło do głębszej współpracy z Al-Kaidą, ataków z 11 września 2001 r. i „globalnej »wojny z terroryzmem«, prowadzonej przez Amerykanów, która jeszcze nie dobiegła końca”.

Czy oprócz cierpień cywilów, ofiar głodu i niezliczonych uchodźców odpychanych i ginących w swej drodze ku lepszemu światu o to chodzi?

Jan Opielka



Kari Lake, wywodząca się z Arizony, pierwsze kroki zawodowe stawiała w lokalnej telewizji.

Marjorie Taylor Greene całym sercem wielbi Donalda Trumpa.



Mateusz Mazzini

W sprzyjającej byłemu prezydentowi frakcji antysystemowo-konserwatywnej ławka zawsze była krótka, ale teraz wydaje się, jakby w ogóle jej nie było. Osiem lat temu republikanie nie do końca zdawali sobie sprawę z kataklizmu, który w ich szeregach wywołał wybór Trumpa na prezydenta. Wtedy całkiem jeszcze liczne grono partyjnych weteranów uważało, że uda się go spacyfikować, a niektórzy nawet śmiało zakładali, że będzie sterowalny z zewnątrz. Stąd chociażby wybór na wiceprezydenta Mike'a Pence'a – człowieka o życiorysie na wskroś republikańskim. 12 lat w Kongresie, potem jedna kadencja na stanowisku gubernatora Indiany, w życiu prywatnym głębokie oddanie wartościom chrześcijańskim, w partyjnym establishmentie opinia patrioty, wiernego zasadom amerykańskiej konstytucji. Ostatecznie właśnie to go zgubiło. Gdy 6 stycznia 2021 r. zgodnie z przysługującą mu prerogatywą Pence odbierał i przeliczał głosy Kolegium Elektorów, Trump naciskał na niego, by odmówił uznania wyników wyborów i utorował mu drogę do kolejnej kadencji. Pence odmówił, choć podkreślił, że nie od razu.

Widmo kataklizmu

Plan wykorzystania wiceprezydenta do unieważnienia wygranej Joeego Bidena powstał w ekipie prawników

Drugie po Bogu

Za rok Donald Trump ponownie stanie do wyborów prezydenckich
Czy na karcie do głosowania będzie mu towarzyszyć kobieta?

Trumpa już na początku grudnia, kiedy jasne stało się, że próby udowodnienia fałszerstw wyborczych się nie powiedzą. Sidney Powell, była prokurator federalna, która do zespołu doradców Trumpa dołączyła pod koniec tej przedziwnej krucjaty (przyznała się do winy w procesie wyborczym w Georgii i sama współpracuje z organami ścigania), wpadła na pomysł, by znaleźć konserwatywnego konstytucjonalistę, gotowego uznać, że Pence może zrobić więcej niż tylko „przeliczyć i zatwierdzić” głosy. Pence – co wiadomo z książek Boba Woodwarda o końcowych miesiącach prezydentury Trumpa – szukał prawnej podkładki na własną rękę, telefonując do byłych republikańskich wiceprezydentów. Nikt nie potwierdził interpretacji forsowanej przez Powell, więc ultrareligijny polityk z Indiany zrobił, co nakazywała

konstytucja, tym samym sprzeciwiając się Trumpowi. Epilog tej historii znamy: oskarżenia o zdradę, własna kandydatura Pence'a na 2024 r. (już zresztą wycofana) i desperackie poszukiwania nowego zastępcy. Albo zastępczyni, bo niewykluczone, że po raz pierwszy od 2008 r. na karcie do głosowania w wyborach prezydenckich wśród republikanów pojawi się nazwisko kobiety. W przypadku wygranej Trumpa byłaby to pierwsza wiceprezydentka w historii rządów partii i dopiero druga kobieta na tym stanowisku w całej historii USA, po obecnie sprawującej tę funkcję Kamali Harris.

Ostatni raz mieszany duet republikanie wystawili przeciwko Barackowi Obamie, kiedy za plecami Johna McCaina stanęła ekscentryczna polityczka z Alaski, była gubernator tego stanu, Sarah Palin. Tym razem grono

kandydatów jest niespodziewanie szerokie, a Trump celowo unika publicznych deklaracji co do ewentualnego numeru dwa w przyszłej administracji. Głównie po to, żeby dać sobie więcej czasu na przyjrzenie się różnym opcjom. Były prezydent czeka przy tym, żeby sami skakali sobie do gardeł, a najślabi psychicznie odeszli z własnej woli.

Ponieważ Ameryka jest krajem funkcjonującym stale w trybie kampanijnym i uzależnionym od sondaży, już pojawiają się przecieki, kogo w roli

– Lake była korespondentką telewizji w Phoenix. Relatywnie suchą stopą przeszła ewolucję z dziennikarki w polityczkę, głównie dzięki jakże potrzebnej w tej chwili na amerykańskiej prawicy zdolności porywania tłumów i mobilizowania tych, którzy czują się zdradzeni przez establishment obu partii. Podłączyła się do populistycznego zwrotu wśród republikanów, już w czasie pierwszej kampanii Trumpa powielając jego slogany o „osuszeniu bagna”, jakim miał być Waszyngton i cała administracja federalna.

Trump celowo unika publicznych deklaracji co do ewentualnego numeru dwa w przyszłej administracji.

wiceprezydenta widziałby republikański elektorat. Co więcej, niektórzy sami się nominują do tej roli. Może jeszcze nie wprost, ale ich zachowanie wskazuje, że zaczynają widzieć się w Białym Domu. Chodzi przede wszystkim o bezgraniczną, ocierającą się o fanatyzm wierność Trumpowi i to, co się z nim wiąże, na czele z podważaniem prawa Bidena do sprawowania władzy.

Problem jednak w tym, że o ile sama reelekcja Trumpa wymiotłaby ze struktur republikanów resztki cywilizowanego konserwatyzmu i przywiązania do praworządności, o tyle dołączenie do niego którejsz z aspirujących do tego stanowiska kobiet byłoby kaskadą. A ten mógłby rozszarpać amerykańską demokrację.

Kari Lake – uległa czarowi

Korowód kandydatek należy zacząć od tej zdecydowanie najciekawszej, czyli Kari Lake. Wywodząca się z Arizony, pierwsze kroki zawodowe stawiała w lokalnej telewizji. Jako reporterka i prezenterka wiadomości była regularnym gościem tutejszych gospodarstw domowych przez ponad ćwierć wieku, więc do wyścigu wchodzi z wysoką rozpoznawalnością, przynajmniej na poziomie stanowym. Ma też odpowiedni rodowód ideologiczny i kulturowy, bo z lokalnego kanału KSAZ-TV przeszła do Fox News, medialnego patrona Trumpa i jego ulubionej stacji

Eric Cortellessa, reporter magazynu „Time”, który od lat śledzi stanową politykę w Arizonie, w swoim szkicu sylwetki Kari Lake stawia tezę, że – podobnie jak wielu przedstawicieli świata mediów – ona również uległa czarowi Trumpa i jego sposobowi wypowiedzi. To był powiew świeżości, forma komunikowania się z ludźmi dawno niewidziana w wydaniu kandydata na prezydenta – tak Lake miała mówić redakcyjnym kolegom. Początkowo jednak sama nie miała poglądów w całości zgodnych z linią

Były prezydent czeka, żeby kandydaci sami skakali sobie do gardeł, a najślabi psychicznie odeszli z własnej woli.

przyszłego prezydenta. Znana była z popierania otwartej polityki migracyjnej, co w przygranicznej Arizonie jest kontrowersyjne. Głęboko religijna – początkowo katoliczka, potem baptystka – zawsze sprzeciwiała się aborcji, ale długo unikała konfliktów wokół tej kwestii. Przełomem dla jej kariery była pandemia i drakońskie (jej zdaniem) zasady reżimu sanitarnego, z którymi się nie zgadzała.

Lake odeszła z pracy i postawiła wszystko na jedną kartę, startując w wyborach na gubernatora Arizony. To pod wieloma względami był szok dla wszystkich – od jej bliskich, przez dawnych kolegów z pracy, po całą tamtejszą Partię Republikańską. Była dziennikarka rzuciła bowiem rękawicę

Karrin Taylor Robson promowanej przez partyjny establishment i znacznie bardziej doświadczonej w polityce.

Już wtedy zarysowały się linie podziału, których echo głośno wybrzmiewa w bieżącej prekampanii. Robson była popierana m.in. przez Mike’a Pence’a czy znanego krytyka Trumpa, Chrisa Christiego, byłego gubernatora stanu New Jersey.

Kari Lake wsparł jednak osobiście sam Trump, przechylając szalę na jej korzyść. Ostatecznie wyścigu gubernatorskiego nie wygrała – stanowisko przeszło w ręce demokratów – ale zyskała bezpośredni dostęp do ucha byłego prezydenta. Podłączyła się do retoryki podważania wyników wyborów z 2020 r., o Joem Bidenie mówi, że ten „nie ma prawa zasiadać w Białym Domu”. Jak donosi magazyn „Rolling Stone”, Lake coraz mniej czasu spędza we własnym stanie. Według jednego z anonimowych rozmówców gazety była prezenterka prawie wprowadziła się do rezydencji Trumpa w Mar-a-Lago na Florydzie, spędzając tam więcej czasu niż Melania Trump.

Wyniki wrześniowego sondażu przeprowadzonego na zlecenie „Newsweeka” wskazują, że choć Kari Lake radzi sobie najlepiej wśród kobiet, zajmuje dopiero czwarte miejsce w rankingu najbardziej popieranych

kandydatów na wiceprezydenta. Respondentami sondażu byli wyłącznie wyborcy Trumpa. Wskazało ją 6% z nich, lecz to wynik zakłamujący rzeczywistość. Przed nią są bowiem Mike Pence i Ron DeSantis, czyli byli i obecni wrogowie Trumpa. W przypadku jego reelekcji żaden z nich nie ma szans zostać wiceprezydentem. Poza tym drugą najczęściej wskazywaną odpowiedzią było „nie wiem” (17%). Wygrał Vivek Ramaswamy (30%), kandydat chyba bardziej trumpowy niż sam Trump. Łączy on teorie spiskowe, pogardę dla demokracji i niekompetencję z zamiłowaniem do kontrowersji – Wołodymyra Zełenskiego nazwał ostatnio nazistą – ale on zastępuje na osobny artykuł. ▶

► Lake ma więc dość solidną pozycję na starcie i chociażby z tego powodu wzbudza wściekłość rywali. A dokładniej rywalki, Marjorie Taylor Greene.

Marjorie Taylor Greene – magia spisku

To kolejna osoba w konstelacji Trumpa, która wymyka się klasyfikacjom tradycyjnej polityki. Tu właściwie nie wiadomo nawet, od czego zacząć. Od jej pasji do sekcjarstwa, która objawia się w propagowaniu mitu QAnon? Czy może od przekonania, że pożary lasów na Zachodnim Wybrzeżu zostały wywołane przez tajną broń laserową używaną przez żydowskie lobby w USA? Albo od ataków na ofiary strzelanin w szkołach, którym zarzucała symulowanie i udział w ustawkach? Do wszystkich tych postaw i wypowiedzi dopisać trzeba ocean antysemityzmu wylewający się z jej kont w mediach społecznościowych, wiarę w Trumpa na poziomie religijnym i ślepe przekonanie, że wybory z 2020 r. zostały przez demokratów ukradzione. Ona doskonale o tym wie, w końcu sama jest kongresmanką z Georgii, a więc stanu, w którym owa kradzież rzekomo miała się dokonać.

Marjorie Taylor Greene w przeciwieństwie do Kari Lake jest znacznie

mocniej zakorzeniona w polityce głównego nurtu, bo bardziej się stara. Choć to jej pierwsza kadencja na Kapitolu – wcześniej zajmowała się prowadzeniem siłowni, w której bywała nawet trenerką personalną – to nie można jej odmówić zapału do wpisanania się do panteonu osobliwości ery Trumpa. Podczas gdy były prezydent zdążył już zniechęcić do siebie prawie wszystkich w partii, Green zdaje się go wielbić coraz bardziej z każdym wiecem. Jest doskonałym „zderzakiem” w Kongresie, kimś na kształt bulteriera, bo kiedy tylko ma okazję, powie pod adresem demokratów o kilka słów za dużo. Greene co prawda w sondażu „Newsweeka” radzi sobie jeszcze gorzej (1% poparcia), ale da się już zauważyć, że celuje w stanowisko wiceprezydentki, a za główną rywalkę uważa Kari Lake.

Według doniesień „Vanity Fair” i „Rolling Stone” Marjorie Greene rozpoczęła zresztą zakulisową kampanię oszczerstw przeciwko polityczce z Arizony, ale zarzuty pod adresem tej drugiej brzmią komicznie. Greene oskarża ją o „brak powagi”, „udawanie konserwatystki” i podbijanie bębna z tematami oszustw wyborczych tylko dlatego, że sama przegrała głosowanie gubernatorskie w Arizonie. Zarzuca jej lizusostwo, kwestionuje jej kompetencje,

publicznie określa spekulacje na temat ewentualnej nominacji wiceprezydenckiej jako absurd. Jednocześnie walczy o własną pozycję. Według „Vanity Fair” sama zasugerowała Trumpowi, że chętnie przyjmie stanowisko w rządzie federalnym, właściwie wszystko jedno jakie. Akurat w tym przypadku trudno odmówić jej racji, przede wszystkim dlatego, że do każdego departamentu ma jednakowo niewystarczające kwalifikacje.

Kristi Noem – ta trzecia

Tymczasem sam Trump zdaje się świetnie bawić tymi politycznymi zapasami między oddanymi mu radykałkami. Niczym sędzia sprawiedliwy, raz je pochwali, najczęściej na zmianę, za zaangażowanie w kampanię, raz ukarze. To drugie już po cichu, ustami zaufanych doradców odgrywających rolę anonimowych źródeł dla prasy. Na kogo ostatecznie się zdecyduje, trudno powiedzieć, bo nie wie tego pewnie sam Trump. Tym bardziej że do wyborów już tylko równo rok, debaty przedwyborcze trwają w najlepsze, a eksprezydent kompletnie je ignoruje. Rozgląda się po scenie, patrzy, kto będzie wobec niego najbardziej lojalny. Kto nie powtórzy zachowania Pence’a, nie przedłoży konstytucji ponad interes polityczny szefa.

Niestety dla Ameryki, takich osób nie brakuje i wciąż pojawiają się nowe. Jak chociażby gubernator Dakoty Południowej Kristi Noem, trzecia kobieta, która robi wszystko, żeby Trump ją zauważył i zabrał ze sobą do Białego Domu. Choć on sam nic o Noem w kontekście wspólnego startu nie wspominał, ona, niepytana, powiedziała reporterom „New York Timesa”, że przyjęłaby taką propozycję w mgnieniu oka. Z kolei kiedy Trump przyjechał na wiec do jej stanu, sztab gubernatorski rozdawał ludziom naklejki z hasłem „Trump i Noem 2024”, tak jakby nominacja była już faktem. Swojego zastępcę lub zastępczynię Trump wybierze pewnie jednak w ostatniej chwili. Ktokolwiek to będzie, obdarzy szefa boskimi przymiotami. Również dlatego, że wtedy sam będzie drugi po Bogu.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Sen listopadowy i ogrody plastikowych krasnali

Listopad – widma, echa, wspomnienia. Równo 160 lat temu – 19 listopada 1863 r. – odbyła się w Gettysburgu uroczysta inauguracja cmentarza wojennego, miejsca spoczynku żołnierzy poległych w bitwie, którą kilka miesięcy wcześniej stoczyły armie Północy i Południa. Gettysburg pozostawił w pamięci Ameryki bolesny ślad. Stoczona tu największa bitwa wojny secesyjnej była okrutna i krwawa – armia Południa poniosła w niej druzgocącą klęskę, zapowiadającą definitywną przegraną. Zachowane świadectwa ukazują obraz bitewnego Armagedonu. Czy warto wracać pamięcią do tych zdarzeń? Jakie znaczenie mogą mieć dla nas gettysburskie reminiscencje?

Sens Gettysburga wykracza poza akapity amerykańskiej historii, vibracje są głębsze. W inauguracji cmentarza uczestniczył prezydent Abraham Lincoln. Wygłosił on krótką (niezmiernie krótką) mowę, składającą się jedynie z 272 słów, które jednak – jak się miało okazać – stały się częścią naszej historii. Lincoln pytał o sens próby, której poddana została Ameryka. Spoglądając w przyszłość, nie używał słowa demokracja. Mówił o „władzy ludu, poprzez lud i na rzecz ludu”; najmocniejszy akcent położył na kwestię wolności. Tragedia pola bitwy obudziła sumienie Ameryki – wzniciła głód oczyszczenia znoszącego ciężary podłości i winy. W przemowie Lincolna nie pojawił się żaden akcent martyrologicznej egzaltacji, żadna nuta łzawego patosu, żaden ślad zacietrzewienia. Konkluzyje dotyczyły „nowych narodzin wolności”; przebijając jesienne mgły, sny zstępowały na ziemię.

Trochę z przekory, trochę dla ścisłości podkreślę – obok Lincolna na podium stanął też znany orator, profesor greki (były rektor Harvardu) Edward Everett. Przemawiał prawie trzy godziny, historia nie zapamiętała ani jednego słowa. Profesorowie, baczność! Nie mówcie zbyt długo.

Zbierając myśli wokół wystąpienia Lincolna, dochodzę do przekonania, że Ameryka jest jednak od nas bardzo, bardzo daleko. Nie wiem, czy zrozumieliśmy jej sny. Ich wykładnię, pozwalającą sięgnąć do samej podstawy amerykańskiego misterium wolności przedstawił William Faulkner. „My sami – podkreślał – jesteśmy Snem, rozbrzmiewającym w potężnych, swobodnych głosach. (...) Nie żyliśmy we śnie, lecz żyliśmy Snem”. „Nie mieliśmy nawet szansy – dodał – na odrzucenie tego snu, gdyż to on posiadał nas i przywłaszczył w chwili narodzenia. Sen nie był naszym dziedzictwem – to my byliśmy dziedzictwem snu, przekazywani mu z pokolenia na pokolenie siłą idei”.

Teraz pytanie – a my? Chcemy być potomstwem snu o wolności, czy też oddamy władzę fantasmagoriom, które mu zaprzeczają? Partia, która próbowała zatrzęsnać drzwiami w upiornym zaścianku absurdu i omamienia, otrzymała poparcie ponad siedmiu milionów wyborców. Pamiętamy pisowską kampanię wyborczą? Żałosne erupcje familiarności, połączone z fajerwerkami topornych kłamstw, insynuacji i obelg? I ten rehot – mściwy rehot.

Na całe szczęście zapiał kogut – zmory powinny się rozpierchnąć, ośmioletnia maligna „dobrej zmiany” została przerwana. Kampania, która przetoczyła się przez nasze krajobrazy, pozostawiła jednak wrażenie dziejowego absurdu. Znaleźliśmy się w dziwnej rzeczywistości – gdzieś pomiędzy odpustem, bazarem a festynem firm ochroniarskich. Cała ta symbolika wykoślawionej swojskości – tandetne, jarmarczne stylizacje, folklorystyczne retrospekcje, odpustowa strojność. Ogrody plastikowych krasnali jako ziemia obiecana? Zgroza!

Zwracamy uwagę na język, to on jest zatrutym cierniem polskiej polityki.

Miejmy się na baczność – PiS jest partią praktykującą polityczną perwersję. Nastawioną na przeinaczenie, na odwracanie sensu zdarzeń. Łamanie konstytucji stało się afirmacją suwerenności, ośmieszanie Polski na arenie międzynarodowej

– wstawianiem z kolan, katastrofalne zadłużenie – ekonomicznym sukcesem. „Dobra zmiana” będzie długo zaglądać nam w oczy, siejąc spustoszenie w sferze społecznych przekonań. Ulubionym chwytym jej egzekutorów – elementem rutyny zakłamania – stały się perwersje semantyczne. Zwracamy uwagę na język, to on jest zatrutym cierniem polskiej polityki. Dopóki nasączone trucizną frazesy i zakłęcia pisowskich hipnotyzerów pozostaną w grze, nie wyzdrowiejemy. Trzeba demaskować prostacką bufonadę, piętnować gwałt semantyczny jako praktykę, która przyzwoitym społeczeństwom nie przystoi. Nazywać rzeczy po imieniu, usuwając w ten sposób toksyny otumanienia. Musimy przywrócić – mówiąc najkrócej – godność wszystkim słowom podeptanym przez szamanów perwersji. Skasować wszystkie bezwstydne przeinaczenia, zaczynając od słowa patriotyzm (czy patriotyzm rzeczywiście polega na gotowości do objęcia wysoko płatnej posady w spółkach skarbu państwa?). Sporo roboty, ale jeśli tego nie uczynimy, mechanizm hipnozy nie przestanie działać.

I już na samym końcu pytanie zagadka: „Kto jest mar-kizem de Sade polskiej polityki?”.

Krwawy listopad 1923

Piłsudczykom było na rękę skompromitowanie rządu Chjeno-Piasta, co nastąpiło w rezultacie wydarzeń w Krakowie

Bohdan Piętko

6 listopada 1923 r. w wyniku zamieszek ulicznych w Krakowie zginęły 32 osoby. Wydarzenia te były kulminacją narastającego kryzysu politycznego i gospodarczego. Od drugiej połowy 1922 r. toczyła się ostra walka o władzę pomiędzy tworzącym się obozem politycznym Józefa Piłsudskiego i lewicą (PPS i PSL „Wyzwolenie”) z jednej strony, a zdominowaną przez endecję i PSL „Piast” prawicą z drugiej. Konflikt ten przybrał dramatyczne rozmiary w grudniu 1922 r., kiedy po fali prawicowej nagonki został zamordowany pierwszy prezydent, Gabriel Narutowicz, popierany przez marszałka Piłsudskiego.

O ile w I kwartale 1923 r. strajkowało 65 tys. osób, o tyle w IV kwartale – aż 426 tys.

Powołany po zabójstwie Narutowicza rząd gen. Władysława Sikorskiego był rozwiązaniem przejściowym, tymczasowo tolerowanym przez zwaśnione stronnictwa polityczne. Dojrzało opóźnione zabójstwem Narutowicza porozumienie endecji i chadecji (Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej, nazywanego przez lewicę pejoratywnie Chjeną) z PSL „Piast”. Poufne rozmowy tych stronnictw toczyły się od lutego 1923 r. W ich rezultacie doszło do porozumienia politycznego, które przeszło do historii jako pakt lanckoroński. Nazwa wzięła się z błędnego powiązania przez opinię publiczną tego układu z rezydencją senatora Ludwika Hammerlinga w Lanckoronie. W rzeczywistości porozumienie polityczne pomiędzy ChZJN a PSL

„Piast” zostało zawarte 17 maja 1923 r. w warszawskim mieszkaniu endeckiego senatora Juliusza Zdanowskiego.

Porozumienie otworzyło drogę do utworzenia 28 maja 1923 r. „rządu polskiej większości” z premierem Wincentym Witosem (przywódcą PSL „Piast”) na czele, nazwanego przez przeciwników politycznych rządem Chjeno-Piasta. Rząd ten mógł dysponować w Sejmie przewagą zaledwie pięciu mandatów, co nie gwarantowało stabilności politycznej. W reakcji na powstanie rządu Chjeno-Piasta Józef Piłsudski rzekł się wszelkich funkcji państwowych (był wtedy jeszcze szefem Sztabu Generalnego oraz przewodniczącym Ścisłej Rady Wojennej) i na początku lipca demonstracyjnie wycofał się

z życia publicznego. Oczywiście było to wycofanie pozorne.

Inflacja i hiperinflacja

Nowy rząd musiał zmierzyć się z narastającym kryzysem gospodarczym, który po I wojnie światowej dotknął nie tylko Polskę, ale większość państw europejskich. Pomysł na walkę z kryzysem miał jedynie minister skarbu Władysław Grabski, który widział ratunek w uchwaleniu przez Sejm ustawy o daninie majątkowej oraz głębokiej reformie systemu podatkowego. Rząd jednak nie chciał podjąć ryzyka obciążenia kosztami kryzysu warstw najbogatszych. W tej sytuacji Grabski podał się do dymisji. Jego następcy – Hubert Linde (ustąpił po dwóch miesiącach

urzędowania) i Władysław Kucharski – bezradnie obserwowali dalsze pogarszanie się sytuacji finansowej państwa, tzn. szybkie przejście inflacji w hiperinflację.

Kraj pogrążał się w ekonomicznym i walutowym chaosie. W październiku 1923 r. za jednego dolara płacono 1 mln marek polskich, a w grudniu już 5 mln. Hiperinflacja uderzyła w poziom życia klasy robotniczej i inteligencji. „Jutro będzie gorsze niż dzisiaj” – tylko tyle powiedział 28 września 1923 r. premier Witos delegacji urzędników, która przyszła żalić się na coraz gorsze warunki swojej egzystencji.

Nic zatem dziwnego, że świat pracy reagował na tę sytuację strajkami. Już latem przeszła przez Polskę duża fala strajków, która osiągnęła jeszcze większe rozmiary w kolejnych miesiącach. Strajkowali m.in. łódzcy włóknarze, pracownicy przemysłu naftowego (Zagłębie Borystawsko-Drohobyckie) i metalowego (Warszawa, Zagłębie Dąbrowskie, Górny Śląsk). O ile w I kwartale 1923 r. strajkowało 65 tys. osób, o tyle w II kwartale – 95 tys., w III już 263 tys., a w IV aż 426 tys.

Czasem przerywano pracę spontanicznie. Na ogół jednak strajkami kierowały tzw. klasowe związki zawodowe, które były powiązane politycznie z lewicą – głównie z PPS, w mniejszym stopniu z nielegalnie działającymi komunistami. Wynikające z trudnych warunków materialnych niezadowolenie społeczne lewica chciała wykorzystać do podkopania pozycji politycznej rządu Chjeno-Piasta. Ku konfrontacji z rządem popychali PPS piłsudczycy, którzy dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że ich adwersarze polityczni dążą do wyrugowania ich



Do rozlewu krwi doprowadziła zarządzona przez gen. Józefa Czikela szarża dwóch szwadronów 8. Pułku Ułanów na uzbierający tłum robotników.

Bagińskiego i Antoniego Wiczorkiewicza, którzy od sierpnia przebywali w areszcie śledczym. Najpierw skazano ich na karę śmierci, a potem na dożywocie. Okoliczności tej sprawy do dzisiaj są niejasne.

Rekonstrukcja gabinetu z 27 września była zapowiedzią wprowadzenia przez rząd polityki silnej ręki i zmuszenia biedniejszych warstw społecznych do wyrzeczeń w obliczu kryzysu. Stanowczość władze chciały zamianifestować zwłaszcza w stosunku do podejmujących coraz częściej strajki pracowników sektora państwowego. Odpowiedzią na rządowe groźby zwalniania z pracy strajkujących były dalsze strajki, przede wszystkim kolejarzy i pocztowców. Żeby nie dopuścić do dezorganizacji ważnych obszarów życia państwowego, władze zarządziły militaryzację kolei. Odmawiający podjęcia pracy kolejarze mieli być traktowani jak dezterterzy i stawiani przed sądami wojskowymi.

3 listopada kierowana przez PPS Komisja Centralna Związków Zawodowych, nie chcąc dopuścić do złamania ruchu strajkowego siłą, proklamowała na 5 listopada strajk powszechny. Inicjatywę tę poparli nie tylko komuniści, ale także związki zawodowe kontrolowane przez Narodową Partię Robotniczą (bliską politycznie endecji).

Determinacja obu stron groziła wybuchem o nieobliczalnej skali. Endecka część rządu gotowa była pójść na taką konfrontację, żeby przeciąć wrzód, jakim jej zdaniem były knowania lewicy i piłsudczyków. „Mam głębokie przeświadczenie, że bez gruntownego starcia nie dojdziemy w Polsce do ładu” – zapisał 6 listopada w swoim dzienniku Juliusz Zdanowski. Konflikt próbowali natomiast łagodzić piastowcy. Maciej Rataj, mimo zapalenia gardła, spotkał się 3 listopada z politykami PPS Zygmunt Żuławskim i Janem

z zajmowanych stanowisk w wojsku i administracji państwowej. Nie bez powodu w pakcie lanckorońskim pojawiło się postanowienie o usunięciu z armii „niepewnych państwowo żywiołów”. Perspektywicznie ekipa Chjeno-Piasta dążyła do jak najdalejszego odsunięcia Piłsudskiego i jego zwolenników od wpływu na armię.

Piłsudski zwracał się już wtedy nie tylko przeciwko rządowi prawicy, ale przeciwko parlamentaryzmowi w ogóle. Uważał bowiem, że to dzięki ustrojowi parlamentarnemu jego przeciwnicy polityczni umocnili swoją pozycję w kraju. Stopniowo dojrzewało w nim przekonanie o konieczności ujęcia spraw publicznych twardą ręką. Przekonanie to zmateriałizowało się trzy lata później w postaci przewrotu majowego, który siłowo odsunął prawicę od władzy. Na razie konfrontacja piłsudczyków i PPS z rządem Chjeno-Piasta na tle dramatycznego kryzysu społeczno-gospodarczego doprowadziła do tragicznych wydarzeń w Krakowie na początku listopada 1923 r.

Temperaturę konfliktu piłsudczyków i PPS z obozem Chjeno-Piasta podniosła rekonstrukcja rządu z 27 września 1923 r., wzmacniająca pozycję polityczną endecji. Do rządu weszli wtedy lider chadecji Wojciech Korfanty (jako wicepremier) oraz

dwaj czołowi politycy endecji: Roman Dmowski (jako minister spraw zagranicznych) i Stanisław Grabski (jako minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego). Obie strony konfliktu politycznego wzajemnie oskarżały się o przygotowywanie zamachu stanu. Oskarżeniom tym sprzyjały nie tylko kolejne fale strajków organizowanych przez lewicowe związki zawodowe i popierane przez PPS, ale także seria tajemniczych zamachów terrorystycznych. 21 kwietnia 1923 r. eksplodował ładunek pod domem prof. UJ Władysława Natanson, z pochodzenia Żyda. 15 maja 1923 r. wybuch zniszczył krakowską redakcję żydowskiego „Nowego Dziennika”. W zamachach tych nikt nie zginął. Jednakże w wyniku wybuchu ładunku 24 maja 1924 r. w jednym z budynków Uniwersytetu Warszawskiego został śmiertelnie ranny profesor ekonomii Roman Orzęcki.

Rząd silnej ręki

Do wybuchów doszło też w Białymstoku i Częstochowie. 13 października 1923 r. nastąpiła eksplozja w prochowni Cytadeli Warszawskiej. Zginęło 28 osób, a 89 odniosło rany. O przygotowanie zamachu oskarżono sympatyzujących z komunistami młodszych oficerów Walerego

Ostatnich bojowników rozbrojono 7 listopada. Wtedy też wojsko odzyskało zdobyty przez robotników wóz bojowy. Z kolei władze centralne wydały gen. Czikelowi rozkaz, żeby nie wkraczał do rejonów miasta opartych przez robotników. Bilans ofiar był tragiczny. Zginęło 18 cywilnych uczestników zająć, w tym trzy przypadkowe osoby, oraz 14 żołnierzy, w tym trzech oficerów. Zabito 37 koni. Rany odniosło ok. 30 cywilów, 101 żołnierzy i 65 policjantów. Ponadto robotnicy wzięli do niewoli ok. 200 żołnierzy i 180 policjantów. 10 listopada odbyły się w Krakowie osobne pogrzeby poległych robotników i żołnierzy.

Po dalszych pertraktacjach z politykami PPS w Warszawie premier Witos zgodził się uchylić rozporządzenie o sądach doraźnych, militarzacji kolei i rozpatrzyć postulaty ekonomiczne robotników. W zamian kierownictwo PPS odwołało strajk generalny. Władze nie dotrzymały jednak obietnicy nierepresjonowania uczestników zająć i wkrótce aresztowano i postawiono przed sądami ok. 100 osób. Odpowiedzialność polityczną za zająć krakowskie ponieśli wojewoda Kazimierz Gałęcki i gen. Józef Czikel, których odwołano ze stanowisk. W połowie 1924 r. gen. Czikela przeniesiono w stan spoczynku. Podczas okupacji

niemieckiej podpisał on volkslistę i wyjechał do Wiednia, gdzie zmarł w 1973 r. w wieku 101 lat.

Wydarzenia listopadowe w Krakowie przyczyniły się bezpośrednio do upadku rządu Chjeno-Piasta w grudniu 1923 r. Do dzisiaj nie jest jasny stopień zaangażowania w te wydarzenia zwolenników Józefa Piłsudskiego. Niektórzy politycy PPS sugerowali później, że w listopadzie 1923 r. doszło w Krakowie do próby generalnej przed przewrotem majowym. Premier Witos przytoczył

W Krakowie zginęło 18 cywilnych uczestników zająć, w tym trzy przypadkowe osoby, oraz 14 żołnierzy.

w swoich wspomnieniach relację polityka PPS Mieczysława Mastka, z którym w 1930 r. był więziony w twierdzy brzeskiej. „Twierdził on mianowicie – pisze Witos – że na 6 listopada 1923 r. nasłano do Krakowa bez ich [PPS] woli i wiedzy bardzo wielu ludzi zupełnie nieznanymi, uzbrojonych i poinstruowanych. Pomiędzy nimi znajdował się także znany komendant Brześć (z 1930 r.) Kostek-Biernacki. Po zakończeniu rewolty tenże Biernacki wyraził przywódcą socjalistycznym swoje ubolewanie i niezadowolenie imieniem Piłsudskiego z powodu ich zachowania się, jak i przebiegu i wyniku tej

zbrodniczej awantury. Mastek twierdził z całą stanowczością, że staraniem Kostka-Biernackiego było objęcie rządów w Krakowie i urządzenie stamtąd marszu na Warszawę” (W. Witos, *Moje wspomnienia*, Paryż 1965, t. III, s. 50, cyt. za: T. Nałęcz, *Rządy Sejmu 1921-1926*, Warszawa 1991, s. 41-42).

Relacja ta była często przytaczana jako dowód na istnienie w listopadzie 1923 r. propiłsudczykowski spisku. Historycy podchodzą do niej z ostrożnością i sceptycyzmem.

Nie tylko ze względu na okoliczności jej powstania, czyli okres uwięzienia Mastka i Witos w twierdzy brzeskiej. Jest raczej mało prawdopodobne, że Piłsudski próbowałby w 1923 r. oprzeć ewentualny zamach stanu na robotnikach. Wtedy bowiem – o czym politycy PPS jeszcze nie wiedzieli – wysiadł już z „czerwonego tramwaju”. Piłsudczykowi było jednak na rękę skompromitowanie rządu Chjeno-Piasta, co nastąpiło w rezultacie wydarzeń z 6 listopada. Dlatego do końca nie można wykluczyć ich prowokacji w tych wydarzeniach.

Bohdan Piętka



Nowa książka PRZEGLĄDU!

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA

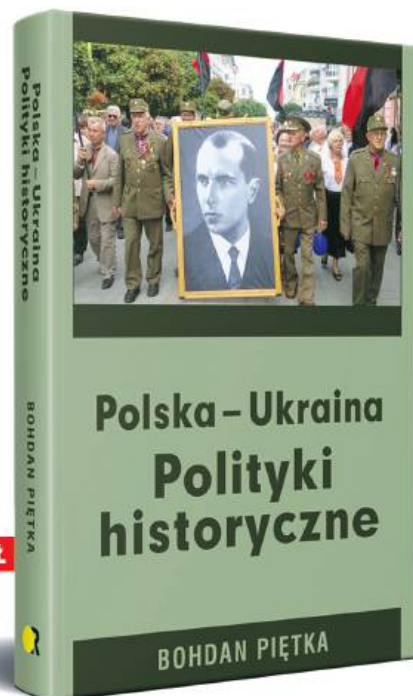
POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

Bohdan Piętka, historyk, autor PRZEGLĄDU

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

50 ZŁ



Rozmawia Wojciech Tutaj

Patrząc na twój aktorski dorobek, można powiedzieć, że najczęściej grasz w mocnych, zaangażowanych filmach. To bardziej kwestia przyładu czy świadomych wyborów?

– Pewnie wszystkiego po trochu, ale nie jestem aktorką, która przebiega w niezliczonych propozycjach i dokładnie rozrysowała ścieżkę swojej kariery. Przychodzą do mnie głównie takie scenariusze. Nie ukrywam, że chciałabym spróbować czegoś innego, jestem otwarta na kino gatunkowe i może wreszcie przyjdzie na nie pora. Mam poczucie humoru i chętnie zagrałabym w jakiejś komedii. Muszę jednak przyznać, że cieszę się z mojej sytuacji zawodowej, szanuję miejsce, w którym się znalazłam. Niedawno ktoś mnie zapytał, czego dotyczą moje dwa ostatnie filmy – „Lęk” i „Kobieta z...”. Pierwszy opowiada o eutanazji, a drugi o doświadczeniu osoby transpłciowej. To szeroko dyskutowane dziś zagadnienia, czuję, że współtworzę ważne społecznie kino. Być może emanuje ze mnie specyficzny rodzaj energii, który sprawia, że reżyserzy chętniej angażują mnie do takich projektów.

„Lęk” Sławomira Fabickiego, w którym tworzysz duet z Magdaleną Cielecką, opowiada nie tylko o eutanazji, ale i o strachu przed przemianami. Często myślisz o śmierci?

– Śmierć nie jest tematem przede mną oswojonym i przepracowanym. Nie jestem też osobą, która często nad nią rozmyśla. Pamiętam jednak dwa, trzy momenty, kiedy naszała mnie świadoma myśl, że kiedyś umrę. Dopadł mnie wtedy paniczny lęk. Z drugiej strony zdaję sobie doskonale sprawę, że śmierć jest niezbywalną częścią mojego życia i w końcu się zdarzy.

Miałaś wątpliwości, czy zagrać w tym filmie, ze względu na drażliwy społecznie temat? A może potraktowałaś tę rolę jako wyzwanie?

– Znam przypadki aktorek, które wzięły udział w kontrowersyjnym przedstawieniu i były napiętnowane. Nie bałam się jednak przyjąć roli w „Lęku”. Gdybym ją odrzuciła, czułabym, że zakrywam część swojej



MARTA NIERADKIEWICZ
– aktorka filmowa i teatralna

Wolność, śmierć i siostrzeństwo

Eutanazja jest częścią rzeczywistości, nawet jeśli traktujemy ją jak tabu

osobowości i udaję kogoś, kim nie jestem. Eutanazja jest częścią rzeczywistości, w której żyjemy, nawet jeśli traktujemy ją jak tabu. Ten temat ma własne, podziemne życie, są przecież osoby dokonujące podobnych wyborów. Zaczęłabym się pewnie wahać, gdybym dostała słabszy, publicystyczny scenariusz obarczony jakąś tezą. „Lęk” tymczasem okazuje się wivisekcją siostrzanej relacji, którą poznajemy w dość traumatycznych okolicznościach. Małgorzata jest ciężko chora i podjęła decyzję o eutanazji, a Łucja odwozi ją do kliniki w Szwajcarii. Każda z nich zupełnie inaczej podchodzi do sytuacji, pojawiają się więc dwie rozbieżne perspektywy. Film stawia wiele pytań, ale nie opowiada się po żadnej ze stron. To wydało mi się najbardziej fascynujące i wartościowe. Lubię kino zaangażowane, choć postrzegam „Lęk” raczej jako filozoficzną dywagację nad życiem i śmiercią i naszym prawem do decydowania o kwestiach ostatecznych. Uważam zresztą, że opinia na temat eutanazji

przynależy do sfery prywatnej. A moje zdanie może z czasem się zmienić, bo warunkuje je wiele czynników, np. kondycja psychiczna, doświadczenia życiowe, obecność terminalnie chorej osoby w najbliższym otoczeniu.

Cielesność i seksualność osób chorych też jest wątkiem właściwie nieobecnym w naszej kulturze, a „Lęk” podchodzi do niego śmiało i bezpośrednio.

– Musiałam znaleźć w sobie odwagę do zagrania niektórych scen. Myślę zwłaszcza o fragmencie, w którym moja bohaterka pomaga siostrze zaspokoić potrzebę seksualną po raz ostatni. Podobno na onkologii ukute jest stwierdzenie, że pożądanie umiera ostatnie. Znalazłam też artykuł dotyczący asystentów seksualnych, czyli osób pomagających ludziom z niepełnosprawnościami w zaznaniu cielesnej przyjemności. To dziedzina, która dynamicznie rozwija się w Europie i na świecie, obejmując także przypadki ludzi terminalnie chorych. Pomyślałam, że kluczem do wspomnianej

sceny będzie próba rozładowania napięcia, poradzenia sobie z bólem. Wcześniej Łucja widzi, że siostra próbuje uwolnić swoje pożądanie w kontakcie z nieznanym, ale ten mężczyzna ucieka. Traktuję więc zachowanie mojej bohaterki jako gest oddania, pomocy Małgorzacie. Zależało nam na zbudowaniu sceny, która nie będzie odczytywana w kluczu erotycznym. Coś innego ma tutaj wybrzmieć: ludzie mają sferę seksualną, która zostaje z nimi do końca. Schorowanemu człowiekowi nie wyłącza się żaden wewnętrzny system, a potrzeby seksualne magicznie nie znikają. Mogą się pewnie wyciszyć, ale nie zostają usunięte. W kraju tak silnie katolickim, w którym nie umiemy rozmawiać o seksie, ta kwestia leży gdzieś w cieniu. A nasz film rzuca na nią snop światła.

Przygotowując się do roli, rozmawiałaś z osobami, które przeżyły to, co bohaterki „Łęku”?

– Pierwszy raz nie podjęłam próby eksplorowania tematu. Zaczęłam wprawdzie od oglądania dokumentu o starszym mężczyźnie, który zastanawia się nad eutanazją, ale po 10 minutach przerwałam. Nie byłam w stanie wytrzymać dłużej, bo film mną wstrząsnął. Szybko doszłam do wniosku, że ta wiedza nie jest potrzebna ani mnie jako aktorce, ani mojej postaci. Im mniej Łucja będzie wiedziała, tym lepiej. Z tej niewiedzy mogłam wręcz uczynić atut, ona jeszcze mocniej wpływała na moją wyobraźnię. Skupiłam się bardziej na budowaniu relacji z Małgorzatą. Dopowiedziałam sobie ich przeszłość, dziecięce wspomnienia, wewnętrzny świat, który współdzielił. Dopisałam, jaki mają do siebie stosunek. Na to postawiłam najmocniejszy akcent.

Na ile utożsamiasz się z postawą swojej bohaterki, a na ile patrzysz na nią krytycznie?

– Uczę się nie oceniać wszystkiego na starcie, jednak Łucję niestety

szybko osądziłam. Wolność stanowi dla mnie jeden z najważniejszych życiowych tematów, więc pomyślałam, że moja bohaterka zbyt mocno dyktuje siostrze, co ona ma robić. Zastanawiałam się, dlaczego Łucja nie szanuje wyboru Małgorzaty. Na próbie uświadomiłam sobie jednak, że nie buduję bohaterki doskonałej. Łucja nie jest otwartą, wyrozumiałą kobietą, lecz osobą wystraszoną tym, że niebawem zostanie sama. Nie chce wypuścić siostry, bo przeraża ją perspektywa utraty. Kiedy spojrzałam na swoją postać z tej strony, mogłam dużo łatwiej ją zrozumieć. I zagrać odważniej, bez próby uszlachetnienia niektórych zachowań. Nie wiem, czy się z nią utożsamiam, ale oddałam jej moją energię, część siebie.

Temat eutanazji ma własne, podziemne życie, są przecież osoby dokonujące podobnych wyborów.

Zawsze tak się dzieje w pracy nad rolą. Myślę, że zawsze warto bronić swojej bohaterki, ale może nie trzeba jej na siłę usprawiedliwiać.

Teoretycznie Łucję i Małgorzatę dzieli wszystko: status ekonomiczny, sytuacja rodzinna, światopogląd. Jak starałyście się zbudować kontrast między postaciami, żeby nie popaść w przesadę?

– O odpowiednią równowagę zadbała scenarzystka Monika Sobień-Górska, ale mieliśmy na to oko, byliśmy uważni. Film został zbudowany z naszych wrażliwości i gustów, z tego, co my lubimy w kinie, i ta mapa inspiracji stanowiła pierwszy punkt odniesienia. Często pytałśmy się nawzajem z Magdą Cielecką, czy jakiś dialog brzmi naturalnie, co myślimy o danej scenie, czy nie poszliśmy za daleko i nie przesadziliśmy. Bardzo pomogły nam otwarte, szczere rozmowy. Wyznaczyliśmy sobie azymut tak, żeby ani nie

wygładzić, ani nie poszarpać filmowej historii. I nie sterroryzować widza swoimi emocjami. Z drugiej strony nie chcieliśmy rezygnować z poczucia humoru mimo sporego ładunku dramatycznego. Życie nie jest przecież czarno-białe i nawet kiedy przeżywamy bolesne doświadczenia, obok nas dzieją się rzeczy totalnie abstrakcyjne.

Jak ważną rolę odegrała na planie improwizacja? Wolisz ściśle trzymać się scenariusza i uwag reżyserkich czy mieć wolną rękę?

– Różnie z tym bywało. Jeśli czuliśmy, że coś jest nieorganiczne, albo któraś z propozycji reżysera nam nie odpowiada, wyrażaliśmy swoje zdanie. Prowadziliśmy po prostu ciągłą, partnerską dyskusję we troje.

Reżyser zawsze zostawiał nam wolną przestrzeń i słuchał naszych uwag. Interesowały go nasze opinie i przemyślenia. Generalnie bardzo lubię improwizować, zarówno w kinie, jak i na deskach teatru. Potrzeba jednak solidnej bazy informacji, żeby móc to robić i wiedzieć, w jakiej przestrzeni się poruszamy. Chociaż czasami lubię, jak ktoś mnie prowadzi. Nie widzę przecież szerszego obrazka niż reżyser i scenarzysta. Aktor czuje się bezpieczniej, gdy twórca wie, do czego dąży. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby ktoś miał przyciskać mi rękę do gardła. Wolę artystyczną swobodę.

Z Magdaleną Cielecką zagrałyście już siostry w „Zjednoczonych stanach miłości”. Czy znajomość pomaga w stworzeniu bliskiej relacji na potrzeby filmu?

– Uważam, że moja przyjaźń z Magdą, pełna czułości, wrażliwości i szacunku, ustanowiła to, co widzimy na ekranie. Bez niej dużo trudniej byłoby budować siostrzaną relację w „Łęku”. Oczywiście okres zdjęciowy bardzo nas do siebie zbliżył. Ale nawet przebywając gdzieś razem, umiałyśmy być osobno. Każda z nas potrzebowała przestrzeni dla siebie i ta druga to szanowała. Kręciliśmy ▶

Marta Nieradkiewicz – (ur. w 1983 r.) absolwentka PWSFTviT w Łodzi. Występuje na deskach Teatru Dramatycznego w Warszawie. Za rolę w „Płynących wieżowcach” otrzymała w Gdyni nagrodę dla najlepszej aktorki drugoplanowej. Dwukrotna laureatka Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego za role w „Kamperze” i „Zjednoczonych stanach miłości”.

► film chronologicznie, najpierw w Polsce, potem w Niemczech, a na końcu w Szwajcarii. Podążyliśmy za bohaterkami, ich emocjami i zmieniającą się relacją. Na marginesie wspomnę, że reżyser Sławomir Fabicki zaprosił nas do czytania scenariusza już siedem lat temu w Szkole Wajdy. Wybrał nas bez żadnego castingu i zaproponował główne role.

A jak zareagowałaś na fizyczną transformację Magdy Cieleckiej?

– Magda była na ścisłej diecie i rzeczywiście bardzo schudła. Jest raczej drobnej budowy, ale gubienie przez nią kolejnych kilogramów robiło naprawdę duże wrażenie. Przyznam, że w trakcie zdjęć trochę przyzwyczaiłam się do tego widoku, przestałam zauważać zmianę. Towarzyszyłam jej w całym procesie. Na pierwszym seansie musiałam jednak zrobić głęboki wdech, bo po prostu zapomniałam, ile Magda straciła na wadze. Myślę, że wszyscy, włącznie z nią, mieliśmy świadomość, że fizyczna przemiana jest potrzebna, podbija efekt autentyczności. Zderzenie wychudzonego, osłabionego ciała Małgorzaty z pełnymi kształtami Łucji, jej vitalnością i pędem do życia spełnia swoją rolę, pracuje na wyobraźnię.

Kręciliście „Lęk” z myślą o wywołaniu szerszej społecznej dyskusji?

– Lubię wychodzić z kina z jakąś myślą albo pytaniem, na które muszę sobie odpowiedzieć. Chciałabym, żeby w przypadku „Lęku” było podobnie, żeby widzowie wynieśli z seansu coś, co będzie ich trapić albo zastanawiać. Mieliśmy świadomość, że robimy ważny film, który porusza uniwersalne tematy dotyczące wszystkich. Na spotkaniach z publicznością najczęściej padają pytania o brak sfery duchowej w naszym filmie. Niektórzy chcieliby podjęcia tego wątku, ale w „Lęku” nie chodzi o religijną rozprawę nad sensem umierania. Mnie osobiście podoba się, że film traktuje przede wszystkim o człowieku, a nie o dylematach wiary. Zdarzają się też bardzo emocjonalne reakcje widzów, którzy przeżyli śmierć osób terminalnie chorych. Dostają sygnały, że „Lęk” jest istotnym i mocnym głosem w dyskusji o ich doświadczeniach.

Wojciech Tutaj

Lewicowość wystrzępiona

Czy zaskakuje mnie, że Monika Strzępka okazała się osobą przemocową, która z tzw. lewicowości wybiera, co jej akurat pasuje?

Rafał Piкуła

Zaczęło się od wywiadu, jakiego dyrektorka Teatru Dramatycznego udzieliła Onetowi. Przepytwana przez dziennikarkę, która nie jest jej wierną wyznawczynią, Monika Strzępka powiedziała szczerze i otwarcie, co myśli. Z wywiadu, a także z późniejszych publikacji (w tym wypowiedzi samych aktorów i pracowników teatru) wynikało, że reżyserka ma w nosie bezpieczeństwo socjalne i higienę pracy w instytucji. Liczy się zgodność z wizją dyrektorki. W mediach kilka zwalnianych osób – aktorzy, aktorki i pracownicy administracyjni – przekonywało, że teatr pod kierownictwem Strzępki stał się miejscem przemocowym, a ona sama ze „zdeklarowanej feministki wzorcem dyskryminacji”.

A miało być tak pięknie

Obejmując stery publicznej instytucji, Monika Strzępka zapowiadała, że „nikt nie będzie molestowany, upokarzany, instrumentalizowany”, że skończy się „zarządzanie przez strach”. Będzie pięknie, równościowo i godnie. Ale okazało się, że deklaracje jedno, a życie drugie. Bo innego wytłumaczenia nie ma w sytuacji, gdy dyrektorka zwalnia 27 pracowników (w ramach restrukturyzacji, jak mówi), by zatrudnić nowych 26.

Dyrektorka zapowiadała, że „teatr musi działać bardziej ekonomicznie

i zredukować koszty”. Zwalniani mieli od niej słyszeć: „Nie posiadasz emanacji, które są potrzebne do uprawiania tego zawodu”, „Ja nie chcę być mamusią, która ma 46 cyków i każdego wykarmi. Już nie”, „Ja nie mam czasu, żeby opowiadać ci alfabet o teatrze”. Pracę stracili albo młodzi aktorzy na dorobku, albo seniorzy. Tacy, którzy na rynku pracy artystycznej mają najtrudniej.

Wiele można mówić o całej sytuacji, ale zwrócę uwagę na dwie kwestie, które są dużo szersze niż sprawa Moniki Strzępki. Pierwsza to utożsamianie lewicowości z liberalnym światopoglądem, druga to problem rewanżyzmu, który można ująć w haśle: „Teraz, k... my”.

Przemoc, w tym ekonomiczna, nie ma płci ani poglądów.

Ludzi o lewicowych poglądach może jest sporo, ale ludzi o lewicowej wrażliwości bardzo niewiele. Kolejna rzecz to mylenie lewicowości z liberalizmem. To, że ktoś zamienia fallusy na waginy, przyczepia tęczową przypinkę i mówi o empatii, nie czyni go lewicowcem. Czy lewicowe jest zwalnianie ludzi (czytaj: zostawienie bez środków do życia w ogromnie trudnej sytuacji rynkowej) tylko dlatego, że nie pasują do wartości reżyserki? Bo nie jadą na grzybobranie albo nie okadzają się szaflwią? Jeśli pracodawca traktuje



pracowników jak g..., a na zarzuty odpowiada, że szkoły niczego ich nie nauczyły, to chyba jest to dalekie od empatii i szacunku dla drugiego człowieka.

Czy lewicowa i feministyczna artystka ma prawo używać ultraliberalnej retoryki i korporacyjnych metod w procesie zarządzania zasobami ludzkimi? Czy lewicowa i feministyczna dyrektorka może traktować zespół Teatru Dramatycznego jako zbiór nieudaczników? Czy w ogóle słowo nieudacznik może się pojawić w narracji kogoś, kto uważa się za wrażliwego lewicowca? Czy lewicowa i empatyczna jest praca TYLKO z ludźmi, którzy podzielają nasz światopogląd? Czy jeśli zwalnia się ludzi w waginiecie, a nie fallusowym gabinecie, to jest to już godne wartości lewicowych?

Folwark

Ta sytuacja przypomina mi rozmowę z pewną elegancką panią od promocji z dużej firmy technologicznej. Pani zwykła mówić o feminizmie w co drugim zdaniu, ale idea, żeby

podnieść podatki w branży IT (gdzie dominują panowie) i zwiększyć pensję pracującym w kulturze i edukacji (tu dominują panie) wydawała jej się nie do pomyślenia. Pani bardzo lubiła mówić o wspieraniu kobiet, ale raczej tych, które pojawiają się na okładce „Forbesa”, niż tych, które pracują jako szwaczki czy salowe. „Każdy jest kowalem swojego losu, może się postarać i zmienić branżę”, podkreślała.

jak wiele osób, nazywających się otwartymi, podpala wizja, że teraz po przejęciu TVP usuną wszelkie audycje religijne. Nie obchodzi ich, że są osoby starsze, wykluczone, dla których transmisja mszy jest jedyną formą uczestnictwa w nabożeństwie. Nie rozumieją, że to dla kogoś może być ważne. Czy ich uwzględnią, nawet jeśli tych konserwatywnych katolików albo staruszków zamkniętych w domach jest kilkaset tysięcy? Powinni, bo tak wygląda misja publiczna. W TVP są transmisje nabożeństw

Większy wstyd, gdy wchodzi się do instytucji z hasłami równości i siostrzeństwa, by potem uprawiać rządy autorytarne, szowinistyczne i zwyczajnie głupie.

Ale potem nie powinno nikogo dziwić, że partie uważane za lewicowe zdobywają niewiele ponad 8% głosów w wyborach, a tylko co 20. (sic!) robotnik oddaje głos na partię o robotniczym rodowodzie.

Najgorsze, co może stać się z publicznymi mediami i instytucjami kultury, to przejęcie ich przez nowych dyrektorów wyznawców, którzy będą Józefem Marią Ruszarem z Instytutu Literatury à rebours.

Monika Strzępka nie jest wyjątkiem. To przykład i zarazem smutny prognostyk tego, co w kulturze i mediach robi ideologiczne zaślepienie. Przemoc, w tym ekonomiczna, nie ma płci ani poglądów. Tylko wstyd trochę większy, gdy wchodzi się do instytucji z hasłami wolności, równości i siostrzeństwa, by potem uprawiać rządy autorytarne, szowinistyczne i zwyczajnie głupie.

Boję się, że brunatny zamordyzm zastąpi zamordyzm brokatowo-tęczowy. Zmieniła się podstawa: kryterium będzie wyznana ideologia, a nie talent, pracowitość, ambicja.

Misja wolna od ideologii

Czy moje obawy są doprawdy przesadzone? Czytam o tym,

ewangelickich i prawosławnych, bo takowe mniejszości żyją w Polsce. I chciałbym, żeby w nowej telewizji publicznej była relacja z Drogi Krzyżowej z papieżem, i prawosławnej Wielkanocy, meczu reprezentacji Polski w piłce nożnej, i parady równości w Warszawie. Tak, żeby każdy czuł, że to jego telewizja. Publiczna.

Tak jak publicznym, czyli naszym, jest Teatr Dramatyczny. Nie jest to własność Moniki Strzępki, nie była to własność Tadeusza Słobodzianka. Jeśli oburzało nas to, że Prawo i Sprawiedliwość robiło z Polski swój prywatny folwark, to bądźmy konsekwentni. Skoro chcemy obalić dziadocen, to nie zastępujemy go babocenem.

Strzępce słowo poszukujący słuszy za wytrych, tak jak Kaczyńskiemu słowo patriota, czyli do okładania na ośle i zatykania ust, a przecież teatry, jak cała sfera publiczna (urzędy, szkoły itd.), w sprawach zarządzania muszą być wolne od ideologii. Wymiana krzyża na „Wilgotną Panią” to tylko zmiana scenografii. Ale za symbolicznymi gestami powinna iść też nowa jakość.

Monika Strzępka jest uznaną reżyserką teatralną i wie, że od szokowania i zaskakiwania jest scena. Sztuka może być kontrowersyjna, alarmująca, przełamująca tabu. Gabinety są od dialogu.

Janusz Leon Wiśniewski

Stany splełtane

Znak Literanova, Kraków 2023

Autor bestsellerowej powieści „S@motność w sieci” tym razem proponuje czytelnikom zbiór nieoczywistych opowiadań. Łączy je temat miłości, ale tej trudnej, naznaczonej cierpieniem i wyzwaniem. Pisarz poświęca ogromnie dużo miejsca walce i odbudowie, podniesieniu się po stracie i życiowych doświadczeniach. Nie ma tu epatowania brutalnością ani taniego moralizowania. Wiśniewski rozdrapuje rany, odkrywa sekrety duszy, wyjaśnia motywy, ale na końcu pozostawia czytelnika z polem do refleksji. To typowa literatura środka, bez wielkich ambicji, ale też daleka od banału; wciągająca niczym dobry serial, idealny wybór na jesienny wieczór.



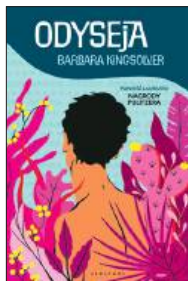
Barbara Kingsolver

Odyseja

tłum. Małgorzata Małecka

Albatros, Warszawa 2023

Nie ma cienia przesady w opisie festiwalu nienawiści, który urządzają „patrioci” podjudzani przez państwowo-medialną maszynę, gdy ta bierze na cel wielbionego niedawno pisarza.



Sami dopiero co byliśmy świadkami podobnego szaleństwa, więc te fragmenty powieści wywołują niemal fizyczny ból. Autorka wpisała swojego bohatera pomiędzy autentyczne postacie. Jako kucharz u Fridy Kahlo poznaje on Trockiego, zostaje jego sekretarzem, widzi zakiszącą się wokół wygnańca pętlę bezmyślnie a skwapliwie powielanych pomówień. Ten sam mechanizm niszczy potem jego życie w Ameryce polującej na komunistów. A to przecież życie na skraju wydarzeń, wiecznego outsidera, który nawet rzadko używa wobec siebie imienia i nazwiska, traktuje je z dystansem, tak jak obserwowany świat. Budujemy sobie czyjś obraz z własnych przekonań i oczekiwań, z powierzchownych wrażeń i cudzych ocen, i nie obchodzi nas, że najważniejsze – to, czego o człowieku nie wiemy – nam umyka.

*Aleksandra Pańko***Taki wstyd**

„Wstyd” Marka Modzelewskiego sprawdził się na kilku scenach, miał też wersję filmową („Teściowie”), zbierając zasłużone pochwały. Opowieść o niedoszłym ślubie i wystawnym weselu wywleka na światło dzienne skrywane brudy i urazy dzielące rodziców pary, która uciekła sprzed ołtarza. Wychodzą na jaw ich mentalne i społeczne uprzedzenia, trudne relacje między ludźmi na różnych szczeblach drabiny społecznej. Dochodzą też echa polsko-polskich podziałów i zaściankowego myślenia.

„Wstyd” rządzi się przejaśkrawieniami właściwymi komedii, trafnie diagnozując stan świadomości nowych elit biznesowych, a przy tym napisany został z prawdziwym nerwem. Przekonali się o tym widzowie prapremiery w warszawskim Teatrze Współczesnym przed paru laty (2019) w reżyserii Wojciecha Malajkata, który teraz przygotował spektakl w nowej obsadzie, wyprodukowany z myślą o objeździe po kraju. Tym razem Malajkat postawił na ukazanie relacji rodzinnych. Trudno nowej realizacji odmówić dynamiki i ostrości w rysunku postaci, choć obraz podziałów społecznych jest mniej wyraźny, a niedoszli teściowie bardziej przypominają amantów niż groźnych przeciwników (Szymon Borowski i Andrzej Żeleński), a głównym pojedynek toczą teściowie (Anna Dereszowska i Marieta Zukowska). Wydobycie innych akcentów nie zmniejszyło wstydu, z którym muszą się skonfrontować bohaterowie tej tragikomedii, ani solidnej dawki humoru oferowanej widzom.

Tomasz Miłkowski

Marek Modzelewski, „Wstyd”, reżyseria Wojciech Malajkat, Teatr Spektaklove, premiera w Garnizonie Sztuki, 9 października 2023



„Don Kichot”, Opera na Zamku w Szczecinie, libretto i choreografia Anna Hop, premiera 28 października 2023

Znany tytuł w nowej choreografii

Nieoswojony z klasycznym repertuarem zespół baletowy Opery na Zamku w Szczecinie zaskakująco dobrze wypadł w „Don Kichocie” z choreografią Anny Hop. Tańczył lekko, swobodnie, przekonująco. Jednak poprzeczka nie została zawieszona wysoko; w choreografii nie znalazły się najpopularniejsze, a zarazem technicznie najtrudniejsze solowe wariacje i duety, znane z pierwowzorów stworzonych przez Mariusa Petipę i Aleksandra Gorskiego. Szwankuje niestety dramaturgia spektaklu, przez co nie wszystkie sceny są wystarczająco czytelne. Choreografia bazuje na dość szablonowych rozwiązaniach formalnych. Nowe libretto z wysuniętym na pierwszy plan Don Kichotem byłoby znacznie ciekawsze, gdyby postaci, ich charaktery zostały wnikliwie zbudowane tańcem, ruchem, gestem. Ale wyzwanie zostało podjęte. Koncepcja jest warta uwagi. I można ją dopracować.

Joanna Brych

Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Ten spektakl „Nie mam sobie nic do zarzucenia” trwa przez epoki, lata, rządy, systemy. Nie musi odnosić się do zbrodni ani nawet przestępstw. Wszak wielka część naszego społecznego dostosowania się oparta jest na regułach i prawach niepisanych, nieskodyfikowanych, a często nawet (co może jest niepożądane) niewyraźnych. A jak coś jest niewyraźne, to jak może być obowiązująca zasada? Te ogólnikowe sądy towarzyszą mi, kiedy nieco z boku i dystansu przypatruję się inauguracji obrad nowego Sejmu, w którym dyscyplinującego, brutalnego, koszarowego drygu nie uprawiają już niedawni dominanci i bezskrupulanci z PiS. Ale byli już ministrowie, marszałkowie i marszałkowie („ach, nie życzę sobie marszałkini”, mówi Elżbieta Witek) sprawiają wrażenie zwierzakowych bohaterów kreskówek, którzy tak pędzą, że nie orientują się, iż opuścili twarde podłoże i szybują nad przepaścią, a ich nogi wciąż gnają. Z przyzwyczajenia do niepohamowanego tupetu wykrzykują coś Czarnkowie, Ziobry et consortes

skrajnej polaryzacji politycznej i społecznej, zniknęły niepisane zasady. Możemy ich żałować, ale trudno tych faktów nie rozumieć. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie – czyż nie? Nie ma co histeryzować, żadna bezprawna krzywda jak dotąd PiS się nie dzieje. Pytaniem zostaje, czy jakąś przejrzystą prawnie da się im w ogóle zaaplikować. Rozliczenia polityczne, ponoszenie konsekwencji politycznych nadużyć to nie jest żadna polska specjalność. Tu jakby przez dekady obowiązywała niepisana formuła nietykalności odchodzących. Cyrkowo-kabaretowy popis dał Zbigniew Ziobro, krzycząc do „nowych wkrótce rządzących”: „Liczę na was! Mam nadzieję, że nie okażecie się takimi fujejami, jak za czasów Trybunału Stanu” (w 2015 r., tuż przed przegranych przez Platformę wyborami próbowała ona nieskutecznie postawić Ziobrę, pisowskiego ministra sprawiedliwości lat 2005-2007 przed Trybunałem Stanu. Zabrakło pięciu głosów, a kilkunastu posłów ówczesnej koalicji PO-PSL było dziwnym trafem nieobecnych podczas

A wszystkich ich nie żal

z trybuny sejmowej, jakby wciąż do nich nie dotarło, że ten etap hucpy mają już za sobą, że wygrywając „nominalnie”, przegrali frontalnie. Że nie rozdają już kart. Że kiedy żądają tego, czego odmawiali swoim politycznym adwersarzom, mogą zderzyć się ze ścianą. Takim zderzeniem z „nowym” (cokolwiek to znaczy) była próba uczynienia ze skompromitowanej (choćby słynną reasumpcją przegranego głosowania) byłej marszałkini Sejmu – choćby obecnej wicemarszałkini. Nie dotarły do PiS kularowe ostrzeżenia, że Witek nie ma szans, bo sama wcześniej ukreśliła na siebie bat służalczości partyjnej. Dostępna dla Jarosława Kaczyńskiego w poprzedniej kadencji mównica sejmowa „bez żadnego trybu” wdrożyła tryb „stop”. Wielki strateg, zapewniający nowego marszałka Hołownię, że jest wciąż premierem, musiał obejść się smakiem, głosu nie dostał.

Okudżawa śpiewał: „Co było, nie wróci i szaty rozdierać by próżno. Cóż, każda epoka ma własny porządek i ład”. Ewidentnie wkraczająca do polityki, choć intensywnie hamowana przez obstrukcję prezydenta, powyborcza zmiana oznacza inny ład niż ten, do którego przywykł Jarosław „Bez trybu” Kaczyński. Droga na trybunę będzie odąd drogą regulaminową, a na ulicy, gdzie zamieszkuje, już nie stanie w jego hipotetycznej obronie szpaler niemal stu radiowozów na sygnale, jak to bywało.

Widać, że trudno odejść, widać, jak niełatwo pożegnać się z władzą, którą PiS sprawowało niepodzielnie i agresywnie przez osiem lat. Nie oni pierwsi, nie ostatni źle znoszą odstawienie od rządzenia, które zafundowali im wyborcy. Niepostrzeżenie, jako owoc z zatrutego drzewa

spóźnionego o dwa lata zrywu). Bezkarność Ziobry po aktywności podczas pierwszych rządów PiS zaowocowała jego bezpardonowymi działaniami w latach 2015-2023.

Czy tamta nauczka poszła w las? Zobaczmy.

Jesteśmy równocześnie obserwatorami intensywnych działań nieistniejącego już rządu, który szeroką fawą podejmuje decyzje, mające zapewnić dobry byt oraz nienaruszalność posad odchodzącej ekipie. Można by powiedzieć, że jesień 2023 r. przyniosła lawinowy przyrost parasoli ochronnych otwieranych nad samymi sobą i znajomymi królika przez ekipę PiS. I, jak nas do tego przyzwyczaili, robią to bez żadnych hamulców, na rympał. W całym procederze bierze aktywny udział „ich” prezydent. W sumie już „nie dziwi nic”.

Świat mediów także przestawił wajchę i zaczyna docieklewie patrzeć na ręce Tusкови, który nawet jeszcze nie otrzymał formalnie misji sformowania rządu.

PiS już kreuje się na ofiarę polityczną, robiło tak zresztą nawet wtedy, gdy w najlepsze rządziło. Ta formacja już tak ma, króluje i w tym samym momencie utrzymuje, że jest krzyżowana. Tak przekaz katolicki przekłada się na zwyczaj polityczny. PiS, do ostatniej chwili rozdające synekury i fundusze na przetrwanie czasów nierządzenia, uważa się za Chrystusa narodu.

I wcale mi ich nie żal. Niech przejadą po nich sanie sprawiedliwości, uczciwie zapracowali na surowe rozliczenie się z ich dokonaniem (złe czyny, nie ludzie, he, he).

Ale nie będzie łatwo. ■

Chrystian Ślusarczyk

Czy tego chcemy, czy nie, musimy zacząć przyzwyczajać się do myśli o żegnaniu się z węglem. Surowcem, który tak chętnie wykorzystywany jest (był?) w energetyce i ciepłownictwie. Żegnanie się z węglem szczególnie trudno przebiega w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Boleśnie odczuwamy to nad Wisłą. Także dlatego, że odchodząca władza zrobiła niewiele, by transformacja energetyczna przebiegała u nas tak jak w wielu krajach Europy.

Energetyka węglowa w Polsce przechodzi powoli do historii. Świadczą o tym twarde dane. Wydobyte węgla kamiennego w polskich kopalniach w pierwszym półroczu tego roku wyniosło niecałe 24 mln ton. To 20% mniej niż w analogicznym okresie 2022 r.

Czy Górny Śląsk i inne nasze węglowe regiony pogodziły się z tym, że wkrótce kopalnie będą jedynie atrakcją turystyczną? Na tle protestujących od tygodni górników w Bułgarii, kraju, który szczyty się elektrownią atomową i energią słoneczną, wydaje się, że tak.

Atom zamiast węgla – polski bieg z przeszkodami

Skąd Europa bierze energię? W 2022 r. ponad 40% energii wyprodukowanej w Unii pochodziło ze źródeł odnawialnych, a mniej więcej jedna trzecia – z elektrowni jądrowych. My długo jeszcze nie dogonimy tych wielkości. Od jakiegoś czasu media bombardują nas informacjami, że energetyka jądrowa to przestarzała i niebezpieczna technologia, a Zachód odchodzi od atomu. Czy aby na pewno? W obliczu wojny na Ukrainie wiele państw, które na papierze ogłaszają wygaszanie atomu, dziś powstrzymuje się od zamykania elektrowni jądrowych, a aż 11 krajów UE planuje budowę elektrowni jądrowych. To zarówno kraje „starej” Unii, jak i naszej części kontynentu: m.in. Czechy, Słowacja, Rumunia.

Europejskim atomowym liderem jest Francja. Ma ona najwięcej eksploatowanych reaktorów – 56. Na



Jak Europa żegna się z „czarnym złotem”

Wiele wskazuje na to, że 11 lat po zamknięciu ostatniej węglowej elektrowni w Unii Europejskiej Polska wciąż będzie zatruwać Europę

drugim miejscu znajduje się pograżona w wojnie Ukraina z 15 reaktorami. Do grupy państw posiadających u siebie atomówki od lat chce dołączyć Polska. Stać się tak musi z co najmniej dwóch przyczyn: przestarzałe elektrownie węglowe wymagają wymiany, a odnawialne źródła energii w polskich warunkach nie zapewnią wystarczających dostaw energii. A zapotrzebowanie na nią będzie rosnąć.

Jeszcze do niedawna wydawało się, że pierwsza polska elektrownia jądrowa powstanie nad Bałtykiem, w rejonie Lubiatowa-Kopalina. Ale na spotkaniu na wrocławskim osiedlu Jagodno Donald Tusk dał do zrozumienia, że nie dziwi się protestom mieszkańców i turystów, którzy nie chcą oszpecać krajobrazu tej części kraju. Jak widać, problem z lokalizacją pierwszej polskiej elektrowni

jądrowej może spędzać rządcą sen z powiek. Argumenty, że elektrownia musi powstać blisko morza (systemy chłodzenia), ok. 300 m od plaży, za pasem drzew, do żyjących z turystyki zupełnie nie przemawiają.

Jak podały Polskie Elektrownie Jądrowe (PEJ), pod koniec października wojewoda pomorski wydał decyzję o ustaleniu lokalizacji „Lubiatowo-Kopalino” jako miejsca pierwszej w Polsce elektrowni jądrowej. Ale należy pamiętać, że zezwolenie na budowę elektrowni musi wydać prezes Państwowej Agencji Atomistyki, a w kolejnym etapie wojewoda pomorski. Ma to pozwolić na rozpoczęcie prac budowlanych w maju 2026 r. Zgodnie z harmonogramem PEJ pierwszy blok elektrowni jądrowej miałyby ruszyć w roku 2033.

Elektrownia na Pomorzu ma być jedną z najnowocześniejszych

i najbezpieczniejszych w Europie. Ma powstać z wykorzystaniem amerykańskiej technologii AP1000 i posiadać trzy reaktory amerykańskiej firmy Westinghouse o łącznej mocy 3750 MWe. Jak widać, na inwestycję, która powinna skutecznie zahamować rosnące ceny energii elektrycznej, poczekamy co najmniej 10 lat.

Pionierzy odwęglania Europy

Zobaczmy zatem, jak i kiedy Europa pożegna się lub już pożegnała z węglem. Przy czym pojęcie „żegnania się” nie jest do końca uprawnione. W sześciu bowiem krajach UE nigdy nie wykorzystywano węgla na potrzeby własnej energetyki. Pierwsza trójka nie powinna zaskakiwać – to położone daleko od „serca” Europy Cypr i Malta oraz bogaty Luksemburg. Zaskakiwać może nas kolejna trójka. To bowiem Litwa, Łotwa i Estonia, kraje położone blisko naszych granic i o klimacie zbliżonym do naszego. Z kolei cztery inne kraje – Belgia, Austria, Szwecja i Portugalia już pożegnały się z węglem w energetyce.

Cypr. Na wyspie energię elektryczną wytwarza się z importowanych produktów naftowych. Panują tu także dogodne warunki do rozwoju energetyki wiatrowej.

Malta. Tu także prawie cała energia produkowana jest z importowanych produktów naftowych. I choć wydawać by się mogło, że ta wietrzna wyspa powinna uzyskiwać znaczne ilości energii z elektrowni wiatrowych, tak się jednak nie dzieje. Powód: brakuje miejsca na lądzie, a głębokie wody przybrzeżne i wszechobecne skały utrudniają budowę instalacji na morzu.

Luksemburg. Ten mały, ale bogaty kraj energię elektryczną ma dzięki OZE (elektrownie wiatrowe, słoneczne i niewielkie wodne). Władze już od kilku lat wyrażają zaniepokojenie stanem francuskich elektrowni jądrowych zlokalizowanych blisko granicy.

Litwa. Niemal w całości importuje energię elektryczną. Głównie z południowej Szwecji (ok. 70%) i z sąsiedniej Łotwy. Ostatnia elektrownia jądrowa na Litwie została zamknięta 13 lat temu.

Łotwa. Blisko 60% energii pochodzi tu ze źródeł odnawialnych (OZE). Łotysze do produkcji energii wykorzystują też gaz (28%).

Estonia. Jest eksporterem energii netto. Głównym surowcem wykorzystywanym do produkcji energii są wysokoemisyjne tępki bitumiczne. W 2022 r. to z nich produkowano prawie 80% energii elektrycznej. Estonia ma też spore krajowe zasoby biomasy, która jest źródłem energii numer dwa.

Belgia – 2016. Jest to pierwszy kraj UE, który zdecydował się na zaprzestanie produkcji energii elektrycznej z węgla. Siedem lat temu elektrownię węglową Genk-Landerlo zakupił niemiecki gigant energetyczny E.ON, ale ciepłownia bardzo szybko musiała ogłosić upadłość.

Austria – 2020. Wiosną 2020 r. firma Verbund wyłączyła ostatnią austriacką elektrownię węglową w Mellach. Zachowano jednak dwa

przyśpieszenia były rosnące koszty emisji gazów cieplarnianych.

Za rok, może dwa albo za... 26 lat

17 krajów rezygnację z energetyki węglowej ma w bliższych lub dalszych planach.

Francja – 2024. Już za kilkanaście miesięcy z węglem w energetyce pożegna się Francja. Jesienią 2024 r. mają zostać zamknięte dwie ostatnie elektrownie węglowe: Emile Huchet i Cordemais. Wyłączenia zapowiadano na ten rok, ale Paryż chciał zabezpieczyć się na wypadek ewentualnego braku prądu, choć zdaniem resortu energii prawdopodobieństwo jego wystąpienia jest teraz mniejsze niż ubiegłej zimy.

Węgry – 2025 (2029?). W 2021 r. rząd Viktora Orbána zobowiązał się, że do 2025 r. zamknie ostatnią elektrownię węglową Mátra na północy

W sześciu krajach Unii Europejskiej nigdy nie wykorzystywano węgla na potrzeby własnej energetyki. To Cypr, Malta i Luksemburg, a także Litwa, Łotwa i Estonia.

bloki, które pracują dzięki wykorzystaniu gazu ziemnego. Wiosną 2022 r. z powodu uzależnienia Austrii od rosyjskiego gazu rząd w Wiedniu zaproponował, by elektrownia w Mellach tymczasowo powróciła do wykorzystywania węgla. Propozycja ta nie zyskała jednak poparcia w parlamencie.

Szwecja – 2020. Jeden z najbardziej proekologicznych krajów świata pożegnał się na dobre z energetyką węglową w kwietniu 2020 r. Zakładów jednak nie zamknięto. Wykorzystywane są dziś do uzupełniania sieci ciepłowniczej Sztokholmu. Ciepło uzyskuje się dzięki biomasie odpadowej (pozęrbowej) z przemysłu drzewnego.

Portugalia – 2021. Ten mały kraj stanowi wzór, jak skutecznie przyśpieszać terminy żegnania się z węglem. W 2017 r. Lizbona zobowiązała się do rezygnacji z węgla do roku 2030. Jednak firma Energias de Portugal (EDP) zmieniła datę na rok 2023, a potem na 2021. Według EDP powodem

kraju. Te 50-letnie zakłady dają Węgrom tylko 11% energii elektrycznej, odpowiadając za prawie połowę emisji gazów cieplarnianych z energetyki. Straty działalności Mátry wynoszą dla węgierskich podatników ponad 100 mln euro rocznie. Rok 2025 może być jednak zagrożony. Pod koniec ubiegłego roku Orbán oświadczył, że nie wyklucza przedłużenia życia ciepłowni Mátra aż do roku 2029, co stanowi naruszenie zobowiązań wobec UE, ale do takich decyzji Budapeszt zdążył nas już przyzwyczaić.

Włochy – 2025. Zintegrowany narodowy plan ds. energetyki i klimatu zakłada, że kraj z węgla w energetyce zrezygnuje do końca roku 2025. We Włoszech działa jeszcze sześć elektrowni węglowych. W 2022 r. zapewniły one gospodarce jedynie 7,5% niezbędnej energii. W czerwcu br. minister ochrony środowiska oświadczył, że do ich zamknięcia może dojść nawet w roku 2024. Warunek – ceny gazu powinny się zatrzymać mniej więcej na obecnym poziomie. ▶

► **Irlandia – 2025.** Zielona Wyspa zobowiązała się do zamknięcia jedynej elektrowni węglowej do końca 2025 r. Jesienią ubiegłego roku Dublin zwrócił się do UE z prośbą o zezwolenie na dłuższe korzystanie z elektrowni w związku z niepewną sytuacją na globalnym rynku energetycznym. Wiosną br. właściciel węglowej wciąż elektrowni potwierdził wycofanie się z „czarnego złota”. Zakład nie będzie jednak zamykany; ma wykorzystywać olej napędowy, emitujący mniej dwutlenku węgla. Jednocześnie realizowany jest duży projekt budowy wielkiej farmy wiatrowej i systemów „zielonego” wodoru na terenie tej elektrowni.

Dania – 2028. Ten słynący z ekologicznego podejścia do życia kraj z węglem miał pożegnać się już wcześniej. Jednak w ubiegłym roku

znacznie starsza, ma być zamknięta najpóźniej do 2025 r.

Hiszpania – 2030 (2025?). Wszystkie swoje elektrownie węglowe Hiszpania zamknie najpóźniej do 2030 r. Jednak w czerwcu br. Madryt, idąc śladem Portugalczyków, zaproponował, że w związku z rosnącymi kosztami emisji gazów cieplarnianych być może zrezygnuje z węgla pięć lat wcześniej. W tej sprawie trwają konsultacje ze związkami zawodowymi. Trzy lata temu Hiszpanie zamknęli siedem z 15 elektrowni węglowych.

Słowacja – 2030. Nasi południowi sąsiedzi zrezygnują z węgla w energetyce do końca 2030 r. Z kolei dwie ostatnie słowackie kopalnie zostaną zamknięte do końca tego roku. Elektrownie, które spałały wydobywany przez nie węgiel, będą wykorzystywać biomasę i panele słoneczne.

Belgia, Austria, Szwecja i Portugalia już pożegnały się z węglem w energetyce, 17 państw czeka na wyznaczone przez siebie terminy.

Kopenhaga zleciła firmie Ørsted pozostawienie jednego bloku elektrowni węglowej, który miał odgrywać rolę rezerwy energetycznej i zostać zamknięty do końca tego roku. Blok nie został zamknięty i będzie stanowić rezerwę energetyczną do 2028 r.

Grecja – 2028. Już w 2019 r. Ateny zobowiązały się do rezygnacji z węgla w energetyce do roku 2028. Kilka elektrowni ma zostać zamkniętych do końca tego roku. Przedłużony okres dotyczyć ma jedynie otwartej w tym roku elektrowni Ptolemaida 5, która jest wyjątkowo nowoczesna i nie zanieczyszcza środowiska tak bardzo jak inne elektrownie węglowe.

Finlandia – 2029. Rząd w Helsinkach także w 2019 r. oświadczył, że 1 maja 2029 r. Finlandia pożegna się z węglem w krajowej energetyce. W roku 2022 spalanie węgla gwarantowało fińskiemu gospodarstwu jedynie 4% prądu i 11% ciepła.

Holandia – 2030. Parlament w 2019 r. uchwalił, że od 1 stycznia 2030 r. wejdzie w życie zakaz użycia węgla w elektrowniach. Termin ten dotyczy tylko dwóch elektrowni zbudowanych po roku 2020. Trzecia,

Władze w Bratysławie przekonują, że im wcześniej gospodarka odstawi węgiel w pozostałych elektrowniach, tym większe będą korzyści finansowe. Pewną niewiadomą pozostaje termin rezygnacji z pozyskiwania energii w... hucie żelaza w Koszycach.

Rumunia – 2030. Na szczycie klimatycznym w Nowym Jorku we wrześniu br. prezydent Klaus Iohannis zapewnił, że wszystkie elektrownie węglowe zostaną zamknięte w roku 2030, a kopalnie zostaną zrehabilitowane i zamienione w tereny zielone. Kraj spodziewa się otrzymać ponad 2 mld euro z Funduszu na Rzecz Sprawiedliwej Transformacji.

Słowenia – 2033. Ten mały, alpejski kraj w styczniu 2022 r. przyjął narodową strategię rezygnacji z węgla i restrukturyzacji tzw. regionów węglowych. Z dokumentu wynika, że Słowenia zamknie swoje elektrownie węglowe w ciągu najbliższych 10 lat.

Czechy – 2033. Na początku 2022 r. nowy czeski rząd zapowiedział zamknięcie do roku 2033 wszystkich elektrowni węglowych. W odróżnieniu od Słowaków Czechów

czeka znacznie trudniejsze zadanie. Do ubiegłego roku ponad połowa czeskiej energii elektrycznej wytwarzana była w kilku elektrowniach węglowych.

Chorwacja – 2033. Podczas konferencji klimatycznej w Glasgow w 2021 r., chorwacki premier oświadczył, że jego kraj zakończy produkcję energii z węgla najpóźniej do roku 2033. Dodał jednak, że możliwy jest termin wcześniejszy. W Chorwacji obecnie działa tylko jedna elektrownia węglowa.

Niemcy – 2038. Na szczyblu krajowym Niemcy zobowiązały się do zamknięcia wszystkich elektrowni węglowych najpóźniej do roku 2038. W poszczególnych landach trwają dyskusje, czy nie przyspieszyć tego terminu – do roku 2030. Taką decyzję podjęły już władze Nadrenii Północnej-Westfalii, gdzie znajduje się największa elektrownia węglowa. Także energetyczny gigant, firma RWE, podjęła się zakończenia wykorzystywania węgla do 2030 r., a także zamknięcia wszystkich swoich kopalni.

Bułgaria – 2038. Mimo ostatnich gwałtownych protestów (m.in. blokady autostrad) Sofia zdecydowała, że wszystkie elektrownie węglowe zakończą działalność do roku 2038. Rząd w Sofii uważa nawet, że może to nastąpić znacznie wcześniej. Powód – kompletny brak konkurencyjności na rynku energii elektrycznej.

Polska – 2049. Nasz kraj w procesie żegnania się z węglem jest zdecydowanym outsiderem. Trzy lata temu polski rząd podpisał porozumienie ze związkami zawodowymi, na mocy którego kopalnie mają zostać zamknięte najpóźniej do roku 2049. Górnictwo ma być subsydiowane przez państwo. Termin ten ma dotyczyć również zamykania elektrowni węglowych. Jako że jest to czas bardzo odległy, trudno mieć pewność, co do jego trwałości i sprawdzalności.

Polska jest zdecydowanie najbardziej uzależnionym od węgla krajem UE – aż 70% energii elektrycznej produkuje się u nas z „czarnego złota”. Wykorzystujemy zarówno węgiel kamienny (większość elektrowni), jak i brunatny (w siedmiu zakładach).

Chrystian Ślusarczyk

Oko w oko



Tomasz Jastrun

W matni

U mowa koalicyjna podpisana, a ja ze wzruszeniem oglądałem w TVN ten akt. Teraz czekają nas absurdalne tygodnie, gdy Morawiecki będzie tworzył swój rząd z nikim. Prezes oświadcza na wiecu w rocznicę „mordu smoleńskiego”, dokonanego przez Tuska z Putinem, „że jest już przygotowany plan, którego wprowadzenie w życie przez Unię Europejską prowadzi nie tylko do pozbawienia nas niepodległości, ale wręcz do anihilacji polskiego państwa”. Jak dodał, „taki plan w pełni popiera koalicja, która wkrótce przejmie w Polsce władzę”. I mówi: „KO to parta zewnętrzna”, czyli zachodnia. Wrogiem jest więc Unia, nie Rosja, Zachód nam zagraża, nie Wschód. Jeśli się mówi, że władzę przejmują zdrajcy, którzy chcą likwidacji państwa polskiego, jest to nawoływanie do wojny domowej. Nie będzie jednak buntu ani rewolucji, będzie anihilacja PiS. Prezes jak obłąkany woła: Tusk to lump, to Niemiec. Z jednej strony to złowieszcze, a z drugiej to dobrze. Im więcej nabredzi, tym bardziej przegra. Biedny prezes, tyle pracy poszło na marne, tyle kłamstw, oszustw, mataczenia. Zawiódł się na polskim narodzie.

A co się dzieje w głowach sekty smoleńskiej? Jak jej wyznawcy będą sobie radzić z tą traumą? Dopóki żyje przywódca sekty, będą trwać i złorzeczyć na nowe porządki.

Wojna na Ukrainie zepchnięta w ciemny kąt. Martwi mnie, że przestaliśmy się martwić o Ukrainę. Przyzwyczailiśmy się. Czy to nie zdumiewające, że tam front się nie rusza, jak za I wojny światowej. Uwagę zaprzęta teraz Bliski Wschód. Mam bliskich i przyjaciół w Izraelu. Karolina ma 88 lat i jest w świetnej formie. Bardzo martwiła się o wnuka Iftaha, który studiuje medycynę w Budapeszcie, ale gdy wybuchła wojna, sam wrócił i zgłosił się do jednostki, chociaż nie został zmobilizowany. Był kiedyś w elitarnym oddziale specjalnym, więc wysłali go do Gazy. Ale po dwóch tygodniach pozwolili wracać na studia. Karolina odetchnęła z ulgą. Jego brat Ron cudem ocalał. Ma 18 lat, był w ośrodku w pobliżu Gazy na kursie przygotowawczym przed służbą w wojsku w grupie 40 dziewcząt i chłopców. Wyjątkowo dali im przepustkę, by mogli pojechać do domu. Nazajutrz ośrodek zajęli terroryści. Było w nim tylko małżeństwo, które pilnowało budynku. Jego zabili, a ją porwali.

W izraelskiej telewizji wystąpił ośmiolatek, cudem ocalały z młodszą siostrą. Terroryści zabili ich rodziców, dzieci to widziały, były w sąsiednim pokoju, terroryści ich przegapili i wyszli. Chłopiec zadzwonił na

telefon dla dzieci, pani po drugiej stronie kazała im sprawdzić, czy rodzice na pewno nie żyją. Chłopiec dotykał martwych rodziców, nie ruszali się, więc, jak radziła pani z telefonu, z siostrą schowali się w szafie. Terroryści wrócili i przeszukali dom, ale nie znaleźli dzieci. Przesiedzieli w tej szafie osiem godzin, aż przybyli żołnierze.

Karolinie nagle otworzyły się drzwi do wspomnienia, zupełnie go nie pamiętała, wyparła. Jest małą dziewczynką w getcie we Lwowie. Matka mogła wychodzić do pracy poza getto i zostawiała córkę samą. Powiedziała jej, że jeśli do ich mieszkania przyjdą Niemcy, niech nie chowa się w szafie, tak radzili niektórzy, ale wymknie się kuchennymi schodami. Przyszli żołnierze, schowała się, ale nie w szafie. Widziała, jak żołnierz bagnetem dźga wnętrze szafy. Teraz miała sen, do jej domu próbowali wtargnąć

Biedny prezes, tyle pracy poszło na marne, tyle kłamstw, oszustw, mataczenia. Zawiódł się na polskim narodzie.

Arabowie, piłowali kraty, ale mówili po niemiecku. Jedno potoczyło się z drugim. Ta zbrodnia wszystkim skojarzyła się z Holokaustem. Izrael nie mógł nie spacyfikować Gazy i wybić terrorystów, a przecież nie powinien pacyfikować Gazy ze względu na zwykłych mieszkańców. Sytuacja bez wyjścia.

Szymon Hołownia zostaje marszałkiem Sejmu, Elżbieta Witek dwukrotnie wycięta dużą liczbą głosów. Świetne przemówienie nowego marszałka. Prezes siedział w Sejmie ze zmienioną twarzą, jakby zaraz miał mieć udar. Potem znowu gadanie, że Tusk to lump, że utrata niepodległości. Dopiero teraz wyborcy opozycji do końca uwierzyli, że wygraliśmy, a pisowcy zrozumieli, że przegrali. Następnego dnia znowu awantury w Sejmie, Ziobro upiorny kęsa jak szczur zagnany w ciemny kąt, co za scena, okropni ludzie, w kłęsce jeszcze straszniejsi niż w triumfie. Szykuje się niezwykle spektakl na lata. I znowu świetny Hołownia jako marszałek, mądry, ironiczny, mocno trzyma cugle w rękach.

Józek Hen skończył sto lat, entuzjazm i aplauz, jakby kończył bieg maratoński, wszyscy mu kibicowali, szczególnie na ostatnich kilometrach. Przyszła w końcu środa i dobiegł! Czyta PRZEGLĄD, więc Go pozdrawiam.

Partner, a nie petent

Lekarz nie zmieni złej wiadomości w dobrą, ale musi ją profesjonalnie przekazać

Rozmawia Blanka Dżugaj

Gdy myślę o komunikacji z pacjentem, przypomina mi się fragment filmu „Pora umierać”, gdy grana przez Danutę Szaflarską bohaterka wchodzi do gabinetu lekarskiego i pani doktor mówi do niej: **rozbierze się i się położy. Bohaterka odpowiada jej z wdziękiem: niech się pocałuje w d...**

– Mam nadzieję, że to nie odzwierciedla współczesności, że bardzo dużo się zmieniło i nadal się zmienia w myśleniu społecznym. Ludzie oczekują zupełnie innych relacji we wszystkich sferach, co dotyczy też opieki medycznej. W każdej sytuacji oczekujemy partnerskiego kontaktu, a model paternalistyczny powoli odchodzi i ustępuje miejsca modelowi partnerskiemu.

Jak więc zmienia się komunikacja między lekarzem a pacjentem?

– Model partnerski oznacza, że osoba, która przychodzi do lekarza, oczekuje partnerstwa i dobrej rozmowy, podczas której będzie właściwie traktowana. To bardzo ważne, bo taka rozmowa i nawiązywanie dobrej relacji z pacjentem buduje zaufanie do lekarza. Lekarze są już tego coraz bardziej świadomi. Mam nadzieję, że przyczynkiem do tej zmiany jest też działalność Polskiego Towarzystwa Komunikacji Medycznej zrzeszającego osoby, których pasją jest komunikacja w medycynie i które działają w praktyce oraz na uczelniach, na kierunkach lekarskich. Udało się wprowadzić nauczanie z zakresu komunikacji medycznej do obowiązkowego programu kształcenia studentów kierunku lekarskiego. Jest całkiem sporo godzin, a studenci mają zajęcia według dobrych modeli. Myślę, że to sprawi, że



DR HAB. ALDONA JANKOWSKA

– profesor Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, prezeska Polskiego Towarzystwa Komunikacji Medycznej

komunikacja medyczna w opiece zdrowotnej będzie się poprawiała.

W jaki sposób nieprawidłowa komunikacja między pacjentem a lekarzem wpływa na proces leczenia?

– Bardzo negatywnie oczywiście. Komunikacja w praktyce lekarskiej to przede wszystkim wywiad, czyli podstawowe narzędzie pracy lekarza. Jeżeli nie mamy dobrych kompetencji komunikacyjnych, nie rozumiemy perspektywy pacjenta, to nie potrafimy zebrać wywiadu. W praktyce lekarskiej przeprowadzamy średnio 400 tys. wywiadów, jeżeli ktoś nie umie tego zrobić, to już na starcie jego możliwości diagnostyczne są ograniczone. Kolejny ważny element to koncepcja, która wchodzi w tej chwili do polskiej medycyny: *shared decision making*, czyli współudział pacjenta w decyzjach medycznych.

Trzeba mieć kompetencje komunikacyjne, żeby umieć współpracować z pacjentem. Trzeci ważny element to przekazanie informacji o rozpoznaniu. Może występować przed *shared decision making*: najpierw przekazujemy informacje o rozpoznaniu i możliwych protokołach leczenia. Jeżeli nie umiemy tego zrobić, to w przypadku niepomyślnych wiadomości sposób ich przekazania staje się dodatkową traumą dla pacjenta. Odnosnie do efektów leczenia, jeżeli nie zbierzemy dobrze wywiadu, nie postawimy dobrej diagnozy. Poza tym, jeśli nie umiemy zbudować zaufania, pacjent prawdopodobnie nie zrealizuje naszych zaleceń, więc nie będzie efektów leczenia.

Czy lekarze w Polsce dostrzegają, że czytelna komunikacja z pacjentem jest istotna dla leczenia?

– Tak, pokazują to wyniki badań. Świadomość jest coraz większa i to po obu stronach, chociaż nie lubię takiego stawiania naprzeciw siebie pacjentów i lekarzy. Jednak niezależnie od tego, po której stronie stoimy, coraz lepiej rozumiemy, że komunikacja jest ważna zarówno w przypadku wywiadu lekarskiego, jak i udzielania informacji o rozpoznaniu czy przekazywaniu niepomyślnych wiadomości. W dodatku brak umiejętności budowania dobrych relacji z pacjentami przyczynia się do przeciążenia emocjonalnego lekarza i do wypalenia zawodowego.

W jaki sposób?

– Jeżeli nie umiemy budować dobrych relacji, nie mamy kompetencji komunikacyjnych, to przestajemy rozumieć perspektywę pacjenta. Kolejna sprawa to konflikty, którymi nie potrafimy zarządzać i których siłą wręcz nasilamy niewłaściwymi zachowaniami komunikacyjnymi. A konflikty zawsze przeciążają emocjonalnie i wypalają. Jeżeli nie



umiemy sobie z tym radzić, jesteśmy przeciążeni, mamy poczucie, że pacjenci nas atakują, nie rozumiemy ich i jest nam coraz trudniej.

Czas pandemii to konsultacje zdalne, porady telefoniczne – czy jakoś zmienili model komunikacji między lekarzem a pacjentem?

– Taka forma komunikacji jest odrębnym zagadnieniem. Na pewno wymaga dużych kompetencji komunikacyjnych, a ich brak w wielu sytuacjach klinicznych stanowi zagrożenie. Dlatego w modelach kształcenia kompetencji komunikacyjnych lekarzy ujęliśmy też porady udzielane drogą zdalną, czyli tzw. teleporady.

Jak lekarz ma rozmawiać z pacjentem, a jak pacjent powinien opowiadać o swoich problemach zdrowotnych lekarzowi, żeby efektem było zrozumienie i bezpieczne, skuteczne leczenie?

– Podstawowym warunkiem dobrej współpracy jest zaufanie, które owocuje tym, że wywiad lekarski jest prawdziwy. Pacjent mówi szczerze o swoich dolegliwościach oraz o tym, czy bierze leki. Często przyczyną błędów medycznych jest to, że pacjent boi się przyznać do nieprzyjmowania leków. Lekarz o tym nie wie i zastanawia się, czy kuracja nie działa, czy ma zwiększyć dawkę leków, czy zmienić terapię. Bardzo dobrze, jeżeli pacjent potrafi przygotować

się do wizyty. Jak to powinno wyglądać? Przed wizytą pacjent powinien się zastanowić, jaka jest jego główna dolegliwość, przypomnieć sobie o wszystkich chorobach towarzyszących i wszystkich lekach, które przyjmuje, zebrać dokumenty medyczne. W przypadku osób starszych lub osób w sytuacji bardzo emocjonalnej, które nie są pewne, czy wszystko zapamiętają, dobrze jest wziąć

W trakcie praktyki lekarskiej średnio przeprowadzamy 400 tys. wywiadów. Jeżeli ktoś nie umie tego zrobić, już jego możliwości diagnostyczne są ograniczone.

ze sobą wszystkie przyjmowane leki, żeby lekarz wiedział, co pacjent przyjmuje, i mógł przeanalizować jego farmakoterapię.

Lekarz ma 15 minut na wizytę. Czy to wystarcza, żeby nawiązać efektywną komunikację?

– Jeśli przyjrzymy się różnym lekarzom, z których każdy ma 15 minut, widzimy, że niektórzy są sprawniejsi w budowaniu dobrej relacji mimo braku czasu, a niektórzy są mniej sprawni. Czas nie jest więc jedynym czynnikiem, który wpływa na jakość komunikacji, jednak absolutnie należy dążyć do tego, żeby czas przeznaczony na rozmowę z pacjentem,

był dłuższy. Natomiast jeżeli lekarz ma mało czasu, wtedy właśnie potrzebne mu są wysokie kompetencje komunikacyjne. Liczy się wówczas też komunikacja pozawerbalna, aby nie okazywać pacjentowi zdenerwowania czy zniecierpliwienia. Pomaga tu wspomniane przygotowanie ze strony pacjenta.

Czy komunikację trzeba dostosowywać do pacjenta?

– Lekarz zawsze musi dostosować się do swojego pacjenta. Czasami mamy w gabinecie osobę, która niedostłoczy czy niedowidzi. Komunikacja medyczna cechuje się tym, że odpowiedzialność za nią ciąży na lekarzu. Nie mogę powiedzieć, że nie zebrałam dobrze wywiadu lekarskiego, bo pacjent czegoś mi nie powiedział. To ja nie zadałam właściwego pytania.

To chyba najtrudniejsza rzecz w komunikacji medycznej, pani doskonale o tym wie ze względu na specjalizację onkologa dziecięcego, jak przekazywać pacjentom trudne wiadomości.

– Tak, to bardzo ważna sprawa, bo czasami nam, lekarzom, wydaje się, że najważniejsze jest leczenie, a poinformowanie pacjenta o diagnozie to tylko formalność. Tymczasem badania pokazują, że moment

otrzymania informacji o poważnej chorobie silnie wpływa na chorych. Wykazano, że częstość samobójstw u chorych na chorobę nowotworową była najwyższa bezpośrednio po otrzymaniu informacji o rozpoznaniu, niezależnie od rokowania. Bardzo istotne jest więc profesjonalne przekazanie tej informacji, tak aby wesprzeć pacjenta. My nie zmienimy złej wiadomości w dobrą, ale musimy ją przekazać profesjonalnie.

Profesjonalnie, czyli jak?

– Narzędziem wspierającym lekarzy w przekazywaniu niepomysłnej wiadomości jest protokół EMPATIA, stworzony na podstawie analizy ▶

► piśmiennictwa, doświadczeń Kliniki Pediatrii, Hematologii i Onkologii CM UMK oraz rozmów z pacjentami. Nazwa protokołu wywodzi się ze słowa empatia rozumianego jako empatia poznawcza: ja, jako lekarz, widzę emocje mojego pacjenta, rozumiem je i wiem, jak mu pomóc, niekoniecznie natomiast muszę

w obecności osób wspierających. To pacjent decyduje, czy chce być sam, czy z kimś. Musi być też czas na tę rozmowę, w którym nie załatwiam innych spraw. Kolejna sprawa, o której czasami nie pamiętamy, to fakt, że najpierw parę zdań powinien powiedzieć pacjent. Musimy poznać jego perspektywę, żeby

zwrotem ostrzegawczym, np.: przykro mi, ale niestety, nie mam dobrej wiadomości. Potem jasno przekazujemy komunikat, następnie dajemy pacjentowi czas na jego przyswojenie, patrzymy, kiedy jest gotowy, żeby usłyszeć coś więcej, i wtedy przekazujemy wszystkie informacje o możliwościach leczenia, uzyskania wsparcia, kolejnych wizytach oraz pytaniach, które na tych wizytach chciałby zadać. Ostatni punkt to adnotacja, którą możemy zostawić w dokumentacji i której kopię możemy przekazać pacjentowi (z informacjami o rozpoznaniu i planach leczenia). Tak w zarysie wygląda protokół.

Kto zajmuje się w Polsce tematem komunikacji medycznej?

– Polskie Towarzystwo Komunikacji Medycznej oraz Centrum Komunikacji Klinicznej będące międzyuczelnianym ośrodkiem Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego. Zapraszam wszystkich zainteresowanych do współpracy.

Blanka Dżugaj

Diagnozę przekazujemy bez owijania w bawełnę, jedynie poprzedzając zwrotem ostrzegawczym, np.: przykro mi, ale niestety nie mam dobrej wiadomości.

je przeżywać. Jestem po to, żeby mu pomóc. Podstawa to dobre przygotowanie do takiej rozmowy, czyli zastanowienie się, jaki to pacjent, jakie ma rozpoznanie, jakie są możliwości leczenia i udzielania wsparcia. Warto przygotować sobie plan tej rozmowy. Kolejna rzecz to miejsce: ta rozmowa powinna być przeprowadzona w warunkach dużej prywatności, czyli nie w obecności innych chorych, ewentualnie

wiedzieć, jakim językiem mówi, jak się do niego dostosować. Niezbędny jest adekwatny język, zrozumiały dla pacjenta.

Czy niepomysłną wiadomość powinno się w jakiś sposób złagodzić?

– Treść wiadomości to kolejny punkt protokołu, w języku angielskim to dwie litery: T oraz H: *truth and hope*, czyli prawda i nadzieja. Diagnozę przekazujemy bez owijania w bawełnę, jedynie poprzedzając

**FESTIWAL
KRZYSZTOFA
PENDIE
RECKIEGO**

WARSZAWA, 22-26.11.2023

ORGANIZACJA



**Stowarzyszenie
im. Ludwiga
van Beethovena**



**Filharmonia
Narodowa**



Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Skromni i niepozorni

Jestem zadowolony – Kaczyński nie dał na razie powodów, aby zrobić mi się go żal, Witek dała powody, aby nigdy jej nie żałować, a Ziobro wprost zachęcił do mocnego zaciskania kciuków za to, by ostatecznie wylądował w lochu. Prezes w swoim zwyczaju postanowił „zrobić wejście”, przekonany, że podobnie jak w ciągu minionych ośmiu lat nic bez niego odbyć się nie może. Tymczasem kiedy usłyszał zza drzwi sali sejmowej marszałkowskie „otwieram posiedzenie Sejmu”, pośpiesznie wszedł i podreptał ku swojej ławie, ale musiał się zatrzymać w pół drogi, by odśpiewać marszmarsz. Spóźniał się do hymnu na schodach. Po raz drugi w ciągu kilku tygodni wodzowskie ego zderzyło się ze ścianą – w lokalu wyborczym odesłano go na koniec kolejki, a w Sejmie już nikt na niego nie czeka – toż to prawdziwa jesień patriarchy! Na domiar dobrego, kiedy zamamrotał do marszałka Hołowni, że jest premierem i chce zabrać głos (ach, więc już nie da się bez żadnego trybu! trzeba się grzecznie zgłosić!), został poinformowany, że członkowie rządu już zgłosili swoje wystąpienia, i odesłany na miejsce. To już prawdziwy wielopak upokorzeń dla samozwańczego zbawcy narodu, któremu nie mieści się w głowie, że po dymisji pisowskiego rządu pozostają mu wyłącznie przywileje i obowiązki szeregowego posła. Nadchodzą długie zimowe wieczory, kiedy jedyną karzą dla narcyzmu prezesa pozostaną wizyty na placu Piłsudskiego i wpatrywanie się w postument brata bliźniaka jako w swój własny pomnik.

Bałem się, że Kaczyński zareaguje na utratę władzy rozpaczliwie i poruszy struny współczucia w mojej duszy – na razie na szczęście jest wyłącznie groteskowy, bo jeszcze tej utraty nie przyjął do wiadomości. I być może nie pojmie jej nawet po przegranej wotum rządu Morawieckiego – kto wie, czy siła wyparcia nie jest już zbyt potężna, aby Jarosław Kaczyński odzyskał przytomność umysłu.

„Efekt piaskownicy”, który przewidywałem, a więc odmrażanie sobie uszu na złość mamie, zaskakująco wcześniej ujawnił się w kaczyńskich poczynaniach – wolą nie mieć wicemarszałka wcale, niż zgłosić alternatywną kandydaturę. Nie będzie Niemiec pluł im w twarz i kandydatów cenzurował. Elżbieta „Reasumpcja” Witek, żaląc się na parlament, że większością głosów zakończył

definitywnie jej marszałkowanie, mówiła o sobie, jakby recytowała partyjny przekaz dnia: „walczą z taką skromną i niepozorną kobietą”. W kaczyńskim imaginariu kobieta z natury rzeczy jest skromna i niepozorna, jeśli zaś od garów została warunkowo odciągnięta na przykład do polityki, to tylko po to, żeby skromnością i niepozornością wprost epatować, jak premierka Szydło, zapamiętana ze swojej nadzwyczaj skromnej i niebawale niepozornej wypowiedzi o tym, ile się komu po prostu należy. Elżbieta Witek tak się wyspecjalizowała w niepozorności, że nikt nie zauważył jej męża przez kilkanaście miesięcy leżącego na OIOM-ie, swoje skromne usposobienie zaś potwierdziła ogłoszeniem, że „nie będzie innego kandydata poza mną”, czego przecież nazwać butnym ani pysznym nie przysztoby nam do głowy.

Napawam się smakiem cywilizowanej zemsty – nie trzeba mi głowy Zera na tacy, wystarczy mi jego roztrzęsienie.

Najbardziej jednak ekspresyjną reakcją na zmianę parlamentarnego układu sił wykazał się prokurator Ziobro. Nazwać jego rechot nerwowym, byłoby chyba eufemizmem – kaczyński minister sprawiedliwości zaśmiał się histerycznie, kiedy usłyszał skandowane przez pół Sejmu: „Będziesz siedział!”. To, co dotąd można było puszcząć mimo uszu, nagle stało się realną groźbą, dlatego zgrywający zazwyczaj zimnego szeryfa Ziobro zaczął się odgryzać i wręcz zachęcać do stanowczości – „Liczę na was! Liczę na to, że tym razem nie okażecie się takimi fujejami!”. Jeśli to nie deklaracja wygłoszona w tonacji samobójczej, pozostaje odebrać jego słowa jako prowokację człowieka pewnego swojej bezkarności, zabetonowanego na stanowisku i chronionego przez nieusuwalny immunitet. Niespodzianie to właśnie Ziobrze pierwszemu puściły nerwy, jego wystąpienie było właściwie teatrem tragicznym, rozpiętym między tradycją antyczną (komentarze chóru) i romantyczną (złowieszcze metafory, „po nocy jest dzień”), ze szczyptą paniki jako przyprawą, czyniącą to danie wyrafinowanym smakowo. Chodzi oczywiście o smak cywilizowanej zemsty, którym się napawam – nie trzeba mi głowy Zera na tacy, wystarczy mi jego roztrzęsienie.

Sumy z Przechowalni

Sum jest jak odkurzacze: po drodze zasysa wszystko.
Ma szeroki pysk, a jak coś do niego wpadnie,
to już się nie wydostanie

Paweł Średziński

Człowiekiem Biebrzy, związanym z nią od dzieciństwa, jest Mirosław Kobeszko. Rzeka i woda to jego żywioły. (...) Zaczniemy od tego, że Kobeszko ma mocne biebrzańskie korzenie. Lubi podkreślać, że jest nad Biebrzą od zawsze. Jego ojciec był strażnikiem łosiowym. Tym samym, który pilnował ostatnich ocalałych łosi w nowych granicach powojennej Polski. (...)

Dziadek Mirka ze strony matki przyjechał na Białostoczną z Litwy. „Zakładał tu koła myśliwskie i wędkarskie – chwalił przodka Mirek. – To był pasjonat. Podobno przed wojną był strażnikiem łowieckim w jakimś majątku na Litwie. Potem



Sumy lubią przebywać nocą na pływaczach, gdzie pojawiają się raki i piskorze.

pracował na kolei i był naczelnikiem parowozowni w Białymstoku, dzięki czemu mieliśmy darmowe bilety. Przyjeżdżałem z dziadkiem i pływaliliśmy po rzece”.

Z tamtych młodych lat Mirosław pamięta, jak co roku wraz z dwoma kuzynami przyjeżdżał nad Biebrzę, do uroczyska Pale. Rozbijali tam namiot i spędzali wakacje. Do Osowca pływali łódką po chleb, a z rzeki wyławiali ryby i raki, i to bardzo dużo ryb i jeszcze więcej raków. Kobeszko poznał też Włodzimierza Puchalskiego. Znany fotograf przyjeżdżał do miejscowego strażnika Władysława Lechocińskiego, który zabierał go na swoją łódkę. Kobeszko i kilku innych chłopaków pływali razem z nimi. Mój rozmówca pamięta, że Puchalski

budował naturalne ukrycia: zbierał trzciny w żywe snopki i przewiązywał je tuż przed wiechą. Miały mu wystarczyć za kamuflaż – tak, aby nie tworzyć niczego nowego w krajobrazie. Kobeszko pomagał w tym kleceniu kryjówek i słuchał fotografa. Strażnik Władysław był podobno doskonałym gawędziarzem. Zajmował się przywracaniem bobrów przywiezionych nad Biebrzę z Białorusi, dlatego nazywano go bobrowym.

Opowiadał o rzece przez cały czas. Mieszkał w dzisiejszej osadzie Bóbr. Kobeszko do dziś uznaje go za swojego nauczyciela. Tak samo wyraża się o ojcu. To ci dwaj strażnicy, bobrowy i łosiowy, mieli duży wpływ na jego zainteresowanie rzeką i biebrzańską przyrodą.

Kiedy Mirosław był w wieku poborowym, uznał, że zanim założy mundur, sam wybierze specjalizację. Istniała wtedy możliwość zrobienia różnych kursów przed służbą wojskową. Kobeszko zdecydował się na szkolenie dla płetwonurków. Zaraz po nim pojechał na pierwsze zawody w nurkowaniu, które odbywały się na jeziorze Wigry. (...)

W Polsce zdarzają się problemy z widocznością, bo woda bywa mętna, ale gdy Mirek zawodowo związał się z nurkowaniem, zaczął jeździć po świecie. Jak mówi, nurkował w różnych miejscach, a tam woda była przejrzysta i ciepła. Mimo to z sentymentem wracał nad Biebrzę. „Tu, w Biebrzy, pod wodą jesteś sam – przekonuje. – Wciąż możesz poczuć się odkrywcą. Kiedy nurkowałem w Morzu Czerwonym, owszem, było bardziej kolorowo, ale było też wielu ludzi, tysiące fotografujących. W naszej biebrzańskiej toni mogę poczuć

się kimś wyjątkowym. Tutaj też zaczynasz rozumieć ten świat podwodnych zależności. To są wyjątkowe odkrycia". (...)

W Biebrzy potrafił spędzać po sześć, osiem godzin dziennie. Brał kajak i płynął od mostu w Osowcu. „Dawniej można było pływać motorówkami i dla nurka bywało niebezpiecznie. Jak przejeżdżała mi taka łódź motorowa po butlach z powietrzem, kiedy byłem pod wodą, to mogło się skończyć tragicznie. Niebezpiecznie bywało też po wynurzeniu, bo myśliwy mógł pomylić człowieka ze zwierzęciem”.

Nurkowanie dostarczało też emocji z innego powodu. Na zlecenie prokuratury i śledczych Mirek z powodzeniem szukał wrzucanych do rzeki przedmiotów pochodzących z przestępstw. Raz w czasie takiego nurkowania odnaleziono skradzione rozprute kasety i broń.

Kobeszko przyznaje, że nurkowanie staje się coraz trudniejsze. „Kiedyś wystarczyło zgłosić sam zamiar straży parku i można było iść do rzeki. Teraz muszę za każdym razem wystąpić o zgodę parku i czekać dwa tygodnie na odpowiedź. A przecież pogoda i warunki w rzece mogą się zmienić z dnia na dzień i nie będzie sensu nurkować. To samo z filmowaniem i fotografią, bo dużo moich podwodnych eskapad dokumentuję”.

Odkąd Kobeszko zaczął nurkować, spotykał pod wodą sumy. „Strzelaliśmy wtedy do tych ryb z kuszy – oznajmia i zdejmuję z szafki sprężarowane pyski sumów. – Ten tutaj – pokazuje – ważył 52 kg. Znaleźliśmy go przywiązane do ręki nurka, którego utopił. Ten nurek polował z kuszą. Przestrzelił rybę, ale sum pociągnął go w wodę, kusza się zaczęła i polujący nie mógł się uwolnić. Chciał zabić rybę i to go zabiło. Kiedy znalazłem ciało topielca, sum jeszcze żył. Dostrzeliłem tego suma”.

Mirek często wylawiał z wody zwłoki. Kiedyś w służbach publicznych nie było specjalistów ani grup ratowniczych, dlatego Kobeszko był proszony o pomoc w znalezieniu topielców. Białostocka grupa płetwonurków, do której należał, wyciągnęła ponad 50 ciał. Ludzie topili się najczęściej pod wpływem

alkoholu. „W miejscach, gdzie znalazłem utopionych ludzi, ich rodziny stawiały krzyżyki – mówi mi Kobeszko. – Jeden z nich stanął w uroczysku Pale”. To w tym miejscu nurkuje do dziś. Robi to po to, aby obserwować zmiany zachodzące w rzece.

„Mało zmian jest wciąż pod starym mostem w Osowcu – wyjaśnia. – Tam w izbicach zawsze stoją ryby. Bywało, że w uroczysku Pale było do 11 m głębokości. Teraz jest z 4,5 m. Palisady mające chronić most położyły się zupełnie, nurt również rozmył ogromne obrywy torowe”.

Spośród ryb Kobeszko najczęściej wymienia sumy. Wspomina, że kiedy jako dziecko płynął z dziadkiem łódką, zobaczył potężne cielska tych ryb. Później już takich okazów nie widział. Mirek zaznacza, że swoje opowieści spisuje. Dzieli się ze mną jedną z nich i, jak można się domyślić, jej bohaterem jest sum. Mirek pisze o miejscu w rzece, gdzie wpadła

ryby, które jeszcze były w stanie przetrwać w tych trudnych warunkach. Mimo niesprzyjających warunków Kobeszko wciąż wracał do Przechowalni. Trzech sumów chroniących się razem już nie widywał.

W 2004 r., kiedy nurek znów zajrzał do Przechowalni, był w niej już tylko jeden sum, ostatni z obserwowanej w tym miejscu trójki ryb, który miał wtedy 2 m długości. Został przez Mirka sfilmowany. Moj rozmówca pisze w swoim opowiadaniu: „Przynajmniej raz w tygodniu nurkowałem tam i doszedłem do takiej z nim konfidencji, że mogłem przepływać nad nim i obok niego bez widocznych obaw niepokoju”. Kobeszko zauważył, że trzeci sum ma wyraźne jasne znamię na prawym boku, przy części ogonowej. W ten sposób rozpoznawał rybę, którą obserwował od dłuższego czasu. „To znamię nie pozwoliło już go pomylić z żadnym innym”, wspomina.

Ciekawą porą na oglądanie ryb jest noc. To wtedy można dokonać wyjątkowych obserwacji.

wierzba ścięta przez bobry. Zwłoka na kłoda sprzyjała wyłobieniu dołu w dzień. Po raz pierwszy Kobeszko zajrzał w to miejsce w 1992 r. Znalazł w nim trzy sumy. Każdy z nich miał ponad metr długości.

Po kilku miesiącach, we wrześniu, wrócił tam i spotkał te same ryby. Wcześniej myślał, że się rozptynał – każdy sum w swoją stronę. A one tam były, chroniły się przed słońcem pod pnem wierzb. „Konary powalonej wierzb się odłamywały – opisuje Kobeszko – a sumy przesuwają się za cieniem, moszcząc sobie legowisko pod podmywanym przez wodę brzegiem”. Mirek nazwał to miejsce Przechowalnią.

Dwa lata później dowiedział się o wędkarzu, który przez trzy godziny wyciągał w tym miejscu suma. Gdy tam przyjechał, okazało się, że pod wodą nie ma już trzech ryb, tylko dwie – w tym jeden z sumów był wyraźnie jaśniejszy. Potem przyszła niżówka, wody w rzece było tak mało, że dziki żerowały w wysychających dołkach, wyjadając ostatnie żyjące

Rok później ponownie wypatrzył pod wodą znajomego suma. Ryba straciła prawy wąs, a w wargę miała wbity błysk wachadłową. Przez kolejne lata wsłuchiwał się w wędkarskie opowieści o wielkich sumach, które wylawiano z Biebrzy. Podobno ogromny sum był tam widywany wiele razy. „Może to ten z mojej Przechowalni?”, zastanawia się Mirek.

Kobeszko nie można odmówić znajomości podwodnego świata. Twierdzi, że wielu naukowców, którzy mówią, co ma się dziać z Biebrzą i jak ją chronić, nie ma pojęcia o tym, co się kryje w wodach rzeki. Dlatego nie zawsze się zgadza z głoszonymi przez badaczy tezami. Radzi im: „Wejdźcie pod wodę i zobaczcie sami”. Jego zdaniem wciąż za mało osób zdaje sobie sprawę z tego, jak rzeka się zmienia i jakie są jej potrzeby.

„Znam ichtiologów i naukowców innych specjalności wodnych, którzy twierdzą, że bez nurkowania wiedza, którą dysponują, jest niepełna. Wielu z nich, często pod wpływem mojej sugestii, już nurkuje”.

► Zdaniem Mirka ciekawą porą na oglądanie ryb jest noc. To wtedy można dokonać wyjątkowych obserwacji. Światło latarki, której używa po zachodzie słońca, nie płoszy ryb. Niektóre z nich wręcz przyciąga, na przykład sandacze. Z kolei sumy usuwają się w bok, bo nie lubią być oświetlane, a jeśli nie świeci się im w oczy, nie poruszają się wcale.

Sumy lubią przebywać nocą na płyciznach, gdzie pojawiają się raki i piskorze. Kobeszko obserwował te polowania w czasie nurkowania. „Sum jest jak odkurzacz: po drodze zasysa wszystko – wyjaśnia. – Ma szeroki pysk, a jak do niego coś wpadnie, to już się z niego nie wydostanie”.

Za mało osób zdaje sobie sprawę z tego, jak się zmienia Biebrza i jakie są jej potrzeby.

Widował też kozy, które na widok światła latarki zakopywały się w dnie, tworząc charakterystyczny kopczyk. „Jest to ryba, która praktycznie wciąż żeruje, wchłaniając piasek z dna, z którego wyciąga pokarm. Tam, gdzie żeruje, jest czystsze dno. Dlatego nazywa się ją rzeczonym sprzątaczem. A jak jest koza, to będą i inne ryby, które takie czyste dno lubią”.

Kobeszko zwraca uwagę na fakt, że ryby w Biebrzy miały różne problemy. Mleczarnie i inne zakłady przemysłowe z miejscowości położonych wzdłuż rzeki spuszczały swoje nieoczyszczone ścieki do wody i bywało, że ryby płynęły do góry brzuchem. (...)

Zdaniem mojego rozmówcy dziś najwięcej ryb można znaleźć w okolicach Olszowej Drogi. Tam rzeka ciekawie meandruje, jest dużo starorzeczy. Ale to i tak nie tyle ryb, co kiedyś. Dawniej, twierdzi Kobeszko, każdy mógł się wyżywić. Złapane płocie solono i wrzucano do beczki. „Jazi było pełno – dodaje Mirek. – Zdarzało się, że szły na tarło falangy. Wyglądało to tak, jakby konie cwałowały. Dziś jazi nie ma. Nie ma świnki. Od 40 lat nie widziałem brzozy”.

Nie ma też zawodowych rybaków. Kiedyś było ich na Biebrzy ośmiu – łowili ryby, czyścili starorzecz. Bywało też tak, że gdy przyszedł rok,

kiedy obowiązywał zakaz łowienia w akwenach zamkniętych i starorzeczach, niektórzy z nich na własną rękę przekopywali kanał do rzeki. Jeśli w następnym roku zakaz już nie obowiązywał, to zasypywali dopływ. Byli też kłusownicy, ale ryb nie brakowało.

Pytam Mirka, czy kłusownictwo nadal istnieje. W odpowiedzi słyszę, że tego kłusownictwa co kiedyś już nie ma. Skala jest mniejsza. „Ale są tacy, którzy zaczęli z prądem przyjeżdżać i tłuc ryby. Wtedy szkodzą wszystkim rybom. To już nie jest kłusownictwo, tylko pazernictwo! A kary dla takich nie ma odpowiedniej. Recydywa, wielokrotnie złapany i dalej kłusuje w ten sposób”.

Dziś największą rybą w rzece wciąż jest ulubiony przez Mirka sum. Kiedy w 1986 r. Kobeszko nurkował w Biebrzy na odcinku od mostu w Osowcu po ujście Wisły, razem z innymi nurkami naliczył 200 sumów. Były wśród nich okazy po 2 m. „Ile tych sumów teraz jest w rzece, to nie wiem, czy ktoś liczył”, zastanawia się Kobeszko. Dodaje, że zmienia się nie tylko świat ryb, lecz także wędkarzy.

„Kiedyś nie zostawiali tylu śmieci. Wszystko się przydawało. Wędkarz miał stoik z dziurkami w pokrywie i tam trzymał robaki, a w termosie pęczak. Teraz przywożą ze sobą dużo plastikowych opakowań i śmieć”.

Za to, że w rzece nie ma ryb, Kobeszko oskarża bobry. Nowe zasady dotyczące ich ochrony szybko zmieniły Biebrzę. Jego zdaniem nie ma już nad rzeką krzaków i drzew, które zacieniały wodę. Biebrza była obustronnie porośnięta krzewiną, jak nazywali nadrzeczne zarośla ludzie mieszkający w dolinie. Dawata schronienie rybom. Płatania korzeni wzmacniała brzegi rzeki. „Bóbr krzewinie zaskodził. Rzeka się wypłyca – wyrokuje mój rozmówca. – To, co było ponad wodą, wycięły bobry, a to, co pod wodą, zanikło, osłabiając torfowy, więc plastyczny brzeg.

Nurt ma tendencje prostujące. Pozbawia rzekę meandrów, które poza urodą miały ogromne znaczenie dla rzeczno-ekosystemu Biebrzy. To siedliska ryb i wielu innych rzecznych organizmów”.

Chociaż Mirosław Kobeszko nie czuje sympatii do bobrów, to nie kryje emocji, które towarzyszyły jego spotkaniu z innym ssakiem – wydrą. Opowiada mi o tym wydarzeniu: „Kiedyś w czasie nurkowania poczułem ruch wody za moimi plecami. Obserwowałem sumę. Zainteresowałem się tym ruchem i wysunąłem głowę nad wodę. Nic nie było widać poza rybitwami i parą bielików. Przez chwilę pomyślałem, że to koledzy chcieli mi zrobić psikusa i przepłynęli nade mną łodzią. Zanurzyłem się ponownie i zobaczyłem w wodzie brunatny tuman. Nie było już sumy, tylko ten mętny obłok. Podpłynąłem bliżej. Sum wił się, a targał nim napastnik, czterokrotnie mniejszy od upolowanej przez siebie ryby. Ruszyłem za nimi. Teraz byłem już pewny, że to wydra, bo jej futro, na powierzchni brunatne, robi się pod wodą srebrzyste, ponieważ nie zwilża się i utrzymuje powietrze. Nie puszczając sumy i ciągnąc go w stronę brzegu. W końcu mnie dostrzegła. Nie wiedziałem, jak się zachowa. Już kiedyś byłem świadkiem sytuacji, w której wydra osaczona przez psy położyła się na grzbiecie i trzymając w pogotowiu łapy z pazurami, przysglądała się swoim prześladowcom. Psy straciły ochotę na jej nękanie. Ja też nie wiedziałem, jak się zachowa. Tymczasem wydra przeskoczyła przez sumę, minęła mnie i czmychnęła do wody. Wyszedłem na brzeg w miejscu, gdzie leżała upolowana przez nią ryba. To była typowa plaża, gdzie wydra wyciągała swoje ofiary. Wokół były jej odchody. Sum leżał z rybimi pijawkami na pysku. Wciąż biło mu serce”.

•
Mirosław Kobeszko zmarł
28 kwietnia 2023 r.



Fragmenty książki Pawła Średzińskiego, *Rzeki. Opowieści z Mezopotamii, krainy między Biebrzą i Narwią leżącej...* Państwowy Buriat, Kielce 2023

Ludzie są zwierzętami, wywodzącymi się od niezliczonych pokoleń innych zwierząt. Każdemu z naszych przodków udało się mieć przynajmniej jednego potomka, który również miał potomka i tak dalej. Nasz rodowód sięga miliardów lat wstecz i przez cały ten okres największym sukcesem – a może nawet jedynym – było preferencyjne przekazywanie swoich genów kolejnemu pokoleniu.

Mózgi były przydatne tylko wówczas, gdy zwiększały szanse przetrwania i rozmnażania zwierzęcia. Pierwsze układy nerwowe były proste i kontrolowały wyłącznie odruchy bezwarunkowe i czynności życiowe; ich budowa i funkcja były w pełni ukształtowane przez geny. Na przestrzeni czasu wbudowane funkcje zaczęły obejmować te, które doceniamy dzisiaj, takie jak zajmowanie się potomstwem czy współpraca społeczna. Pojawiły się jednak również zachowania, których tak bardzo już nie aprobujemy, czyli walka o terytorium, o prawa godowe, wymuszona kopulacja czy kradzież zasobów.

Wszystkie przyrodzone zachowania, niezależnie czy pożądane, czy nie, rozpoczęły się, ponieważ były odpowiednimi adaptacjami. Starsze części naszego mózgu nadal skrywają te prymitywne zachowania i wszyscy żyjemy z takim dziedzictwem. Oczywiście każdy z nas w innym stopniu przejawia te zachowania starego mózgu, a nasza bardziej logiczna kora nowa w innym stopniu jest w stanie je kontrolować. Niektóre z tych mutacji uważa się za genetyczne, lecz nie wiadomo, jak duża ich część ma charakter kulturowy.

Zatem mimo że jesteśmy inteligentni, nasz stary mózg nadal nam towarzyszy i wciąż działa zgodnie z zasadami wyznaczonymi przez miliony lat starań o przetrwanie. Ciągłe walczymy o terytorium, prawa godowe, ciągle kłamiemy, gwałcimy i oszukujemy innych ludzi. Nie każdy to robi i uczymy nasze dzieci takich zachowań, które chcemy, żeby przejawiały, ale szybkie spojrzenie na codzienne wiadomości potwierdzi, że jako gatunek – na przestrzeni kultur



Zagrożenia starego mózgu

Starsze części naszego mózgu nadal skrywają prymitywne zachowania i wszyscy żyjemy z takim dziedzictwem

i w każdej społeczności – nie pozbyliśmy się jeszcze tych bardziej prymitywnych zachowań. I raz jeszcze, kiedy opisuję jakieś zachowanie jako mniej pożądane, jest to perspektywa indywidualna lub społeczna; z punktu widzenia genów wszystkie te zachowania są użyteczne.

Sam w sobie stary mózg nie przejawia zagrożenia egzystencjalnego. Jego zachowania są przecież odpowiednimi adaptacjami. Jeśli w walce o terytorium jedno plemię zabiło w przeszłości wszystkich członków innego plemienia, nie stanowiło to zagrożenia dla całej ludzkości. Byli przegrani i wygrani, a działania grupy ludzi ograniczono do części globu i części ludzkości. Dziś stary mózg stanowi egzystencjalne ryzyko, gdyż nasza kora nowa stworzyła

technologie, które mogą przekształcić lub nawet zniszczyć całą planetę. Krótkowzroczne działania starego mózgu połączone z nowoczesnymi technologiami kory nowej stały się dla ludzkości egzystencjalnym zagrożeniem. Sprawdźmy, jak sytuacja ta wygląda dzisiaj z perspektywy zmiany klimatu i jednego z jej źródeł, czyli wzrostu populacji.

Wzrost populacji i zmiana klimatu

Spowodowana przez ludzi zmiana klimatu wywołana jest dwoma czynnikami: jednym jest liczba ludzi żyjących na Ziemi, a drugim zanieczyszczenia tworzone przez każdą osobę. W obu przypadkach skala ciągle się powiększa. Przyjrzyjmy się kwestii wzrostu populacji. ▶

► W latach 60. naszą planetę zamieszkiwało ok. 3 mld ludzi. To właśnie z tej dekady pochodzą moje najwcześniejsze wspomnienia i nie przypominam sobie, żeby ktoś sugerował, że ówczesne problemy mogą być rozwiązane podwojeniem populacji. Dziś jest nas już niemal 8 mld i liczba ta wciąż rośnie.

Prosta logika podpowiada, że Ziemia nie doświadczałaby tylu problemów wywołanych przez ludzi, jeżeli tylko byłoby ich mniej. Przykładowo, jeśli byłoby ich 2 mld, a nie 8,

lepiej byłoby, gdyby ludzi było mniej. Jakie są źródła tego procesu? Odpowiedź może być oczywista, ale warto dokładniej to przeanalizować.

Życie opiera się na bardzo prostej idei: geny wykonują możliwie najwięcej swoich kopii. Zwierzęta mają więc jak najwięcej potomstwa, a gatunki starają się opanować jak największe obszary terenów. Mózgi rozwinęły się tak, aby sterować najbardziej podstawowymi aspektami życia, i pomagają genom wykonywać więcej swoich kopii.

powodują, że mamy jak najwięcej dzieci, odnoszą większy sukces, nawet jeżeli prowadzi to do śmierci i nieszczęścia.

W podobny sposób z perspektywy genów najlepiej jest, jeżeli zwierzęta próbują żyć w nowych miejscach, nawet jeżeli próby te często kończą się niepowodzeniem. Przypuśćmy, że ludzkie plemię rozdzieliła się i osiedla na czterech nowych terenach, ale tylko jedna z tych grup przeżywa, a inne ostatecznie wymierają. Dla jednostek jest to nieszczęście, ale dla genów sukces, ponieważ zajmują one teraz dwa razy więcej terenu niż poprzednio. Geny niczego nie rozumieją. Ich rola nie sprawia im radości i nie odczuwają cierpienia, kiedy nie udaje im się mnożyć. Są po prostu złożonymi cząsteczkami, które mają zdolność do powielania się.

Z drugiej strony kora nowa ma szerszą perspektywę. W przeciwieństwie do starego mózgu, który ma wbudowane cele i zachowania, kora nowa uczy się modelu świata i może przewidywać konsekwencje niekontrolowanego wzrostu populacji. Możemy zatem również przewidzieć nieszczęścia i cierpienie, które nas czekają, jeśli pozwolimy na to, aby liczba ludzi na Ziemi nadal rosła. Dlaczego zatem wspólnie nie pracujemy nad zmniejszeniem populacji? Ponieważ stary mózg nadal ma nad nami kontrolę.

Weźmy przykład kuszącego kawałka ciasta. Nasza kora nowa może wiedzieć, że jedzenie ciasta nie jest dla nas dobre, może prowadzić do otyłości, chorób i przedwczesnej śmierci. Być może nawet wyjdziemy rano z domu z postanowieniem, że będziemy się zdrowo odżywiać. Jednak kiedy zobaczymy i powąchamy kawałek ciasta, często i tak je zjemy. Odpowiada za to stary mózg, który rozwinął się wtedy, kiedy niezbędne kalorie były trudno dostępne. Stary mózg nie zdaje sobie sprawy z przyszłych konsekwencji. Walkę pomiędzy mózgiem starym a korą nową wygrywa zwykle stary mózg. A my zjadamy ciasto.

Ze względu na to, że mamy trudności z kontrolowaniem jedzenia, robimy, co możemy. Wykorzystujemy

W walce między mózgiem starym a korą nową stary mózg niemal zawsze wygrywa.

wówczas być może ziemski ekosystem mógłby poradzić sobie z naszymi działaniami bez szybkich i radykalnych zmian. Nawet jeżeli Ziemia nie mogłaby poradzić sobie z obecnością 2 mld ludzi, mielibyśmy więcej czasu na przystosowanie naszych działań tak, aby żyć w sposób nienaruszający równowagi ekologicznej.

Dlaczego zatem populacja Ziemi wzrosła z 3 mld w 1960 r. do 8 mld obecnie? Dlaczego liczba ta nie stanęła na 3 mld lub nie spadła do 2 mld? Niemal każdy zgodziłby się, że z perspektywy naszej planety

Jednak to, co jest dobre dla genów, nie zawsze jest dobre dla jednostek. Przykładowo z punktu widzenia genów nie ma problemu, jeżeli ludzka rodzina ma więcej dzieci, niż może wykarcić; w niektórych latach dzieci mogą umrzeć z głodu, ale w innych nie. Z takiej perspektywy lepiej jest czasem mieć zbyt wiele dzieci niż zbyt mało. Niektóre dzieci będą bardzo cierpiały, a rodzice będą trudzić się i przeżywać żałobę, ale geny nie są tym zainteresowane. My jako jednostki istniejemy, aby służyć potrzebom genów. Geny, które



naszą inteligencję do łagodzenia szkód. Tworzymy medyczne rozwiązania, takie jak leki i operacje, organizujemy konferencje o epidemii otyłości i kampanie mające na celu wyjaśnienie ludziom ryzyka złego odżywiania. Mimo że z logicznego punktu widzenia najlepiej byłoby po prostu jeść zdrowiej, fundamentalny problem pozostaje. Sięgamy po ciasto.

Coś analogicznego dzieje się z populacją. Wiemy, że w pewnym momencie będziemy musieli zatrzymać jej wzrost – jest to prosta logika, populacje nie mogą rosnać w nieskończoność, a wielu ekologów uważa, że nasza populacja już jest niestabilna. Jednak trudno nam ją kontrolować, gdyż stary mózg chce mieć dzieci, więc wykorzystujemy naszą inteligencję, aby znacząco doskonalić rolnictwo, hodować nowe zboża i unowocześniać metody zwiększania produkcji. Opracowaliśmy nawet technologie pozwalające nam wysyłać jedzenie do każdego miejsca na świecie. Dzięki naszej inteligencji osiągnęliśmy coś niezwykłego: ograniczyliśmy głód w czasie, gdy liczba ludzi na Ziemi niemal się potroiła. Jednak nie może to trwać wiecznie. Albo wzrost naszej populacji się zatrzyma, albo w pewnym momencie w przyszłości ludzie będą masowo cierpieć. Jest to pewne.

Z perspektywy genów najlepiej, jeżeli zwierzęta próbują żyć w nowych miejscach, nawet jeżeli próby te kończą się niepowodzeniem.

Oczywiście sytuacja ta nie jest aż tak czarno-biała, jak ją pokazałem. Niektórzy ludzie logicznie decydują, aby mieć mniej dzieci lub nie mieć ich w ogóle, niektórzy nie są na tyle wykształceni, aby rozumieć długoterminowe konsekwencje swoich działań, a wielu jest tak biednych, że dzieci muszą pomagać w ich przetrwaniu. Problemy związane ze wzrostem populacji są złożone, ale jeśli zrobimy krok do tyłu i spojrzymy na nie z szerszej perspektywy, zrozumiemy, że ludzie widzą to zagrożenie już od co najmniej 50 lat, a w tym czasie populacja wzrosła

niemal trzykrotnie. Źródłem tego zjawiska są struktury starego mózgu oraz działające na ich usługach geny. Na szczęście istnieją sposoby, dzięki którym kora nowa może tę walkę wygrać.

Jak kora nowa może przechrzyć stary mózg

Przeludnienie to trochę dziwna kwestia: idea mniejszej ludzkiej populacji nie budzi kontrowersji, ale rozmawianie o tym, jak możemy

Populacje nie mogą rosnać w nieskończoność, a wielu ekologów uważa, że nasza populacja już jest niestabilna.

ją osiągnąć, jest społecznie i politycznie nieakceptowalne. Być może przypominamy sobie wówczas ostro potępianą politykę jednego dziecka w Chinach lub utożsamiamy zmniejszanie liczby ludzi z ludobójstwem, eugeniką czy pogromami – celowe działania zmierzające do zmniejszania populacji są rzadko omawiane. Ponadto kiedy populacja danego kraju się zmniejsza, tak jak obecnie w Japonii, uważa się to za kryzys ekonomiczny. Rzadko się słyszy, aby zmniejszająca się populacja Japonii stanowiła przykład dla reszty świata.

Mamy szczęście, że dysponujemy prostym i sprytnym rozwiązaniem problemu przeludnienia – rozwiązaniem, które nikogo do niczego nie zmusza, które z pewnością zmniejszy naszą populację do wielkości nienaruszającej równowagi ekologicznej i które również przyczyni się do wzrostu zadowolenia i dobrostanu ludzi. Jest to jednak rozwiązanie, któremu wielu ludzi i tak się sprzeciwia. Rozwiązanie to polega na zadbanie, żeby każda kobieta miała możliwość kontrolowania swojej płodności i mogła z niej dowolnie korzystać.

Nazwałem tę metodę sprytną, ponieważ w walce między mózgiem starym a korą nową stary mózg niemal zawsze wygrywa. Opracowanie antykoncepcji pokazuje, jak kora nowa może wykorzystywać swoją inteligencję, aby zyskać przewagę.

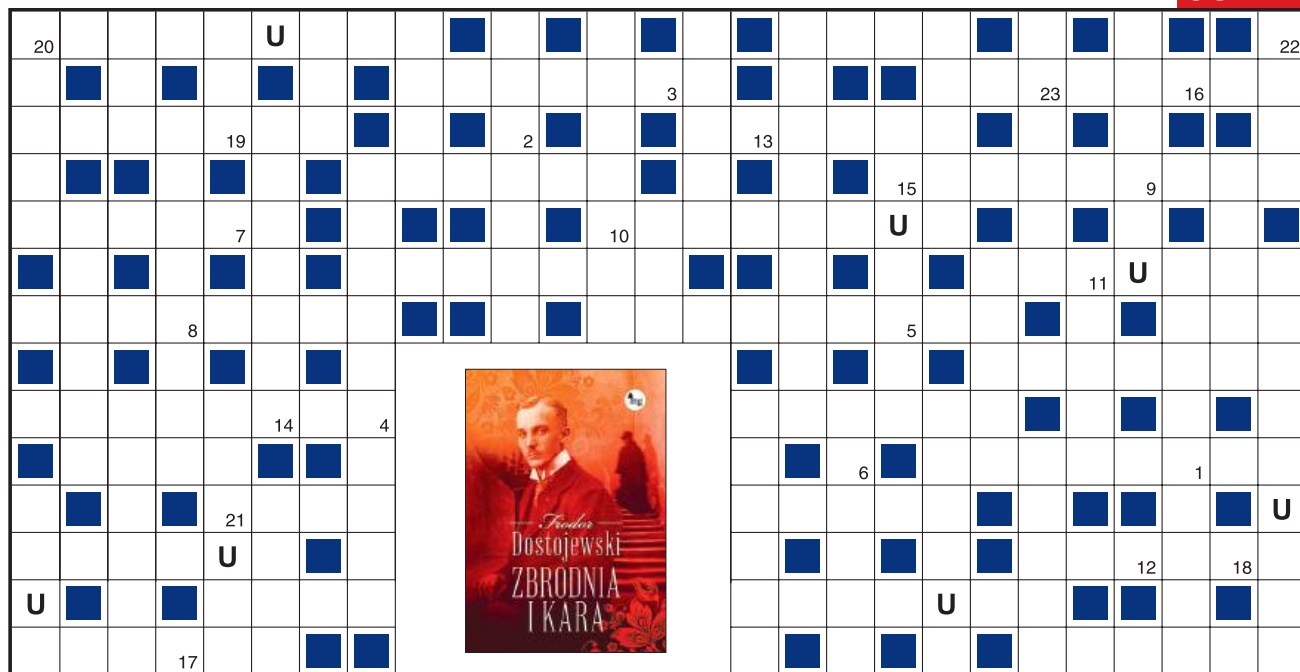
Geny najlepiej rozprzestrzeniają się, kiedy mamy jak najwięcej potomstwa. Popęd seksualny jest mechanizmem opracowanym przez ewolucję, by służyć interesom genów. Nawet jeśli nie chcemy mieć

już więcej dzieci, trudno jest zaprzestać współżycia, więc wykorzystując naszą inteligencję, wynaleźliśmy metody antykoncepcji, które pozwalają staremu mózgowi na seks bez zwiększania populacji. Nasza kora nowa wraz ze swoim modelem świata potrafi dostrzec wady posiadania zbyt wielu dzieci i zalety odraczania zakładania rodziny. Zatem zamiast prowadzić walki z starym mózgiem, kora nowa pozwala mu realizować swoje popędy, ale zapobiega niepożądanym skutkom.

Dlaczego zatem umacnianie roli kobiet nadal spotyka się z takim oporem? Dlaczego wiele osób sprzeciwia się równemu wynagrodzeniu, uniwersalnej opiece nad dziećmi oraz planowaniu rodziny? I dlaczego kobiety nadal nie są dostatecznie reprezentowane na wysokich stanowiskach? W niemal każdym obiektywnym wymiarze równe traktowanie kobiet doprowadzi do bardziej zrównoważonego świata, w którym będzie mniej cierpienia. Walka z taką perspektywą wydaje się nieproduktywna i możemy winić za nią stary mózg i wirusowe fałszywe przekonania.

Fragmenty książki Jeffa Hawkinsa *Tysiąc mózgów w Twojej głowie. Nowa teoria inteligencji*, przeł. Aleksandra Ożarowska, Znak Horyzont, Kraków 2023





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery U ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- Szanowny Pan na kopercie
- niektóre sztuki długo zeń nie schodzą
- substancja żelująca z wodorostów
- anglosaska miara powierzchni
- tętnice lub ważne drogi
- tekścik w czasopiśmie

- chroni grzbiet konia przed otarciami
- wysłany na zjazd
- cenna opaska na głowę
- obrotowe – bez klamek
- osobliwość, coś zdumiewającego
- nie... że pada, wszak jesień

- o farbie do malowania ścian
- lina do stawiania najważniejszego żagla
- zagonki, rabaty
- imię naszej tenisistki nr 1
- ...Poznański, łódzki przemysłowiec
- i tułów, i korpus maszyny
- wyściełany, kilkuosobowy mebel
- żałobna czerń
- zbiór praw
- na dyrektora lub piękności
- czarny, rybożerny ptak mazurski
- chodzi koło drogi w rymowance
- między kolanem a stopą
- odtwarzacz kaset wideo
- ścienne lub bohomaż

- modlił się do niego Winnetou
- pitny trójniak
- wielka liczba, chmara
- kieruje zwierzyńcą na myśliwych
- świecący Filipek lub siatkarka
- fałsz, niezgodność z rzeczywistością
- krótko o instytucji Mariana Banasia
- zielona na mapie
- prawe ujęciowe ramię Wisły
- szpilka pod piętą
- niania, babysitterka
- ...w bawelnę – mówienie nie wprost
- podpuszczenie, namowa
- temperatury – termometrem
- podoficer pilnujący więźniów wojskowych
- niegdyś spryt, dziś dział produkcji

- płatany przez dowcipnisia
- pobratymiec, krajan
- budowla na planie koła
- ...złego na jednego
- opiekuje się wspólną kasą
- punkt pełen makulatury
- narciarski lub zbiór z pola
- ciąg, układ w jednej linii
- choroba dawnych marynarzy
- dawna duża moneta srebrna
- pod szynami
- zatopienie się w myślach
- bandzior, oprych
- można się na nie ostrzyć
- z koniecznym trzeba się pogodzić
- połamana linia
- fordanser, utrzymamek

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1144”. Do rozlosowania książki „Zbrodnia i kara” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 listopada 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1141” z nr. 44: *Lada kropla kielich przeleje.*
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Jerzy Cwiąg z Krakowa, Stanisław Majda z Bydgoszczy.

Jak wyżyć z MSZ

MSZ jest takim ministerstwem, że można tu się wkleić i funkcjonować de facto tak długo, jak się chce. Przykładów wiecznych karier jest całkiem sporo. Co ciekawe, dotyczą one tych osób, które w latach 80. otarły się o opozycję demokratyczną, o NZS, ruch Wolność i Pokój, podziemne wydawnictwa, a później, już w III RP, potrafiły spożytkować działalność z młodości. Zupełnie jak ich trochę starsi koledzy z ZSP.

Przypadek?

Gdy zdymisjonowany został Piotr Wawrzyk, na jego miejsce powołano Jarosława Lindenbergę, rocznik 1956, czyli emeryta. Pisaliśmy już o nim – w latach 80. działał w opozycji, był internowany, po wyjściu na wolność redagował satyryczne pismo „Jaruzela”, a wspólnie z Jackiem Czaputowiczem wydawał pismo „Czas Przyszły”. Na początku lat 90. został zastępcą dyrektora gabinetu ministra Krzysztofa Skubiszewskiego. I poszło. Był ambasadorem czterokrotnie – na Łotwie, w Bułgarii, Czarnogórze oraz w Bośni i Hercegowinie. Czyli na placówkach niewielkich, wobec których niewielkie są też oczekiwania.

Przebywał zatem więcej za granicą niż w kraju. Ale nie narzekajmy, bo przynajmniej wypracował sobie pozycję specjalisty od Bałkanów.

Z drugiej strony wspomniany Jacek Czaputowicz, przerzucany w MSZ z departamentu na zagraniczny staż itd., wypracował sobie pozycję specjalisty od wszystkiego.

Ciekawsza jest droga innego emeryta, Witolda Spirydowicza. On zaczął jako działacz NZS na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1990 na apel Skubiszewskiego – taka jest wersja oficjalna – zgłosił się do MSZ. Najpierw krótko pracował jako

naczelnik w wydziale konsularnym, a potem wyjechał do Wiednia na stanowisko I sekretarza (ambasadorem był Władysław Bartoszewski). Z Wiednia przeniesiono go do Bonn, potem, w latach 2000-2004, był konsulem generalnym w Montrealu. Po powrocie z Kanady pełnił różne funkcje w centrali, a w roku 2010 wyjechał na urząd ambasadora do Maroka. Gorąco rekomendował jego kandydaturę minister Radosław Sikorski. Wrócił z Rabatu i zobaczyliśmy go u boku Andrzeja Dudy, który powołał go do Narodowej Rady Rozwoju. Dlatego nie ma co się dziwić, że w roku 2016 wyjechał na kolejną placówkę – do Algierii. Jego kandydaturę minister Witold Waszczykowski przedstawiał pośtom tego samego dnia, co kandydaturę Andrzeja Przyłębskiego na ambasadora w Berlinie.

Czegóż Spirydowicz wtedy nie naobiecywał! Zapowiadał „pełne wykorzystanie struktur ambasady” na rzecz rozwoju polsko-algierskiej współpracy gospodarczej. Mieliśmy eksportować produkty rolno-spożywcze. I kupować gaz! Rozwijać handel specjalny (czyli sprzedawać broń) i turystykę!

Tyle naopowiadał, po czym wyjechał, siedem lat nie było o nim ani widu, ani słychu. Nawet w MSZ o nim zapomnieli.

W marcu 2023 r., po siedmiu (!) latach, wrócił do kraju i natychmiast został dyrektorem... Departamentu Polityki Europejskiej.

Jakim cudem takie stanowisko mu powierzono, skoro od roku 2010, z krótką przerwą, przebywał w Maroku i Algierii? Czyżby minister Rau uznał, że jak ktoś był w NZS, to zna się na wszystkim? Niech to pozostanie jego tajemnicą.

Attaché

Modlitwa przy Ścianie
Płaczu na Starym
Mieście w Jerozolimie.
12 listopada 2023 r.





PENETRACJE

MONDE
diplomatique

BENOÎT BRÉVILLE,
PREZES ZARZĄDU

W widzianej z Afryki polityce europejskiej rzuca się w oczy jej hipokryzja. Biura informacyjne organizują emigrację pracowników, aby podobać niedoborowi siły roboczej i starzeniu się ludności w Europie. Francja sprowadza lekarzy senegalskich. Włochy apelują do algierskich i irańskich pracowników budowlanych. Hiszpania wykorzystuje w rolnictwie i turystyce marokańskich pracowników sezonowych. Niemcy ogłosiły ostatnio otwarcie pięciu ośrodków rekrutacji wysoko wykwalifikowanych pracowników w Ghanie, Maroku, Tunezji, Egipcie i Nigerii. Po przybyciu na Lampedusę zastają zamknięte drzwi.

PANI KRZYSZTOF GŁUCHOWSKI,
DYREKTOR TEATRU IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO
W KRAKOWIE

Jesteśmy tak skonstruowani, że stanowimy swoje przeciwnieństwo. Ja jestem introwertykiem, a moja żona Iwona Budner typem Włoszki pod każdym względem, również urody. Ja milczę, ona mówi. Mieliliśmy mnóstwo podbramkowych sytuacji, ale wyjście jest dość proste. Zawsze to jest moja wina. Żona jest idealna. W związku z tak wyjątkową kobietą, tak mądrą i piękną, nic nigdy nie może być jej winą. Tak jak nigdy nie jest winą Matki Boskiej, że coś robimy źle. Tylko ja popełniam błędy i potem czekam na wybaczenie. Nie umiem kłamać, nigdy nie kłamię w dużych sprawach, a oszukuję tylko w drobiazgach. (...) My siebie nawzajem potrzebujemy. Nie wyobrażam sobie życia bez Iwony. Bez niej wszystko, co robię, byłoby pozbawione sensu.

VIVA!

KATARZYNA KASIA,
FILOZOFKA

Uważam się za szczęściarę, bo robię rzeczy, które bardzo lubię. Uwielbiam moje zajęcia ze studentami na ASP i w Akademii Teatralnej. Spotykam wyjątkowych młodych ludzi, którzy mają energię, wrażliwość, dobrze rozumiane szaleństwo. Lubię pracę w Radiu Nowy Świat, w „Szkole kontaktowym”. I to jest dla mnie bardzo ważne, że to, co mówię, piszę, może się komuś przydać.

THE STYLE

BEATA ŚCIBAKÓWNA,
AKTORKA

Zdejmuję mężowi codzienność z barków. Jak to Jan ujmuje, jestem ministrem zdrowia, ekonomii, finansów, budownictwa, turystyki i gospodarki w naszym domu. Takie combo! Brzmi zabawnie, ale nie jest łatwe. Jan ma swój artystyczno-dyrektorski świat, który go pochłania, więc do pewnych rzeczy nie ma głowy. Inna sprawa, że jest minimalistą i niewiele mu potrzeba do życia. Może więc zabiegam o komfort dnia codziennego bardziej dla siebie niż dla niego? Mąż od zawsze był w jakiejś istotnej roli – aktora, reżysera, dziekana, rektora, dyrektora. Zmagania z przyziemną rzeczywistością nie mieściły się w żadnej z nich. I tak zostało. A ja lubię mieć wszystko pod kontrolą, na wszystko mieć wpływ.

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z sześciu liter

1

B	A	K
---	---	---

+

T	A	R
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--

2

W	E	K
---	---	---

+

P	I	N
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--

Wyrazy z siedmiu liter

3

C	Z	A	S
---	---	---	---

+

P	A	W
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--

4

S	I	T	O
---	---	---	---

+

J	E	R
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--

Wyrazy z ośmiu liter

5

N	O	G	A
---	---	---	---

+

D	I	A	Z
---	---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--	--

6

C	I	E	K
---	---	---	---

+

M	O	W	A
---	---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--	--

ROZWIĄZANIA: TRĄBA, PEWNIK, SPAWACZ, JESIOŁ, DIAGNOZA, MAKOWIEC



Aby język giętki...

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO O HEGEMONII

Czasy hegemonii któregośkolwiek z państw – USA także – minęły.

ARKADIUSZ JAKUBIK O POLITYKACH

Dla wszystkich polityków jesteśmy tylko pokarmem, o którym przypominają sobie przed wyborami. Nie wierzę im.

KUBA WOJEWÓDZKI

DO TOMASZA KAMMELA

Mała szansa, aby twoi następni pracodawcy byli głupszy od aktualnych.

JANUSZ ZEMKE

O KREDYTACH NA ZBROJENIE

Amerykanie dają pożyczkę, aby wesprzeć eksport własnej broni.

AGATA PASSENT O OJCU DANIELU

Mój ojciec, nawet gdy siadał do posiłku samotnie, wstając od stołu, mówił „dziękuję”.

MICHAŁ RUSINEK

O HASŁACH STRAJKU KOBIET

Były nie tylko wulgarnie, ale też niezwykle błyskotliwe, inteligentne, dowcipne, celne i erudycyjne.

ADAM ZIELIŃSKI „ŁONA”

O TRANSPARENTACH

Ten z apelem do Kingi Dudy, żeby mrugnęła osiem razy, jeśli jest w niebezpieczeństwie – bardzo dowcipny.

ANITA LIPNICKA O SOBIE

Mam problemy z podejmowaniem decyzji. Więc czasem błądzę. Nawet w muzyce.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogoliewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbała, Anna Rosiak,
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictwa i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

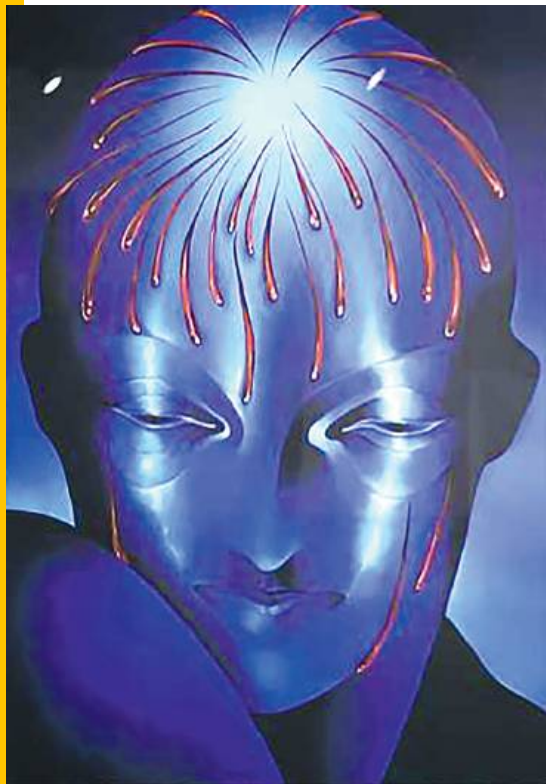
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPLP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



W cieniu WIELKIEJ BOGINI



Natalia Kleszczewska



Karolina Matyjaszkowicz

Idea wystawy „W cieniu Wielkiej Bogini” jest małą próbą zrozumienia kondycji człowieka w epoce ponowoczesnej. Namysłem nad archetypami i ich rolą w życiu współczesnych ludzi, nad relacjami, niepowtarzalnością, autokreacją, akceptacją. Jest również wyrazem usiłowania zwrócenia uwagi na symbole, doświadczenia i przeżywania Cienia w różnych momentach życia. Próbą oddania Wielkiej Bogini jej mrocznej strony, by na powrót stała się integralną całością.

Na interdyscyplinarnej wystawie można zobaczyć prace malarskie, graficzne wykonane w różnych technikach oraz video. Prezentują je: Helena Minginowicz, Karolina Matyjaszkowicz, Małgorzata Wielek, Natalia Anna Kalisz, Natalia Kleszczewska, Roksana Kularska-Król, Teodor Durski.

Galeria Sztuki Współczesnej we Włocławku
ul. Miedziana 2/4
do 4 grudnia



Teodor Durski



Małgorzata Wielek

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

• TEATR CAPITOL •

RETRO sylwester 2023/2024 z Hirkiem Wroną!



KOMEDIA ODLOTOWA, CZYLI LUMBAGO

Duża Scena - g.17:30 i 21:00



WYKONAJĄ
DANIEL BOGDAŃ
AUTOR Robin HAWOOD
REŻYSER JACEK KACZKAR

Prezent urodzinowy

Scena Mniejsza - g.18:00 i 21:30



NASTĘPNEGO
DNIARANO

autor
Peter Quilter
produkt
Krzysztof Woźniak
reżyseria
Bartłomiej Piotrowski

Scena Amfiteatr - g.21:30

**Do wieczornych spektakli
retro impreza z Hirkiem Wroną do samego rana!**

• KUP



• www.teatrcapitol.pl/sylwester •

Partneri Medialni



Partnerzy Teatru

XXXI TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM
ARKADY KUBICKIEGO

www.historiaikultura.pl

WSTĘP WOLNY

Wystawcy z całej Polski • Największa oferta książek historycznych
Konferencje i spotkania z autorami • Salon Książki Muzealnej

30.11-3.12.2023 r.



**29 EDYCJA
NAGRODY KLIO**

WYŁĄCZNY MECENAT NAD NAGRODĄ:



STOWARZYSZENIE AUTORÓW I WYDAWCÓW
COPYRIGHT POLSKA

PARTNERZY NAGRODY KLIO
W KATEGORII VARSAVIANA



Narodowy
Instytut
Muzeów



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



Minister
Spraw Zagranicznych



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Prezydent
miasta stołecznego
Warszawy

ORGANIZATORZY TARGÓW

PATRONI HONOROWI



BIBLIOTEKA
NARODOWA



PATRONI



ALE
HISTORIA

HISTORIA



DZIEJE.PL

RZECZY

HISTORIA



Rynek-Książki.pl

Biblioteka Analiz

wydawca.com



eprasa.pl/ba1dda5785